

EWA GRĘTKIEWICZ

**SZMINKA W KOLORZE
CYKLAMENU**

WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE TWÓJ STYL

WARSZAWA 2004

Projekt okładki i stron tytułowych: Anita Graboś

Edytor: Magdalena Majewska

Korekta: Magdalena Szroeder

Copyright by EwaGrętkiewicz, Warszawa 2004

Copyright by Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2004

Wydawnictwo Książkowe Twój Styl

AL Niepodległości 225/11, 02-087 Warszawa

Tel. (+22) 576 8272, faks576 82 62

E-mail: biurowkts.pl

Dział Handlowy

ul. Kolejowa 19/21, 01-217

Tel./faks (+22) 63181 25, bezpłatna mfolinia 0-800 120 189

e-mail: dystrybucjawkts.pl

<http://www.wkts.pl>

ISBN 83-7163-440-4

Wydawnictwo Książkowe Twój Styl

Warszawa 2004

Wydanie pierwsze

Skład i lamowanie: ANTERs.c.

Warszawa, ul. Tamka 4 lok.12

Druk i oprawa:

WZDZ- Drukarnia.Lega", Opole

Matce dedykuję.

Portretów moich bohaterek próżno szukać na pierwszych stronach gazet.

To raczej szare wróble niż rajskie ptaki.

Ich zwyczajne życie przypomina korale nanizane na nić - składające się z okruchów szczęścia i nieszczęścia.

Wszystkie spotkałam kiedyś na swojej drodze.

Czasami były to spotkania przelotne jak chwila.

Ważne jednak, skoro zostały w pamięci na wiele lat.

Ich portrety ułożył się w zbiór opowiadań o ludzkim losie.

O samotnej drodze, jaką idzie człowiek, z bagażem radości i trosk.

Moje bohaterki to kobiety słabe i silne.

Te słabe, w obliczu wyzwania, jakie życie przed nimi stawia, okazują się silne i

zahartowane.

Silne nie są takie, jakimi się z pozoru wydają.

Szare wróble zmieniają się czasami w rajskie ptaki, bo nic nie jest nam dane na pewno i do końca.

Historia ich życia kryje również twoją historię, a także historię moją i jej.

Jest jak lustro, w którym odbija się ludzki los.

Jutro będziesz królem

Z żółtego papieru zaczęła wycinać koronę.

Cierpliwie prowadziła nożyce po narysowanej wcześniej, starannej linii.

Jeszcze raz coś mierzyła i sprawdzała.

Bardzo się starała, by wszystko zrobić jak najlepiej.

I chociaż nie miała specjalnych zdolności, po godzinie korona, ozdobiona złotym guziczkiem i wzorem wyciętym ze starej wstążki, błyszczała jak wypolerowany kruszec.

-Jutro będziesz królem.

Założę ci ją na głowę, królu mój złoty, królu mojego serca - szeptała.

W kącie, między szafą a stołem, paliła się mała lampka, w której blasku odbijała się twarz śpiącego dziecka.

Spoconewłosy, rozrzucone na kolorowej poduszce, były sklezione, oddech krótki i szybki, twarzwykrzywiona grymasem.

Trudno było zgadnąć - bólu czy uśmiechu.

W izbie obok toczyło się jakieś życie.

Mężczyzna mówił głośno do kobiety, ona odpowiadała mu w taki sposób.

Nie obchodziło jej, codzieje się za ścianą.

Modliła się.

- Panie Boże, daj mu chociaż godzinę spokojnego snu.

On go tak potrzebuje.

10

Zabierz mójsen.

Chętnie ci go oddam, a ty daj gojemu.

Podobnowszystko możesz, odkądumarłeś nakrzyżu i zbawiłeś świat.

Daj, Panie, godzinę snu małemu chłopczykowi.

Uspokój jego myśli.

Jutro będzie królem, już czeka naniego korona, ale dzisiaj niech nic nie mąci

spokojunocy.

Godzina to przecież tak niewiele, sześćdziesiątminut za ledwie.

Przeleci, niczym mgła przewianaprzez wiatr na polu.

Jak trochęodpocznie, nie będzie płakał, tylko pozwolimi położyć się przy

swoimłóżeczku i trzymaćza rękę.

I wtedy czas minie nam szybciej do rana.

Będę mu opowiadała bajkę o królu, który mieszkaw ogromnym zamku, gdzie jest

tyle pokoi, że w wielunigdy nawet nie był.

Na obiad je wielki marcepanowy tort, amalinowy napój wypija z małej złotejfilizanki.

I w tym zamku wszyscy mu się kłaniają.

Wcale nie musi być ładnyani silny, bo jest królem.

A jak skończę opowiadać tę bajkę, wezmę koronę,która leży nastole, włożę

synkowi na głowę i powiem:

"Teraz ty jesteś królem, wspaniałym i pięknym.

Niccię nie boli, nie musisz już krzyczeć.

Twoje nogisąsilne, twoje ręce są silne".

Podniesiesz głowę samodzielnie, by pokazać swojej mamie,jak wygląda królw koronie.

I on to zrobi, bow końcu wie, co należydo obowiązków króla.

Kiedygo urodziła, lekarkaprzyszła do niej ipowiedziała: "Pani dzieckojest

uszkodzone", jakbychodziło o jakiś sprzęt, zepsuty rower czy obity z emalii garnek.

Nie bardzo rozumiała, jak mogło się uszkodzić coś, cobyło wjej brzuchu,otoczone ciepłem

prze

Jutro będziesz królem 11

pływającej przez ciało krwi, zamknięte jak w szczelnej piłce, zktórej przecież

nie uchodziło powietrze.

Nie wiedziała, co to znaczy,ale bała się zapytać.

Dopiero kiedy drugiego dnia niedano jej syna dokarmienia, odważyła się: "To

znaczy, czego onnie ma?

Ręki czy nogi, a może dwóchrąk albowóchnóg?

"- spytała.

Odetchnęła, kiedy usłyszała, że chłopiec ma ręce i nogi jak inne dzieci,
tylko jakieś mózgowo-porażenie.
I nie wiadomo, co jeszcze ma uszkodzone, bo robią badania.
Następnego dnia dowiedziała się, że dziecko widzi i słyszy, więc zaczęła
dziękować
Bogu, że okazał się taki dobry dla jej synka, że będzie mógł zobaczyć zielone liście na
drzewie, niebieskie niebo, złote słońce i kolorowe kwiaty.
Usłyszeć, jak buczy trzmiel, śpiewa skowronek, jak ona, jego matka, mówi
"Kocham cię" i
cieszy się ze swojego dziecka, chociaż w jakiś dziwny sposób się w niej uszkodziło.
Kiedy wreszcie go przynieśli, zawiniętego w szpitalny kocyk, z odrzuconą
nienaturalnie główką i twarzą z grymasem bólu, wydał jej się małą kropelką, która
nie miała jakiegoś ustalonego kształtu.
Dotykała go najdelikatniej jak potrafiła.
Bała się krzyku, który wykrzywił mu twarz.
Nawet po jedzeniu niewidać było na niej śladu spokoju, wszystko napięte, każdy
mięsień.
Gdyby jakoś potrafiła odebrać trochę fizycznego cierpienia.
Ale widać zostało przeznaczone wyłącznie dla synka, którego nie mógł ochronić
kokon
jej ciężarnego brzucha.

Uznała, że tak widocznie musi być.
Instynktownie przeczuwała, że los przeznaczył jej wielkie zadanie, które sama musi

wypełnić, bo nikt inny nie będzie chciał jej w tym wyręczyć.

I czuła się jakoś wyróżniona.

Inne kobiety odwijają swoje dzieci, oglądały nogi i ręce, liczyły paluszki,

ustalały, do kogo są podobne.

Ona patrzyła na tę bezradną kropelkę, delikatnie głaskała wykrzywiony policzek i

szeptala: "Kocham cię, synku, zawsze będziesz ze mną".

Mąż, kiedy się o wszystkim dowiedział, krzyczała na korytarzu: "Lepiej, żeby

zdechło!

"A ona zatykała uszy na testasne słowa.

Teściowa wołała: "To Bożygnew, bo do ołtarza szłaś już z brzuchem".

A ona kuliła się pod ścianą, wystraszona, że może ktoś jej będzie chciał zabrać to chore

dziecko i oddać do jakiegoś zakładu.

Naszcześnie jednak nikt nie proponował takiego rozwiązania.

Lekarka nad wizytę wpisała jakieś punkty do książeczki zdrowia, które miały obrazować

stan uszkodzeń, jakie stwierdziły medyczne autorytety w powiatowym szpitalu, i spytała,

czy ma warunki do wychowywania dziecka.

Powiedziała, że oczywiście, bo przecież czekał wolny pokój teściowej, z

używalnością kuchni, ogród, w którym zdążyła jeszcze posiać kwiaty z kolorowych torebek.

Czekał las, do którego tak lubiła chodzić, by wachać zapach igliwia, szczególnie w upalny

dzień.

Wszystko czekało na jej synka - pies w budzie, alejka brzozowa, parów, gdzie

tak pięknie już od wiosny.

- To dlaczego nikt nie chce pani stąd odebrać dzieckiem?

- spytała z niecierpliwą lekarką.

futro będziesz królem 13

Nie wiedziała, co jej powiedzieć - że mąż ciągle płacze z rozpacz i smutku, a

teściowa ani myśli oglądać potworka.

Skłamała, że nie wie, co się stało i dlaczego nie przyjechali.

Lekarka, nie ukrywając niezadowolenia, napisała:

dowóz karetką i przystawiła czerwoną pieczętkę.

Powiedziała też, że dziecko wymaga specjalistycznej opieki, ale w tym celu trzeba się udać do miasta wojewódzkiego, gdzie są profesoria i kliniki.

Karetka jechała długo, najpierw do jej wsi, a potem małego domuzalasek. Było zimno, lał deszcz, a koła samochodu buksowały w gęstej glinie.

W końcu kierowca powiedział: "Dostyc."

Dalej nie jadę, bo nikomu z tego zadupia nie wyciągnie, nawet czołgiem".

Kazali jej wysiąść i odjechali.

Wzięła naręce swoje maleńkie, owinięte w szpitalny koczek dzieckowi jak bocian

brodzący po mokrej łące powoli, ostrożnie wyjmując nogi z błota.

Płakała, przez chwilę pomyślała, że ani ona, ani jej synek nikomu nie są

potrzebni i najlepiej będzie, jeśli tutaj zostaną, na drodze między domem i lasem.

Chciała na chwilę usiąść w gliniastym rowie, ale bała się, że nie będzie już miała siły

wstać.

Przytuliła więc dziecko do siebie jeszcze mocniej, okrywając płaszczką.

Poczuła jego bliskość i bicie serca.

- Dziękuję ci, Panie Boże, za mojego synka - mówiła do szarpiącego płaszczkiatru

polnych bruzd, którymi szła, bo innych słuchaczy tego płynącego z głębi duszy

wyznanie było.

- Skoro postanowiłeś dać mi życie, widać ma na tym świecie coś do zrobienia, nawet jeśli

niedo końca jest taki jak inni, bo trochę się uszkodził.

Ale dla siebie radę.

To lew, urodził się pod znakiem.

kiem Lwa.

A lwy są przecież silne.

Ion też będzie królem.

Zrobię mu koronę.

Wtedy nikt nie powie: jesteś gorszy, wybrakowany.

Król - nawet bez nogi, to przecież ciągle król.

Teściowa pokazała się nachwilę w drzwiach, aleszybko uciekła do kuchni. Weszła więc sama do zimnego mimo późnego lata pokoju, zapaliła światło, jakby wierząc,

że promień żarówki nieco ogrzeje to nieprzyjazne im miejsce.

Położyła dziecko, które widać zmęczone drogą nakrótka zasnęło.

Usiadła na krześle i patrzyła na swój ciągle jeszcze duży brzuch, chcąc poznać

tajemnicę owego uszkodzenia, o którym mówiła lekarka.

Przecież czuła, jak przesuwaliśmy w nim niczym mała rybka, czasami uciskał wysoko pod

sercem, że trudno było oddychać.

Czuła w sobie raz delikatność, raz siłę dzięciwego ciała.

Kładła ręce na wydętym brzuchu, głaskała go i ogrzewała rękami.

Prowadzili tę swoją rozmowę bez słów, która ją trochę zawstydzała, alei bardzo ciekawiła.

Tylko że przez całą ciążę czuła się słaba.

Miała im nie nadawała się do pracy w polu.

Nie mogła tego zrozumieć jej teściowa o wielkich, silnych rękach animaż, który od rana

był czymś zajęty.

Wiedziała, że nie pasuje do nich.

Jest jakby przybyszem z innego świata, gościem niedzielnym, który spóźnił się na ostatni

pociąg.

Wiedziała, że nie może dać im nic z tego, czego oczekiwali.

A jeszcze teraz przywiozła to uszkodzone dziecko.

Nie miała pretensji, nawet to, że mąż przeniósł się na drugą stronę domu, by

nie oglądać jej i synka,

Jutro będziesz królem

15

że pił i nie przyszedł po nią do szpitala.

Miała przecież wystarczająco dużo miejsca, tu, w tym pokoju używalnością kuchni.

Kiedy drobnym ciałkiem wstrząsał dreszcz, a potem jakiś straszliwy ból

wykrzywił małą twarz, zrozumiała, że coś z tym musi zrobić, znaleźć jakiś sposób.

Położyła więc dziecko na swoim brzuchu, przykryła kocem i zaczęła kołysać.

Znowu byli razem, zdani na siebie jak przez poprzednie dziewięć miesięcy.

Zrozumiała, że widocznie on nie chce rozłączenia, nie jest na nie jeszcze gotowy.
Kiedy musiała coś zrobić w kuchni, przywiązywała go do siebie kawałkiem

prześcierała, by miał ciepło.

Tak przeżyła z sobą trzy miesiące.

Potem uświadomiła sobie, że nie będzie go przecież przez całe życie nosić na brzuchu, bo

to niemożliwe.

Musi go wzmocnić, jego mała ręczki i nóżki były wiotkie, bezradne, więc trzeba dać im siłę.

Przypomniała sobie, jak dobrze nanią działał zapach sosnowego igliwia.
Od tej pory codziennie przygotowywała kąpiel w wywarze z leśnych szyszek i igieł,
potem

dokładała jeszcze innych ziół.

W aromacie kąpeli jego ciało nabierało innego koloru.

Czuła, jak krew krąży pod cieniutką skórą.

Potem układała go na stole i masowała wiotkie ręce i nogi, czując, jak jej palce

pobudzają je do życia.

Bolały ją całe dłonie i stawy, ale nie zwracała na to uwagi, tylko robiła to, co

jej zdaniem było konieczne.

Centymetr po centymetrze masowała nogi i ręce, potem plecy i kręgosłup.

Poddawał się tym zabiegom z dziwnym spokojem.
Najgorzej było, kiedy usiłowała unieść głowę, a ta opadała natychmiast, uderzając o stół.

Masowała kark, miejsce za uszami, ale niewiele to pomagało.
Głowa była jakby oddzielną częścią ciała.

Po godzinie zabiegów synek zasypiał, chociaż nie był to sen spokojny, tylko przerywany krzykiem i konwulsyjnymi wstrząsami.
Ona też zasypiała koło małego łóżeczka, na podłodze, by być jak najbliżej.
Wiedziała, że dziecko potrzebuje jej obecności tak samo jak kąpieli w wywarze z igliwia i

ziół.

Kiedy tylko była dobra pogoda, zabierała go do lasu na spacer.
Najpierw chłopczyk bał się szumiących liści, odgłosów wiatru, szarpiącego gałęzie.
Potem się przyzwyczaił i rozglądał ciekawie.

Mówiłam: "Synku, to wszystko dla ciebie.
Dla ciebie śpiewają ptaki, dzięcioł stuka o drzewo dziobem, dla ciebie latają motyle i

pachną zioła.

Jesteś królem tego lasu!

"

Patrzyła na niego swoimi niebieskimi jak niebo oczami, twarz wykrzywiona

grymasem była spokojniejsza, mięśnie nie tak napięte.

Dotykał policzkiem jej policzka.

Czuła jego oddech, głębszy niż zazwyczaj, jakby w małe płuca chciał nabrać jak najwięcej

zdrowego powietrza.

Nikt ze wsi nie widział jej synka.

Mieszkali daleko.

Raz tylko jacyś koledzy męża, którzy pilirazem z nim na podwórku, powiedzieli: "Pokaż

nam tego swojego wariata".

Kazał jej przynieść dziecko, chociaż nie chciała się na to zgodzić.

Jednak bała się, że zrobi to sam, bo był

Jutro będziesz królem 17

pijany.

Zacnie go szarpać i jeszcze bardziej uszkodzi.

Wyniosła chłopca, zawiniętego w koc.

Szybko zaspokoiли swoją ciekawość.

Powiedzieli, że nawet specjalnie na wariata nie wygląda, tylko jakiś taki wiotki.

- Niech mu tatwoja więcej jeść daje, to za rok będzie kury po podwórzu ganiał

aż miło - stwierdzili.

A on nalał po kieliszku samogonu za dobrą radę.

Ksiądz, który przyjechał po kolędzie, nie chciałglądać dziecka.
Nawet nie zapytał, dlaczego nieochrzczone.
Spieszył się do innej parafii.

Zresztą ich dom na skraju lasu mógł równie dobrze należeć do innego kościoła,a

on przyjechał tylko z katolickiego obowiązku.

Pokropił kropidłem sieńkuchnię, apokój ominął, jakby nie należał do całości domu,

tylko był jakąś doklejoną częścią, na którąnie powinno się zwracać uwagi.

Czuła żalw sercu, bo przecież ubrała synka na tendzieńw najładniejszykaftaniki

sweterek, wykapaław pachnącychziołach, których aromat jeszcze wypełniałcałą sień.

Uznała w końcu, że nic się nie stało.

Może rzeczywiścieksiądz się bardzo spieszył,może na drugi roki do niej zawita, z

kropidłem i modlitwą, tylko trzebapocześć.

Najbardziej niepokoiło ją, że chłopczyk nie potrafi się przewracaćna boki, a

jegociałko, spoczywające wjednejpozycji, ma już ślady odleżyn.

Nacierająe i rozgrzewała, ale wiedziała, że niewiele to pomoże, jeśli nadal będzie

tylko tak leżał.

Zaczęła go kołysać,przewracać.

Kładłaobok jakąśkolorową rzecz, która go mogła zainteresować - klocek, pudełko. Pokazywałacierpliwie, o co chodzi, sama kulając się z boku na bok.

Po dwóch miesiącach zobaczyła, że jej trud się opłaca,bo synekleży nie prosto,

ale na boku i prawie dotyka paluszkami kolorowego pudełka.

Myślałanajpierw, że tylko jejsięzdaje, bosamago tak ułożyła,ale szybko się przekonała,

żemoże miećpowód doradości.

Teraz codziennie mozolnie przesuwiał swoje ciałoorkilka centymetrów.

Aby mu trochę ułatwić, kołysałago w kocyku, z boku na bok, rytmicznie i delikatnie.

Układała nowe,nieznane mu koloroweprzedmioty- zakrętkęod słoika, balonik-raz

po jednej, razpodrugiej stronie, by go zaciekawić,przełamać opórbezwładnego ciała. Z trudem pokonywał kolejną górę, ale był coraz bliżej szczytu.

Zrozumiała, że nie wolno się jej zatrzymać, bo królmusi wygrać, siłą

albospytem.

Sam musi znaleźć nato sposób, żeby doczekać nagrody i założyć na głowękoronę.

Pomyślała, że od kulania i przewracania na bokijuż tylko krok,by chwycił za

szczebelki łóżeczka i wstał.

Wierzyła,że i to nastąpi.

Trzeba tylko byćcierpliwym, nie rezygnować.

Czuła w sobie jakąś nieziemską siłę, którą została obdarowana wraz z urodzeniem synka.

Zrozumiała, że teraz musi mu ją oddać w codziennym trudzie, w tym zmaganiu.

Tak jakby nadal żywił się jej krwią,brał z niej, co mu do życia niezbędne.

Nauczyła się obywać prawie bez snu.

futro będziesz królem 19

Zapomniała, że niedawno była jeszcze żoną, miała męża, którego ciało podniecało

ją i sprawiało rozkosz.

To, co kiedyś, wydawało się jej nierzeczywistymwspomnieniem,spektaklem, w którymnie

brała Jużudziału jako uczestnik, a tylko widz.

Jej nowe życie,które otrzymała wraz z urodzeniem synka, zupełnie przekreśliło to

poprzednie.

Zaakceptowała stan,który trudno byłojakoś określić.

Nie знаła takiego słowa jak "separacja".

Nastąpiłorozdzielenie -mówiła sobie w myślach.

- Staliśmy się zupełnie osobnymi ludźmi, którzy nie mieszkają nawet w jednym pokoju.
Mąż ciągle pił, teściowa uważała, że ma do tego prawo, jej nikt zdanie nie pytał

i nie zakłócał spokoju.

Nauczyła się unikać spotkań, oni także.

Synek rósł, trochę wolniej niż inne dzieci w jego wieku.

Nie siadał w łóżeczku, bo głowa ciągle była gdzieś osobno i nie mógł jej utrzymać.

Wymyśliła więc, że skoro na razie nie potrafi chodzić ani siedzieć, nauczy go

czołgać się i raczkować.

Do tego nie musi trzymać wysoko głowy.

Wystarczy, jak tylko trochę ją uniesie.

Ręce i nogi miał coraz silniejsze, bo pobudzała je do życia systematycznymi masażami,

więc powinien to zrobić.

Tak jak nauczył się przewracać na boki.

Każdego dnia kładła się obok niego na kocu, przyciągała kolana do brody, raz

jedno, raz drugie, potem powoli podnosiła i zginała jego ręce i nogi.

Robiła to przez kilka miesięcy, aż wreszcie zrozumiał.

Kiedy pokonał długość koca i doczołgał się do kaptura, jego twarz, choć

wykrzywiona grymasem, była radosna.

Pierwszy raz się uśmiechnął.

Nagle przezpokój przeszła jakaś jasna fala.
Widziała ją, promienie słoneczne oświetlały szafę, stół i łóżeczko, chociaż za oknem

niebo było szare od gęstychchmur.

Ona jednak widziała słońce, czuła jego ciepło.

Doświadczyła czegoś,co nigdydotąd nie miało w jejżyciu miejsca, doświadczyłaćudu.
Zaczęła sięmodlić płakać, a potem długo trzymała w ramionach swojego synka,
obsypując

jego twarz pocałunkami, dziękując za to, co dla niej zrobił.

Potem się przestraszyła, że może za dużo chce odtego dziecka, zmuszającje
do

coraz nowych wysiłków.

Przypomniała sobie słowamodlitwy: i niewódź nasna pokuszenie.

Bo czyż nie miała coraz większychpokus?

Jużnie wystarczyło jej, że synek przewraca się naboki, że się czołga i raczkuje,

chciała, aby siedzieli chodził, trzymał głowęprosto, tak żeby złota korona z niej nie

spadła.

Dlatego żarliwie dziękowała za wszystkie łaski, których już doświadczyła, za

siłę, jaką dał jej Pan natojej nowe życie.

Wiedziała, że to jego rękajakoś nią kieruje, podpowiada, co robić dalej.

Czuła się tylkoykonawczynią woli i wierzyła, że jej zadaniem jestwypełnić ją
najlepiej

jak umie.

Życie na zewnątrz było jakby obok.

Zapomniała, ile ma lat, nie obchodziło jej, że niema nowej sukienki albo butów.

Jej światem był dom i las.

Potem pomyślała, że to chyba nie jest dobre.

Jej syn musi żyć wśród ludzi, bo jest człowiekiem.

Kiedyś, w letnie popołudnie wzięła gona ręce i zaniósła do wsi.

Stała przed sklepem, gdzie wszyscy

Jutro będzie szkrólem 21

się spotykali.

Powoli piła zimną lemoniadę, trzymając w ramionach dziecko, które przytulało głowę
do

jejszyi.

Ciekawe kobiety oglądały go, głaskały, mówiły, że jest ładny i grzeczny.

Nie wariuje inie wrywa się jakinne wiejskie dzieciaki, tylko daje się głaskać po

głowie, niczym mała owieczka.

Jesienią, kiedy skończył dwa lata, zachorował.

Niewiedziała, co było przyczyną kaszlu, który wstrząsał całym mciakiem.

Próbowała domowych sposobów - syropu z cebuli, malinowej herbaty, ale nic niepomagało.

Pobiegła do wsi, by wezwać karetkę.

Czekała kilka godzin, modląc się, by dobry Pan niezabierał jej dziecka, bo już

prawie naprawiła to uszkodzenie, które powstało w jego ciele z niewiadomej przyczyny.

Synek kaszłał, a potem, umęczony wysiłkiem, zasypiał na krótkie chwile.

Nasłuchiwała, czy oddycha.

W końcu karetka pogotowia zatrzymała się przy furtce, a do pokoju weszła młoda

lekarka.

Popatrzyła na chore dziecko, wyjęła słuchawki, badała go i oglądała.

Potem zrobiła zastrzyk i chłopczyk usnął.

Jakoś jej się chyba niespieszyło, bo zaczęła rozmawiać, wypytywać o to, czy

chłopiec jest gdzieś rehabilitowany i ma specjalistyczną opiekę.

Nie wiedziała, co znaczy to słowo, jakaś rehabilitacja.

Opowiedziała tylko, że odkąd wzięła go ze szpitala, masuje mu ręce i nogi, kąpie go w

wywarze z sosnowych igieł izioł.

Nauczyła synka raczkować i przewracać się na boki.

Już nie jest taki wiotki.

Tylko głowa nie chce się prosto trzymać.

22

I wtedy lekarka powiedziała, że zrobiła dla swojego synka tak wiele dobrego, że

ją podziwia.

I gdybynie tentrud i ciężkapraca, to dziecko nie miałobyżadnej szansy, a ona mu ją

dała.

Ateraz niewolnosiejuż zatrzymać, bo jej synek może chodzić, a nawetuczyćsię kiedyśw

szkole.

Obiecała załatwić miejscw specjalistycznym szpitalu dla matki i dziecka, gdzienauczą

ją, co robić dalej.

Męża spotkała w małej sieni.

Powiedziała:"Naszsynbędzie chodził".

Nie zrozumiał chyba, bo warknął: "Won, suko!

" Zeszła mu z drogi pospiesznie, bojąc się jego gniewu.

Usiadła przy stole,patrzyła na światłomałej lampki nad łóżeczkiem.

Łzy spływały jej po policzkach.

Niewycierałaich,były jak deszcz oczyszczający światz brudu i kurzu.

Nie miała pretensji do męża.

Może nieumiał przyjątej wiadomości, nie czułw sobiesiły, byuwierzyć,że to może być

prawda.

Tak bardzo chciał mieć syna,silnego chłopca, który będzierazem z nim pracowałw polui

grabił siano,biegał na bosaka nad rzekę albo do lasu, karmił króliki, grał w piłkę.

A potem sięokazało, że dziecko jest uszkodzone.

Ico miał zrobić, on, gospodarz, z takim dzieckiem,skoro było doniczego nieprzydatne.

Pewnie o tymmyślał,kiedy pił, i pił, żeby nie myśleć.

Ona wiedziała, co do niejnaależy,on - nie.

I rozumiała to.

Może też bysię czuła podobnie, gdyby byłatakajak jej mąż, bezradna.

Ale ona miała cel, zadanie, a on tylko cierpienie, bez nadziei i wiary.

To jej Pan dałsię,jej pokazałdrogę, chociaż to on,jej mąż, byłmężczyzną

nawyktym do pracy, miał silJutrobędziesz królem 23

neręcei nogi, i mógł nawet dwanaściegodzin bez odpoczynku orać pole albostać

przymłockarni.

Myślało tym wszystkim, siedząc przy stolei słysząc oddech dziecka,które spało

zmęczone kaszlem.

Przez kilka następnych dni czuła wielką radość w sercu, żaden trud nie wydawał

się jej zbyt wielki.

Czołgała się obok swojego synka, bawiła z nim i opowiadała o szpitalu, który nie jest

zwykłym szpitalem, tylko takim miejscem, gdzie naprawia się uszkodzone dzieci i dzieci są

potem jak nowe.

Mogą ruszać rękami i nogami, biegać i cieszyć się.

I on, jej synek, też pójdzie do takiego szpitala, żeby go naprawili.

Codziennie wypatrywała listu z wiadomością, kiedy gdzie ma się zgłosić.

Niestety listonosz na rowerze omijał ich dom za lasem.

Kiedy traciła nadzieję, zaczęła się żarliwie modlić.

Wiedziała, do czego życie bez nadziei doprowadziło jej męża.

Nie chciała, by to samo jej się przytrafiło, bo co będzie wtedy z synkiem,

który już potrafi się czołgać, ma coraz silniejsze ręce i nogi.

I Pan znowu sobie o niej przypomniał.

Dostał w końcu list z urzędową pieczęcią, w którym napisano, że ma się zgłosić razem z

dzieckiem na specjalny turnus.

Leczenie jest bezpłatne, tylko trzeba przywieźć dokumenty i historię choroby.

Kiedy już wszystko było gotowe do drogi, zapukała do kuchni i spytała męża, czy

odwiezie ją rano na przystanek, bo zabiera synka do szpitala, gdzie naprawią mu to uszkodzenie.

Spojrzał nanią wzrokiem pełnym żalu i nienawiści, powiedział, że benzyna droga,

a jego maluch niejest od wożenia wariatów.

Pomyślała, że człowiek, który to mówił, nie był jej mężem, nastąpiła

jakaś zamiana.

Powiedziała: "Przepraszam" i wyszła.

Kiedy opuszczali dom, świtało.

Synek na jej ręku jeszcze spał.

Szła wolno, by nie robić hałasu, nie zbudzić dziecka i śpiących jeszcze ptaków.

Sosnowy las pachniał igliwem.

W torbiez ubraniami i piżamą niosła złotą koronę.

-Jutro będziesz królem, synku - szeptała, prawie nie poruszając wargami.

- Jutro będziesz królem.

Dzisiaj Maria Stuart

Gdzie są moje perły?

Czy widziałeś moje perły Władeczk?

No, są, chwala Bogu, znalazłam.

Sama jęwczożaj włożyłam do tego małego woreczka zgumką, żeby nie wypadły.

Dzisiaj Maria Stuart.

Nie można tej roli grać bez perł.

Trochę się już oskubały, niestety.

O, tajedna zaraz spadnie ze sznurka.

Nonic, może jakoś umocuję.

Teraz starym paskiem z aksamitu przetrę.

Aksamit najlepiej poleruje perłową masę.

Nawet najmniejsza drobinka kurzu usunie i wtedy błyszczą, że aż oczy boją.

Czasami nawet sama specjalnie jemrużę.

I nie dlatego, że mi powieka trochę opada, bo mięśnie się osłabiły.

Wtedy widzę takie małe iskiery.

Jakby perła wydzielala ciepło.

A mówią, że jest zimna, a nawet, że w niej ukryte łyzy.

Ja absolutnie nie podzielam tej teorii.

Totak jak z kłamstwem.

Wielokrotnie powtórzone w końcu staje się prawdą.

A kobieta, nawet naga, w perłach jest ubrana.

Chociaż o tej nagości może już w moim wieku nie przystoi otwarcie mówić?

Zresztą, kiedyś nie byłoby takiego scenicznego wyuzdania.

Owszem, dekollet, suknia z rozcięciem.

Ale żeby ktoś gołą Ofelię po scenie przeganiał?

Obłąd trzeba umieć zagrać.

Szaleństwo nie ma nic wspólnego z prostactwem.

Ono jest sztuką!

Peruka, jeszcze peruka!
 Delikatnie ją rozczeszę, żeby włosy do końca nie wypadły.
 Już idę, Władeczku.
 Na pewno się nie spóźnimy.
 Tylko gdzie jest moja szminka?
 Na dzień torebki, jak zwykle.
 Nową by już trzeba kupić, bo ta się trochę na ustach warzy.
 A gdzie ja dzisiaj taką szminkę dostanę, adu niejto praktyczne etui i pędzelek?
 Towar nie do zdobycia.
 Zresztą, po co kupować, skoro jeszcze zapas jest.
 Wystarczy na Marię Stuart i nawet w przyszłym tygodniu na Balladynę.
 Niepotrzebnie się denerwujesz, Władziu.
 Dopiero osiemnasta.
 Ja prędko chodzę, a biodro wcale mnie dzisiaj nie boli.
 Sucho w powietrzu, to nie boli.
 Jako liniowy oficer przyzwyczajony jesteś do marszowego tempa.
 Wystarczy, że się przytrzymam twojego ramienia i naprawdę szybko dojdziemy.
 Wychodzimy!
 Tylko kluczy nie zapomnij!
 Dwa razy ten patentowy zamek się przekręca.
 Dwa razy, zapamiętaj.
 Bo inaczej znowu drzwi opadną.
 I trzeba będzie pomoc wzywać.
 A to są koszty, mój Władku.
 Żeby taki fachowiec, wysokiej klasy specjalista odspraw oświetleniowych,
 musiał

na stare lata portierstwem dorabiać?
 Przed wojną nie dopomyślenia!
 Wtedy każdy był w swojej roli obsadzony.
 A potem, to już z pana król, z chłopca pan.
 Ale lepiej przestanę ten wątek rozwijać, bo polityką nigdy nie byłam

nadmiernie zainteresowana.
 Jakoś mnie do niej nie ciągnęło.
 Wielka literatura romantyczna, szlachetne ideały, owszem.
 A co nam zostało?
 Zgrzebność w myśleniu, poglądach i manierach.
 Nie umieliśmy wykorzystać tego spadku.
 Co się zgubiło, to przepadło.
 Ale kto dzisiaj myśli tymi kategoriami?
 Dzisiaj Maria Stuart 27
 Tylko jeden reżyser, ten Lechowicz, tak naprawdę umiał cię, mój Władku,
 właściwie

docenić.
 Pamiętasz:
 "Nie oszczędzamy światła.

Światłem pracujemy zdecydowanie.
Proszę prowadzić królową takim jasnym tunelem, a potem niech przechodzi przez światło" -

mówił.

Jakie wycucie, prawda?

I zawsze po premierze osobiście ci dziękował.

Uniego nie było pierwszych i drugich ról.

Zawsze powtarzał: "Zespół.

Wszyscy jesteśmy zespołem!

"

Mówili, że miał delikatną skłonność do mężczyzn.

Czy ty, Władeczk, też wyczuwałeś w jego zachowaniu coś takiego?

Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

Jakoś się krępowalam zapytać.

A potem zapomniałam.

Wysokiej kultury człowiek.

Na każdym spektaklu w swojej łóżce siedział.

Nawet kiedy miał niedyspozycję zdrowotną.

Mówił, że to jego powinność wobec nas, aktorów.

Nigdy nie używał słowa "obowiązek".

Nie chciał, żebyśmy czuli, że ma wobec nas jakieś zobowiązania.

Nie chciał nas krępować.

I na każdą premierę wkładał frak, a na bankiecie nigdy nie pił wódki.

Tylko koniak, mały kieliszek.

Ja ci tak monologuję, Władziu, a ty ciągle na zegarek patrzysz.

Niepotrzebnie.

Już niedaleko.

Przecież tak przez całą noc będziemy w fotelikach siedzieć.

Chyba że mi dyrektorski gabinet otworzysz i na kanapce trochę się zdrzemnę.

Wiem, że nie lubisz tego robić.

Więc może tylko dzisiaj, wyjątkowo?

Jak gram, zawsze potem trochę zmęczona jestem.

Chyba to już wiek.

Pamiętasz?

O Rizzio, serce twoje niewesoło marzy

Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

28

Chociaż metryka to rzecz dalece umowna.
Szczególnie kiedypowiesz sobie; mnie to nie dotyczy.
A kobieta ma prawo tak powiedzieć.
Czy jej uwierzą, to już osobna rzecz.

Ale ma prawo.

I ja sobięto prowadzę.

Nawet jeśli jestem od ciebie te pięćlatstarsza.

Zresztą zawsze potrafię sięmnaopiekować i jato doceniam, Władziu.

Inni mężczyźni egoistyczniew życiu szli, atynie.

"To się wynosi z domu" - powiedziałaś mi kiedyś.

I bardzo mnie tozdziwiło, przecież tydomu nigdy nie miałaś, bo rodzice tak wcześnie

umarli.

Ale może togeny?

Teraz taka teoria jest wmodzie.

Słyszałaś o niej, Władziu, prawda?

Więc jak sobie przeanalizuję twojenastawienie do drugiegoczłowieka, wychodzi mi,

żegeny.

Dla innych też taki byłeś, ale dla mnie w szczególności.

A to kobieciebardzo dobrze robi, kiedyczujesz się wyróżniona.

Aktorce także.

Zresztą- aktorka to jest wielkie słowo.

Często za wielkie.

A czasaminawet nie do udźwignięcia.

Ciekawi mnie, czy pamiętasz te pierwsze światłana mnie?

Grałamwtedy tę małą Nel Rawlison.

I takmnie mocno oświeciłaś, że przez bawełnianąsukienkę uda było widać.

Zrobiłam ci awanturę, a ty powiedziałaś: "Zgrabne nogi jeszcze żadnej kobiecie

nieprzeszkadzały.

Pani jest pierwszą".

Zarumieniłam się, bo sprawymęsko-damskie nie były wtedytak otwarcie manifestowane, nawet

w środowisku artystycznym.

No, chyba że w kabarecie.

Ile to latgrałam tę Nel?

Pewnie z dziesięć.

Zarazpo wojnie to było.

A temu słoniowi rzucaliśmy kapu

DzisiajMaria Stuart 29

stę zamiast bananów.

Kto wtedy banany widział?

A kapustybyło pod dostatkiem.

"Stasiu, on je, onje!

" - wołałam klaskałam w ręce.

A ty - pełne światła i brawa z widowni szły.

Dzieciaki się cieszyły, że słoń został uratowany.
Aż w końcu kapusty kiedyś zabrakło i rzucaliśmy takie kulez papieru.
I wtedy tych dwóch gówniarzy z pierwszego rzędu też zaczęło rzucać.
Jakieś kartki z zeszytów wrywali.
Celowali w słońca, a potem we mnie.
I wrzeszczeli: "Zamknij się, stara babo!
"Myślałam, że tego nie przeżyję.
I ty wtedy mnie uratowałeś.
Zgasło światło, poszła kurtyna.
Sam, bez niczyjego polecenia to zrobiłeś.
Po prostu - z miłości.

A ja, zamiast ci podziękować, dostałam spazmów, a ponich rozstroju nerwowego.

Miałam nawet chorobową absencję.
Przez tydzień do pracy i do życia nie byłam zdolna.
Tylko po mieszkaniu chodziłam, tam i z powrotem i wołałam: "Pani moja!
Masz umysł obłąkany, chory".

A ty mi wtedy okazałeś tyle serca, Władeczku.
Takiej czułości od ciebie doznałam, że pomyślałam sobie - nawet jeśli już nigdy grać nie

będę, to warto było.

Znowu to uczucie wnieustatkowanie się odezwało, ale jak wiesz, sentymentalna

to ja zawsze byłam.

I takich tragicznych ról nigdy dobrze nie umiałam grać, bo wychodził z tego tandetny

melodramat.

Dopiero teraz, na stare lata, jak mi się nerwy uspokoiły - mogę.

Tylko że w kostiumie nie wchodzę.

Wszystkie zaszewki rozpuściłam, wstawiłam dwa klipy i jeszcze mało.

Dodatkowo muszę się chustką okryć.

Nawet nie żle to wymyśliłam, sam musisz przyznać.

Wprawdzie nikt oprócz ciebie na mnie nie patrzy, ale

jakie to maznaczenie?
 Jakie to ma dzisiaj znaczenie, Władku.
 I nietacy jak ja grali do pustych krzesel.
 A ja i tak ciągle widzę tych ludzi.
 Ważne osoby miasta, różne panie w garsonkach.
 I czuję te tanie perfumy fiołkowym zapachu.
 Ciągle jeszcze mniew nosie kręcą.
 Nie lubię fiołków.
 Ty dobrze tym wiedziałeś i za pierwszą premię kupiłeś mi prawdziwe Soir de Paris,
 od

bufetowej, co swetrami z paczek handlowała.
 Buteleczka jeszcze pachnie.
 Położyłam w bieliźnie.
 I chociaż tyle lat już przeszło, ten zapach ciągle tam jest.
 I my też jesteśmy, Władeczku - razem.
 Teraz siądziemy sobie na chwileczkę w holu i zaczekamy, zanim pan Marian zda ci
 służbę.
 Spociałeś się.
 Ta twoja pelisa trochę ciężka.
 Jednak mężczyzna w pelisie jakoś wygląda i żaden płaszczyk jej nie zastąpi.
 Ile to już lat, Władziu?
 Lepiej nie liczymy.
 Po co nam ta matematyka?
 Naniej człowiek życia nie zbuduje.
 Nawet nie przytakujesz, ale wiem, że tak samo myślisz.
 Odpocznijmy chwilę.
 Może i kwadrans, jak będzie trzeba.
 Noc jest długa, nie musimy się spieszyć.
 A potem, jak cię ładnie poproszę, to włączysz światła nad sceną.
 A ja wygłoszę tylko ten krótki monolog:
 Teraz wszystko ciemnieje.
 w purpurze, w koronie, Idę.
 -O Boże!
 Boże!
 To mury więzienia.
 Któż mnie wtrącił w te mury, żywą zamknął
 w grobie?
 Wokoło jeszcze wiernych przyjaciół drużyna, Dlaczego płaczą?
 Czemu ubrani w żałobie?
 I ksiądz nade mną czarne grzechy przypomina, Jakież grzechy?
 - dzisiejsza noc - dzisiejsze
 zbrodnie!
 Dzisiaj Maria Stuart 31
 Teraz - wszyscy odeszli, kapłan się oddala, Wchodzę do jakiejś sali - to

tronowa siała.

Posępny blaskiem płoną tysiączne pochodnie, Na moim tronie obca zasiadła
kobieta.

Boże!

Sala tronowa, a kirem wybita?

Zamiast kwiatów, ubranaw żałobne cyprysy.

Kłękać mi każą - po co?

- modlić się do Boga?

Ach!!

Charakteryzowanie zajmie mi dużo czasu.

A ty korytarz obejdiesz, sprawdzisz, czy okna dobrze pozamykane.

Potem zaparzemy melisę, bo to przy twoim ciśnieniu jak najbardziej wskazane.

Ja tym razem zrobię wyjątek i też się napiję, żeby emocje uspokoić nieść w zbytnią

egzaltację, bo to mnie gubi.

Wiem, że masz do mnie żal - czasami abstynencję nie umiem dochować.

Wszystko przez te moje emocjonalne kłopoty.

Inne kobiety realizowały się w macierzyństwie, ale ja nie mogłam sobie pozwolić

nadziecko, bo aktor jest od grania, a nie od pieluch.

A grasobą, ciałem też.

Ile jest ról dla ciężarnych?

Tylko ta jedna Hanka z Moralności Pani Dulskiej przychodzi mi do głowy.

Żalosa postać i charakteru w niej żadnego nie było.

Pan chciał - pan miał.

A potem dramat!

Taki trywialny temat.

Całe szkoły na spektakle spędzali.

A ja, jak tę Hankę grałam, zawsze miałam ochotę krzyknąć ze sceny: "Nie bądźcie

idiotkami, nie dajcie sobie zrobić brzucha!

" Ale to by już było poza rolą, a prowokacje nie były wtedy w modzie.

Więc starałam się grać tak, żeby nie brały ze mnie przykładu.

To potem w gazetach głupoty pisali, że ducha sztuki nie umiałam odczytać
prawidłowo.

Ina drugi sezon.

już mnie Leszkiewicz nie obsadził.
 Nie cierpiałam tejHanki, więc i żalu nie miałam.
 Aleo inne role- tak.

A tennastępca Leszkiewicza to zupełnadyrektorska pomyłka.
 Bez żadnej klasy ani kulturyczłowiek.
 "Pani jest pijana, proszę wyjść, proszę udać siędo garderoby, a potem do domu.
 Zwalniam panią!

" I ten ton.

To spojrzenie.

Jakby się bisów domagał.

A to dopieropierwsza próba czytana była, więc ktoi za co miał mubrawo bić?

Naszczęście były jeszcze związki zawodowe.

I jakdo głosowania na zebraniu doszło, to krawcowemniebroniłyi suflerka.

Zresztąwtedy dosłownie naparsteczek wypięłam i tak mi zaszkodziło.

Nie wiem, czy pamiętasz, że całą noc się roliuczyłam, żeby być perfekt.

Alerano, jak mnie zaczęło trząśćz tych nerwówi z niewyspania, to sobie nałałam trochę

do szklankiz herbatą i dużo cytryny wcisnęłam, żeby zapach zgubić.

Dwie pierwszescenybyły bezzarzut.

Potem jakoś osłabłam.

Nogi jak z waty.

Samaczułam, że cośzłego się ze mną dzieje.

Ale jak reżyser zaczął wrzeszczeć,niby jakiś furman, to dopiero nerwy mnie dopadły.

Oj,powiedziałamja mu wtedy!

Ciebie, Władeczku,tego dnia w teatrze nie było.

Ale jakmogłeś innym uwierzyć,że się przewracałami sama iść nie mogłam?

Jeszcze mam o to do ciebieżal.

Ale jużmniejszy.

Dzisiaj i wczoraj nawet tyle co na łyżeczce od herbatydo ust nie wzięłam.

Tylko krople na żołądek.

Wiesz,zawsze siędenerwuję, kiedy gram.

Trema.

Popatrz, nawet po tylu latach.

W końcu Maria Stuartto była mojarola.

Dzisiaj Maria Stuart 33

Królowo!

Zbrodnia czeka zasłużonej kary,A cnót przyćmionych kiedyś znajdą się obrońcę,Kto jak

słońce zagasa, wstajejako słońce.

Pamiętasz te owacje na stojąco i kosze z różami?

Nigdy więcej takich nie dostałam.

Naprawdę niemusiałeś tego ciężkiego magnetofonu dźwigać.

Jednak ty to rozumiesz, bez muzykieniema spektaklu.

Teraz całą elektronikę mają, a nie jakieś prymitywne taśmy w magnetofonie szpulowym,ale

lepiej nie ruszać.

Jeszcze by się coś uszkodziło.

A zresztą, po co ma ktoś wiedzieć, co tu się w nocy dzieje?

Nie daj Boże za prąd dodatkowo policzą z poborów potrąca?

Zobacz, dekorację do jakiegoś spektaklu ustawili.

Nowoczesne byle co.

Dzisiaj nie gra się dużych premier.

Stary teatr marł razem ze starymi aktorami.

Nas też już, Władku kochany, nie ma.

Toznaczy, dlanich nas nie ma.

Ale to nieważne.

A swoją drogą muzyka i te światła, kostiumy - to wszystko są dekoracje.

Lata całe nam minęły wśród dekoracji.

Nieraz się zastanawiałam, co my tak naprawdę tu robimy, w tym sztucznym świecie?

W tych światłach, które można w każdej chwili zgasić lub zapalić.

Przecież życie jest bogatsze niż ten tron z kartonu.

A my co wieczór wmawiamy ludziom, że jest inaczej i jeszcze bierzemy za bilet.

Niewiem, Władziu, czy to po chrześcijańsku, żeby za sztuczne perły żądać jak za prawdziwe?

Nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiałeś.

Skupiłeś się raczej na tych swoich żarówkach, bo częściej był kłopot, żeby właściwie kupić.

A ja jednak o tym

^.

myślałam.

Właściwie zawsze zadawałam sobie pytanie, czy mamy prawo?

I do dzisiaj nie wiem.

Ale teraz milżej, bo już nikt za bilet na mój występ płacić nie musi, więc się

uspokoilałam wewnątrz.

Zaraz te trzy światła nad sceną zapalisz, bo makijaż już prawie skończyłam.

Tylko jeszcze mi perły zapnij.

Trzeba zamczek docisnąć, a mnie się ręce trzęsą.

Władeczku, czy ty mnie słyszysz?

Zawsze zadajesz sobie to pytanie, kiedy nie odpowiadasz.

Aktor jest wyczulony na słowo, więc się nie dziw, że tak natarczywie się godomagam.

Z takim milczkiem całe życie mi minęło.

I nie żałuję.

Chociaż, jak wiesz, trudno mi było wytrwać w małżeńskiej wierności.

Monogamia jest tak awyzerująca.

Przyznaję, czasami się zapominałam.

Alena krótko i tylko po alkoholu następowało we mnie chwilowe rozluźnienie.

Jednak nigdy pewnej granicy nie przekraczałam, chociaż pokusy były.

Teraz to ci mogę powiedzieć, że z moim scenicznym partnerem - tym, no wiesz.

Nazwisko mi z głowy wyleciało.

Takim wysokim, który nawet na generalnej jeszcze się z tekstem mocno sypał, za to

tańczył pięknie.

Więc z nim trochę intymnych chwil przeżyłam.

Ciężko ci by było wtedy, mój Władeczku, bo to ludzie zaraz "życzliwie" poinformują.

A ty jednak urodziłaś się w tym świecie.

No i nastąpiły dla nas trudne momenty.

Czułam się winna, ale przecież chwile zapomnienia nawet sklepowej się zdarzają.

Któż ma prawo mnie sądzić?

Ja osądzę siebie, Ludzie są u stóp moich, nade mną Bóg w niebie.

Wczoraj tak było.

Dzisiaj nie jestem niewinna!

Kocham Botwela!

Kocham!

Bóg mnie sądzić może.

Dzisiaj Maria Stuart 35

Dlaczego się do mnie odzywasz, Władku?

Chyba nie masz pretensji.

Chciałam, żebyś wiedział, że to było bez znaczenia.

Bo ja tylko w twoich światłach umiałam grać.

Mówiło mnie - wielka aktorka, a tobie - fizyczny.

Ja nie byłam wielką aktorką.

Coznaczy tych kilka głównych ról w prowincjonalnym teatrze, który nikt dziś nie pamięta?

Potem już tylko się śmiali: "Pijaczka, smutna, stara dupa".

Nie chciałam tego słuchać.

Najchętniej zakleiałabym uszy woskiem, żeby nie słyszeć.

Ale ciągle słyszałam.

Dlatego nalewałam kieliszek, odwracałam się do ściany i szybko wypijałam, żeby nikt nie

zauważył.

A ty, Władku, wiedziałeś, co się ze mną dzieje.

I nic nie mówiłeś.

Nawet nie prosiłeś: "Nie pij".

Tylko tak patrzyłeś na mnie.

Gdybym umiała to zagrać, twoje spojrzenie, ten wzrok.

Stary Wiarus też nic nie mówił, tylko przyniósł szarfę.

Ty nie miałeś szarfę, ale w twoich oczach byłowszystko - miłości strach o

mnie, żal i złość.

Nawet nienawiść tam była.

Widziałam ją.

Ale nigdy nie przekroczyłeś granicy brutalności.

Nie dałeś mi odczuć, że mnie pogardzasz za moją słabość.

Po prostu odstawiałeś kieliszek w inne miejsce.

Tak, jakby miało to jakieś znaczenie, gdzie stoi.

Widać dla ciebie to było ważne.

A ja już się nie wstydziałam.

Nawet garderobianej.

Kiedyś kieszonkę rozdarłam i kieliszek mi na podłogę wypadł.

A ona tylko zmiotła szkło.

I ani słowa, tak jak ty, Władku.

Możesz mnie kochać?

Kiedyś wchodzę, stoi przed lustrem, owinięta moim boa.

Zawstydziała się bardzo.

I mnie także się wstyd zrobiło, że ja znalazłam w takiej intymnej sytuacji.

Mam tremę, ciągle ją mam.
 Topodobnopravidłowe.
 Tylko z tych nerwów boję się, że tekstu zapomnę.
 Wprawdzie trochę lepiej umnie z pamięcią niż u ciebie, ale bardzo mi przeszkadza
 brak

suflera.

Ostatecznie i tymogłbyśmi właściwe słowo podrzucić.
 Na przykład: "Pani, jesteś blada".
 A ja już wtedy wiem, że dalej mówię:
 Klęknij tam przed ołtarzem, mów za mnie pacierze.
 Tyle razy to deklamowałam, niemożliwe żebyś niezapamiętał.
 Czy już po trzecim dzwonku?

- bo nie słyszę.

Idlaczego nie ma świateł?

Tak strasznie ciemno.

I jeszcze te dekoracje na samym środku.

Aprzecież zaraz mam grać.

Władczku, jesteś tam?

Wiem, że jesteś.

Nie rób mi tego, zapal światła!

Naprawdę mam żadnejbutelki.

Przysięgam!

Tylko szuflada spadła z tego stolika na scenie.

I chyba jakiś wazon się rozbił.

Władczku!

Ja nic nie widzę!

Zapal światła!

Proszę cię.

Nie możesz mnie tak karać.

Ja nie kłamię, nie mam butelki.

Tym razem naprawdę nie kłamię.

Proszę o litość.

Królowa prosi cię o litość.

Na kolanach!

Niebędzie bisów.

Pani Alina Strzelecka jest zmęczona.

Chciałbym poinformować, żezgodnie z życzeniem naszej gwiazdy, pieniądze z
 dzisiejszej

sprzedaży biletów zostaną przeznaczone na potrzeby ośrodka leczenia uzależnień.

Dziękujemy za wspólnie spędzony wieczór.

I dobranocpaństwu!

Perła

Na grubej podkładce duża, przypięta spinaczem kartka.

Okrągłe litery starannego pisma.

Kolorowym mazakiem zaznaczone punkty i podpunkty.

Numer jeden: "Pościel (koc, kołdra, poduszka, bielizna pościelowa) - spakować w

worki (przyjdzimatka z kuzynem]".

Posłusznie zabrałam się do wykonania polecenia.

Powoli wyjmowałam zawartość komody na pościel.

Ręce mi się trzęsły, kiedy starałam się zachować zastany porządek i przenieść go do

wnętrza plastikowego worka.

W końcu wszystko, co starannie ułożone, rozsypało się jak karty z talii.

Każda w swoją stronę.

Czułam się bezsilna wobec zadania, jakiego się podjęłam.

Patrzyłam na rozrzuconą nieładzie pościel, na pokój.

Tak go kiedyś lubiłam.

Wystarczyło zamknąć drzwi, by znaleźć się w innym świecie - jej świecie, akwareli na

ścianach, zdjęć w odpowiednio dobranych ramkach, starannie upiętej zasłony z prawie

niewidocznym wzorem, przysłaniającej okno.

Nawet mała cukierniczka w drobne kwiatki stojąca na stole była dokładnie taka,

jaka miała być.

Lubiłam jej dotykać, kiedy gospodyni przyrządzała herbatę.

Mieszała kilka gatunków, dokładała skórkę pomarańczową, goździki, cynamon.

Głaskałam białą porcelanę i małe kwiatki.

I chociaż seans przygotowywania herbaty trwał i trwał, samo czekanie na nią było równie

przyjemne jak picie drobnymi łykami gorącego, parującego napoju.

Tajemnicza warta w zwiniętych liściach herbaty zaskakiwała mnie za każdym razem. Lubiłam, kiedy pokurczone i martwe pod wpływem ciepła nabierały nowych kształtów. Pokój powoli wypełniał się aromatem.

Świeca oświetlała tylko najważniejsze w tej chwili miejsce: stół, kwiaty w wazonie i

dwie porcelanowe filiżanki z kwiatkami jak na cukiernicy.

Otwarty numer "Poezji", z zaznaczonym zakładką wierszem, czekał, aż zaczniemy naszą

rozmowę.

Mówienie o rzeczach zwyczajnych - ścisisku w tramwaju, zakupach, bólu głowy -

byłoby zwykłą stratą czasu.

Nie wtedy, nie przy herbacie, którą piłyśmy powoli, by nie poparzyć ust.

Zresztą rzeczy by nie były godne uwagi.

Nie powinny zaprzętać umysłu, zabierać więcej czasu, niż wymagało tego ich załatwienie.

W innym, lepszym świecie, który postanowiła stworzyć, wszystko musiało do siebie

pasować, jak cukiernica do filiżanki.

Staraliśmy się budować bardzo poprawne zdania, dobierałam słowa, by uniknąć banału.

Modulowałam głos, aby był odpowiednio ściszony, dopasowany do wystroju stołu, do tego

pokoju, do niej.

Inni robili tak samo.

Nie klęli, nie śmiali się głośno.

Uczestniczyli podobnie jak ja w dziwnym misterium wspólnego budowania lepszego świata,

używając do tego innego języka, którym nie mówi się na codzień.

Perła 39

Kiedy podróż do krainy łagodności dobiegała kresu i rozchodziliśmy się do swoich

domów, do zatłoczonych tramwajów, swoich mężów i kochanków, dzieci i kłopotów, byliśmy

jacyś inni.

Odświeżni, jakbyśmy wychodzili z teatru i czuli się w ciemnych garniturach czy

sukienkach, stojąc na przystanku wśród zwykłych ludzi, którzy nie rozmawiali o

poezji, nie pili herbaty z pomarańczową skórką, nie przegryzali cynamonowych ciasteczek.

Nagle pokój wydał mi się tylko teatralną dekoracją.

Czymś, co jest, a nie istnieje bez jego właścicielki.

Na małym gwoźdźniku, gdzie wisiała akwarela przedstawiająca tancerkę w chińskim stroju,

teraz bujał się pająk.

Chciałam go rzucić na podłogę, ale nagle zrozumiałam, że jest tu gościem.

Tak samo jak ja.

Zostawię to wszystko.

Po prostu oddam klucze.

Niech inni wypełnią tę jej ostatnią wolę.

- Poddaję się!

- krzyknęłam.

Zaścianą słycać byłowarczący telewizor.

Mojarozpacz ginęła, zagłuszana odgłosami życia.

Nikogonie interesowała, nikomunie była potrzebna.

I wtedy mój wzrok powędrował na pustą ścianę, tylko z jej portretem, narysowanym

cienką kreską zwykłego ołówka.

Oczy, lekko przymrużone, zestarannymobrysem rzęs, patrzyły na mnie jak na zdrajczynię.

Siedziałam przez chwilę bez ruchu, niczym złapana w pajęczynę mucha.

Jednocześnie czekałam, aż sytuacja rozwiąże się w jakiś korzystny dla mnie sposób.

Przez szybę widziałam ołowiane chmury przetaczające się ponad blachą sterczącej krzywo

rynny.

Pomoc nie nadchodziła.

Pokornieukłękłam i starałam się ułożyć od nowa w worku przeznaczoną dla

niego zawartość.

Wreszcie jakoś upchnęłam kołdrę, poduszkę, koc.

Skleiliśmy specjalną taśmą, by w czasie transportu nie uległy zniszczeniu.

- Pragnę zostawić po sobie porządek - powiedziała na kilka dni przed śmiercią.

- I proszę, abyś tego dopilnowała.

Mówiła coraz wolniej i z coraz większym trudem, robiła przerwy.

- Zrozum, nie chcę, by obcy dotykali moich książek, moich obrazów i zdjęć,

zniszczyli je albo zostawili w nieładzie.

Ja teraz małościę, bo wiem, że nie mam już czasu, więc wszystko zapisałam na tej kartce.

Moja matka jest stara i nie powinnam jej tym kłopotać.

Staralam się pisać wyraźniej w punktach.

Tak będzie ci łatwiej - tłumaczyła.

- Po prostu odkreślisz to, co już załatwione.

Potem długo ścisnęła moją rękę, a ja powtarzałam to, co zwykle mówimy w takich

sytuacjach.

- Będiesz zdrowa, nic złego się nie stanie.

Przecież lekarz zapisał ci nowe zastrzyki.

Zaraz przyjdzie pielęgniarka.

Będzie dobrze.

Wszystko będzie dobrze!

Zaczęłam mówić coraz szybciej, żeby nie zdążyła zaprzeczyć.

Chciałam przekonać ją i siebie, że jeszcze nie teraz, nie tym razem.

Milczała, widząc, jak się staram, by mi uwierzyła.

W końcu poddałam się.

- Dobrze, przyrzekam, że wszystkiego dopilnuję.

Będzie tak, jak sobie życzysz.

- Wiem - powiedziała z trudem.

Potem pokazała mi rękę zsufladę przy łóżku i złożyła kolejny wyraz: klucze.

Posłusznie wyjęłam je i schowałam do torebki.

Perła 41

Był piątek kończący pracowity tydzień.

Miałam do załatwienia tysiąc ważnych spraw.

Dopiero po południu dowiedziałam się, że telefonowała jakaś starsza pani.

- Mówiła niewyraźnie, chyba płakała.

Kazała ci przekazać, że ona odeszła o czwartej nad ranem.

Wiesz, o co chodzi?

- spytała koleżanka zabiurka.

- Tak, wiem - powiedziałam, odkładając torebkę.

- Dlaczego takie wiadomości dopadają nas, gdy jesteśmy w biegu?

Dlaczego nie ma na to jakiejś odpowiedniej pory?

Powinnam się rozpłakać, ale moje oczy ciągle były suche.

Sięgnęłam do torebki.

Klucze odjemieszkania leżały w przegródce zamykanej na zamek.

Zaparzyłam herbatę i dopiero obrzydliwy smak zalanej wrzątkiem torebki z
byle

jaką zawartością uświadomił mi, że to koniec.

Nigdy niebędę piła herbaty z małej porcelanowej filiżanki, nie sięgnę po cukier

schowany w cukierniczych kwiatki.

Nie będzierników opozycji, wystaw, które trzeba koniecznie obejrzeć, kartkowania
albumów

z reprodukcjami wybitnych malarzy.

Nie będzie lepszego świata, w którym byłam częstym gościem.

Zabrano mi coś ważnego bez mojej zgody, bez pytania, czy jestem

gotowa zaakceptować i przyjąć.

A teraz muszę iść i posprzątać po czyimś życiu, spakować je w foliowe worki i
pudełka.

Punkt drugi: "Książki.

Przekazać do biblioteki osiedlowej.

Kartony stoją w kuchni".

Rzeczywiście.

Pod oknem zobaczyłam długi rząd kartonów po kosmetykach i płynach do prania,
wyłożonych

gazetami.

Pewnie ktoś je przyniósł po moim odejściu.

Pakowanie książek zajęło mi przeszło dwie godziny: Herbert, Odojewski, Bułhakow,

Zagajewski.

Klasyka, poezja.

Trochę szkoda tej starannie dobranej literatury doosiedlowego punktu

bibliotecznego, pomyślałam, aledyspozycja była wyraźna.

Albumy o sztuce, duże i niewygodne, z trudem udało mi się ułożyć w pudełkach.

Nagle spomiędzy nich wypadła cienka książeczka z dziwną okładką.

Jerzy Narbutt Drugatwarz portretu.

Tak, to tego szukała podczas naszego ostatniego spotkania.

Chciałam coś przeczytać.

Tylko co?

Przejrzałam w pośpiechu.

I wtedy zobaczyłam zaznaczony delikatnie ołówkiem fragment: "Właściwie to malujesz

ciągle jeden portret, a może wciąż inną wersję jednego portretu".

Nachwilę pomiędzy szare chmury za oknem wdarł się, jak nieproszony gość, promień

słońca i zatrzymała jej podobiznie, starannie wypracowanej w ołówku.

Oświetlił cień rzęs, kształtny nos, ładnie zarysowane usta, oczy pełne tajemnicy,

przenikliwie.

Pamiętam, jak powiedziała kiedyś: "Dlaczego Pan Bóg ocalił jedynie moją twarz?"

Czy naprawdę mógł więcej?

"

Tylko raz pokazała mi zdjęcie, gdy była jeszcze dziewczynką, w krótkiej sukience

i białych skarpetkach.

Włosy miała splecione w warkocze, a ciemne oczy przysłonięte równo obciętą grzywką.

- To było jeszcze przed Heine - wyszeptała i szybko schowała fotografię na dno

szuflady.

Choroba zmieniła jej sześćoletnie ciało.

Zdeformowała kręgosłup, nogi, ręce, klatkę piersiową.

Innym dzieciom zostawiała zdrową nogę lub rękę, jej nie zoPerła 43

stawiła nic.

Skazała na tortury, cierpienie i ból, a później głębokie fizyczne upośledzenie.

Kiedy dorosła, postanowiła stworzyć inny świat.

Naprzekór temu, który ją osaczał - ludzkiej złośliwości, nietolerancji, pogardy dla

słabych, dla kalek.

Wiedziała, że jest, że istnieje, znała go zbyt dobrze.

Dlatego dla siebie wymyśliła ten drugi - świat książek, wierszy, malarstwa i muzyki.

Ładnego języka, starannie parzonej herbaty.

I była w tym wyborze konsekwentna.

Nawet oswoim ojcu, alkoholiku, mówiła: "Był człowiekiem słabym.

Życie go przerosło.

Ale był dobry.

Umarł, żałując tego, co robił.

I Bógmu wybaczył.

A teraz czeka na mnie.

I już się cieszę na to spotkanie.

Tyle mam mu do powiedzenia".

Znałam ją wiele lat, a tak mało wiedziałam.

Tylko tyle, ile chciała.

Kiedyś powiedziała: "Być blisko to nieznaczy - za blisko.

Wtedy trudniej zranić".

Umiejętnie wyznaczała granice stawianych pytań.

^

Czy pragnęła kiedyś mężczyzny, myślała o tym, "chciała mieć dzieci?

Zaakceptowała swoją fizyczną ułomność czy miała momenty wątpliwości?

Jak radziła sobie z bólem, nie tylko tym fizycznym?

Wreszcie, czy wybaczyła Bogu, że tak ją doświadczył?

Tyle chciałam wiedzieć, ale nigdy nie odważyłam się zadać tych pytań.

Kolejny punkt: "Praca doktorska (Materiały są w teczce.

Oddać do instytutu)".

Na wiosnę szykowałam się do obrony.

Dużo pracowała, chociaż każda wyprawa do biblioteki była wysiłkiem.

Nigdy się nie skarżyła.

- Cieszę się, że przedłużyłam kartę biblioteczną - mówiła uradowana.

- Pani, przystawiając pieczęć, ot.

tak, zwyczajnie podarowała mi kolejny rok życia, sama o tym nie wiedząc. To znaczy, że trzeba pracować- mówiła, chociaż atakikaszlutrwały coraz dłużej.

- Ludzie z moją chorobą, z tak zdeformowaną klatką piersiową rzadko dożywają

trzydziestki.

Od kilkulat żyję na kredyt, ale nawet ten z odroczoną płatnością trzeba w końcu spłacić

- te gorzkie słowa byłyjedyną skargą w ciągu wielu lat naszej znajomości.

"Moje podróże".

Przytym punkcie narysowała cośna kształt uśmiechniętego dziecięcego lizaka.

Niedawnopokazałam gruby brulion z napisem

"Grecja".

- Ja wiem, że to śmieszne, jednak muszę ci się doczegoś przyznać.

Od kilku latpodróżuję.

Totakiedziecinne zajęcia.

Zabiera mi czas,ale jakoś nie potrafięzrezygnować - tłumaczyła się,choć wcale tego

niewymagałam.

- Zapisujęwszystko,co może sięprzydać.

Informacje o hotelach, zabytkowych obiektach, co warto zwiedzić i gdzie.

Teksty przedzielały widokówki, etykieta z butelkigreckiego wina,fragment

greckiejgazety.

Wszystkostatannie zaprojektowane, jak w prawdziwym przewodniku.

- Brakuje tylko morza i piasku podstopami, zażartowałam - chociaż od razu

zdałam sobie sprawę z popełnionego nietaktu.

-Tak, to głupie- powiedziała iszybko zamknęła brulion.

- Dlaczego Grecja?

- ciągnęłam, zdając sobie sprawę, że brnę za daleko.

Nie wiem, moje imiępo grecku znaczy "perła" - powiedziała, chowając brulionpod stertę

gazet.

- Jest jeszczeEgipt iTurcja.

Do in

Perła 45

nich gromadzę materiały.

Nieraz się zastanawiam, jakdaleko zdołam dojechać.

Punkt "bruliony" opatrzyła dopiskiem: "PrzekazaćIrenie, uczy geografii,

zostawiam numer telefonu".

Zapakowałam wszystko do dwóch pokaźnych pudeł i określiłam kolejny numer na

kartce.

Nagle przypomniałam sobie naszą rozmowę.

- Do swoich marzeń o podróżach powinnam dodać najważniejsze -
powiedziała.

- Chciałabym objechać świat autostopem.

Kiedyś zresztą jechałam, wprawdzie tylko trzydzieści kilometrów, ale jednak.

I ten kierowca najpierw nie chciał mnie zabrać, bo się bał, że mogę sobie coś

uszkodzić czy złamać, a w końcu machnął ręką.

Siedziałam na jakichś skrzynkach w furgonetce.

Był duży wiatr, niebezpieczny dla moich płuc, ale nic się nie stało.

To niezwykle tak jechać, poznawać nowych ludzi, patrzeć na wszystko z bliska.

Prostu żyć!

Rozejrzałam się po pokoju, który teraz przypominał miejsce

wielkiej przeprowadzki.

Szuflady!

Powinnam opróżnić szuflady.

Otworzyłam jedną, drugą, trzecią i wszystkie okazały się puste.

Tylko w tej najniższej, przy łóżku, znalazłam małe pudełko z muszelkami i lalkę.

Miała śniegospłecione warkocze zrobione z prawdziwych włosów, na nogach buciki ze skóry,

pończoszki sukienkę w kolorowe kwiatki.

Karminowe usteczka zastygły w półuśmiechu.

Niebieskie oczy skryły się pod rzęsami.

Tak, to o niej opowiadała kiedyś, po raz pierwszy obnażając swój ból.

A wiewiał ałkaistnieje.

Była z nią przez cały czas.

- Wiesz, kiedy zachorowałam na chorobę Heinego-Medina, spędziłam dwa lata w

szpitalu zakaźnym, gorszym niż więzienie.
 Nie wiedziałam, czy żyję, czy już umarłam.
 Moje ciało nagle zaczęło się zmieniać.
 Stawało się bezwładne, tracił odawny kształt.
 Niemogłam chodzić, ruszać rękami, jeść.
 Mogłam tylko leżeć, patrząc na białe ściany i drzwi odgradzające mnie od świata.
 W ogóle nie wiedziałam, czy jeszcze jakiś inny świat istnieje.

Tej choroby bali się wszyscy, nawet lekarze, bo też mieli dzieci.
 Opiekowały się mną zakonnice w białych wykrochmalonych kornetach.
 Najpierw, kiedy miałam wysoką gorączkę, myślałam, że jestem w niebie, a oneto anioły.

Potem zrozumiałam, że nie wszystkie.

Nikt mnie nie odwiedzał.

Powoli traciłam kontakt z rzeczywistością, ze światem poza murami szpitala.

I wtedy dostałam tę lalkę.

W domu była bieda, więc taka lalka to był cud.

Na pewno musiała kosztować majątek, ale oni, moi rodzice, jakoś ją zdobyli.

Niemogli być ze mną, siedzieć przy łóżku, trzymać za rękę.

Nawet na mnie popatrzeć, bo dla nich, jak dla wielu innych, droga na oddział zakaźny

była zamknięta.

Kiedy dostałam lalkę, zrozumiałam, że są ze mną, kochają mnie.

Nie zostawili w tym kropnym, ponurym szpitalu, z tą straszną chorobą.

Patrzyłam na lalkę i widziałam dom.

Nawet niemogłam jej dotknąć, bo nie miałam siły.

Ale była zemną i oni też tam byli.

I wtedy jedna z zakonnice, która nie lubiła ani mnie, ani innych chorych dzieci,

schowała tę lalkę pod poduszkę, wiedząc, że nie dam rady jej stamtąd wyjąć.

Perła 47

Zostałam ukarana, bo pobrudziłam koc, rozlewając zupę, chociaż byłam bez winy.

Po prostu wykrzywione chorobą ręce nie chciały mnie słuchać.

Całą noc płakałam.

Moja poduszka była całkowicie mokra.

Bałam się, że lalkę udusi albo utopi w moich łzach, ale nie mogłam przestać płakać.

Wtedy straciłam wiarę, a moja droga powrotu do Boga była bardzo długa.

Na dworze zrobiło się już ciemno.

Ostatni punkt listy dotyczył garnków i naczyń kuchennych.

Na końcu znalazłam dopisek: "Jeśli jest jakaś rzecz lub książka, która sprawiłaby ci

przyjemność - przyjmij ją w podarunku".

Po długim wahaniu wyjęłam z kartonu zbiór powiadań Narbutta.

A lalka?

Skoro zostawiła ją w szufladzie, być może była przeznaczona dla mnie?

Długo nie mogłam się zdecydować.
W końcu położyłam ją na worku z pościelą, po który miała przyjść matka.
To był przecież prezent od niej.
Dla siebie wzięłam jeszcze filiżankę w małe kwiatki i cukierniczkę, którą tak lubiłam.
Pokój z wnęką kuchenną w niczym nie przypominał tego sprzed kilku dni.
Pozbawione obrazów ściany były przeraźliwie puste.
Tak jak okno bez firanki, którą zdjęłam i schowałam razem ze ścierkami do papierowego

worka.

Tylko pająk ciągle bujał się na małym gwoździu, chodząco w górę, to w dół po

długiej pajęczynie.

Zgasłam światło.

Nagle ktoś kopnął w drzwi.

48

- Zawsze daję z kopa, jak przechodzę koło tej karlicy!

- usłyszałam.

-A kiedyś przywalę jej drzwiami od windy.

Prosto w garb.

- Już niezdążysz.

Umarła.

- Ściemniasz!

-Nie, co ty, umarła.

Wiemna bank.

- No toalleluja!

Garbacicha i Mamrotka

Kto był ojcem i matką Garbacichy, nikt we wsiewiedział, chociaż wydawało się

to równie nieprawdopodobne jak śnieg w końcu maja.

Kiedyś jednak się zdarzył, pewnego roku, jeszcze przed wojną.

Od tej pory wiara w to, co nieprawdopodobne i niewyobrażalne, była trochę większa, bo

słowo śnieg w końcu maja okazało się możliwe, to możliwe były i inne rzeczy.

Wprawdzie Garbacicha wzięła się nie wiadomo skąd, ale mieszkała w małym domku na

skraju lasu od zawsze.

Najpierw opiekowała się starym Michtą, który wybierał się na śmierć z powodu dziwnej

choroby.

Przestał chodzić, rozmawiać, a wreszcie już tylko leżał w łóżku i marzył.

W końcu, kiedy się zrobiła cała wiosna, niczym krasnal z bajki, umarł bez żadnej nagłej

przyczyny.

Nie wiadomo, dlaczego Garbacicha u niego zamieszkała.

Może szła od strony lasu i trafiła do tego domu jako pierwszego, chociaż był ostatnim,

który jeszcze należał do wsi.

Widocznie uznała, że w innym miejscu już szukać nie musi, mimo że pozostałe domy we wsi były

w znacznie lepszym stanie, z czerwonej cegły, z bielonymi izbami i gankami.

Może nie wierzyła, że ktoś oprócz Michty będzie chciał ją przyjąć z powodu garbu, którego nie dał się ukryć ani pod szerokim swetrem, ani pod płaszczem. Michta ze swoim starym domem pojawił się najej drodze albo ona nadrodze Michty. Było więc- jakbyło.

Na pewno nie jadła darmowego chleba, bo krzątała się po gospodarstwie odrana do nocy, więc Michta mógł sobie spokojnie umierać w czystej izbie i wypranej pościeli. Przez otwarte drzwi zerkał latem nakwiaty rosnące na grządkach. Nie martwił się o krowę, która zawsze miała co jeść. Za pieniądze zesprzedają mleka Garbacicha mogła kupić choremu przepisane przez doktora lekarstwa, dzięki którym umierała dłużej i wolniej.

Kiedy wreszcie przeniósł się pod krzyż drewniany, na cmentarną górkę, nadal mógł liczyć na Garbacichę, która na Wszystkich Świętych robiła świerkowewianki, z kwiatami z bibuły moczonymi w roztopionym wosku. Wyglądały jak prawdziwe, a nadeszczunienamakały jak zwykły papier. Potem innym też się spodobały kwiaty z karbowanej bibuły i już na miesiąc przed świętem zmarłych chały dom Michty przypominał kościół przed rezurekcją. Tyle że kwiaty były w smutnym kolorze ziela.

W czasie żniw posyłali po Garbacichę, żeby przysłała do stawiania snopków i układania sztaplowanej słomy. Plecy miała wprawdzie zdeformowane, za to była silna jak niejeden chłop, a zwinne, zdrowe nogi pozwalały łatwo wspiąć się na wóz drabiniasty.

Pamiętali o niej przy kopaniu kartofli i pieleniu buraków, a nawet zimą, kiedy trzeba było dzieci dopa Garbacicha i Mamrotka⁵¹ trzyć albo domu dopilnować.

Wieszyla więc Garbacichy, a Garbacichaze wsi, bo taki się ustalił porządek. Tylko w niedzielę, na sumie, nigdy nie siadała w ławce, tylko stała pod ścianą. Może uważała, że takim jak ona inne miejsce Pan Bóg wyznaczył, albo nie chciała, by odsuwali się od niej ci, którzy oprócz wielu zalet Garbacichy widzieli również jej garb.

Jednego roku - abył torok zwyczajny, jak wszystkie poprzednie, który budził się z pierwszą przylaszczką, zasypiał przysypyany kolorowymi młóściami, a później śniegiem - zdarzyło się to wszystko.

Na wyrębie lasu pojawili się wczesną jesienią porą mężczyźni z siekierami i piętami.
Drzewa połamane wiatrem, oberwane gałęzie zaczęli ciąć, sortować i układać.
Wszystko to działo się prawie przy domu Garbacichy, więc stukanie siekier i jęk pił nie mogły ujść jej uwadze.
Tak, jak jej obecność nie mogła ujść uwadze mężczyźni, którzy przez kilka godzin robili tyle hałasu.
Po robocie siedzieli na pniach, pili piwo i kurzyli papierosy.
Szczególnie jeden z nich, czerwony na twarzy z wysiłku, a może i od alkoholu, silny i wysoki, zwrócił uwagę Garbacichy, a ona jego.
Zaczeplił ją, jak szła z lasu z peleryną pełną szyszek na opał, i powiedział, żeby sobie wzięła trochę pociętych gałęzi.
Pomógł nawet ułożyć drewno pod daszkiem przy domu.
Za przysługę dała mu kubek mleka, którego dzięki krowie starego Michty było pod dostatkiem.
Wypił, podziękował i poszedł.
Następnego dnia zjawił się znowu.
Zapukał w małą szybkę i spytał, czy może liczyć
M..

na poczęstunek, bo mleko od krowy starego Michtybardzo mu posmakowało.
Otworzyła okno, a potem drzwi.

Nie wiedziała, że wpuszcza do domu demona, diabła rogatego.
Nic jej nie podpowiedziało, że nieszczęściu sama otworzyła drzwi.

Zaczął przychodzić do Garbacichy każdego dnia.

Koledzy wołali: "Idź, niech ci zrobi dobrze i pobujana garbie!

" Udawał, że nie słucha, chociaż coraz częściej myślał o kobiecie, która oprócz

szpecącego garbu miała pewnie to, co wszystkie inne.

Garbacicha nie wiedziała, że została opanowana przez demona.

Nigdy nie był mężczyzną, nie licząc starego Michty, który nie tylko o męsko-

damskich sprawach, ale i obozym świecie niewiele już wiedział.

Nie rozumiała, dlaczego jej brzuch zaczął dziwnie reagować drząc z gorąca.

I pewnego popołudnia demon przejął swoją podstępna władzę nad całym umysłem

Garbacichy.

Nie broniła się, gdy duży mężczyzna o czerwonej twarzy wziął ją w swoje panowanie.
Potem zasnął zaspokojony, a ona zaczęła się modlić przed świętym obrazem, choć

wiedziała, że ta modlitwa nie zostanie wysłuchana.

Przychodził do niej jeszcze dwa tygodnie.

Kiedy powiedziała, że dopuszczają się grzechu i gniewu Bożego, zaśmiał się zły, głośnym

śmiechem.

"Grzech to babie nie ulżyć, nawet jak garbata jest".

I on właśnie chrześcijański uczynek zrobił, a jak się jej nie podoba, to więcej nie

przyjdzie - oświadczył.

Widać był diabłem podstępnym, skoro jej rozum odebrał, bo zaczęła go

prosić, żeby nie odchodził.

Tłum

Garbacichai Mamrotka 53

maczyła, że miejsca w chałupie dosyć imograzem w domu starego Michty
zostać.

Wtedy zaśmiał się znowu i powiedział: "Pobujałem się na garbie i wystarczy".

Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Nie wiedziała, co ma robić dalej, pragnęła tego mężczyzny, ale rozumiała, że nie

ma prawa niczego wymagać.

Była przecież Garbacicha, a nie normalną kobietą, postawą godną męskiego

zainteresowania.

Przed samym wyjazdem jeszcze raz się zjawił, pijany, czerwony od wódki.

Dostał wypłatę i opróżnił kolegami już wiele butelek na leśnym wyrębie, wśród równo

ściętych pni drzew.

Zaczęła krzyczeć, żeby sobie poszedł i ją zostawił, bo nie godzi się tak postępować, ale

nie słuchał.

"Ostatni raz muszę sobie ulżyć - wołał.

- Ostatni!

"Uciekała, chowała się za szafę, chciała wejść pod łóżko, jednak zrozumiała, że nie ma

takiego miejsca, w którym mogłaby się schronić przed tym mężczyzną, rozgrzanym alkoholem

i podnieceniem.

Porwała więc ze ściany święty obraz, licząc, że uchroni przed złem.

Wyrwał jej z rąk podobiznę Matki Bożej, rzucił na podłogę i rozdeptał ciężkim butem.

Potem wziął ją, nie bacząc na krzyk i płacz.

I, jak twierdziła, właśnie wtedy napelnił diabelskim nasieniem.

Od tamtej pory Garbacicha, opanowana przez demona, chodziła po wsi z włosami

rozwianymi na wietrze.

Nie zauważyła, że zrobiło się zimno i trzeba włożyć płaszcz.

Zamiast ciepłych butów ciągle miała na nogach stare, męskie sandały Michty, a spod

swetra sterczał coraz grubszy brzuch.

^.

"Garbacicha się puściła" - poszło przez wieś, niesione wiatrem.
 "Ciekawe, kto z nią przyjemność miał?"
 "- zastanawiali się w niejednej chałupie.
 Awyrostkiwołały: "Dogodził ci, Garbacicho, nie ma co!
 Teraz masz dwa garby, z przodu i z tyłu".
 Nie słuchała ich, wiedziała, że demon zamieszkał jej brzuchu i musi czekać,
 aż

się od niego uwolni.
 I wreszcie, któreś nocy, z pomocą wiejskiej położnej brzucha Garbacichy wyszło

dziecko, które było jakinne dzieci - różowe i okrągłe.
 Diabeł zostawił jednak swój ślad.
 Urodziło się bez ucha.

Garbacicha uznała, że to kara zesłana przez Boga, bo nie rozpoznała demona,

który opętała ją, i cały dom Michty.
 Podczas wichury spadały bowiem cegły z komina, potemurwał się zawias przy okiennicy, a

plot, który stał do tej pory prosto niczym żandarm na posterunku, zaczął się chwiać i
 kłaść na jedną stronę.

Bała się mieszkańcu domu opanowanym przez demona, ale gdzie miała się podziąć ze

swoim garbami dzieckiem bez ucha?

Krowie mleko, które skusiło diabła, jakoś dziwnie smakowało małej dziewczynce, bo

rosła zdrowa, mimo fizycznego defektu.

Jednak Garbacicha nie umiała pokochać kogoś, kto począł się wbrew jej woli, w

wynikudziałań nieczystej siły.

Nie okazywała uczuć, przestała dbać o czystość i porządek.

Była już kimś innym, naznaczonym przez grzech.

Kiedy dziewczynka zaczęła mówić, okazało się, że to nie koniec diabelskich

występków.

Bełkotała nieskładnie: mama, krowa, mleko, las, kot, moje.

Nie wiadomo, co chciała powiedzieć, bo wymawiała tylko po

Garbacicha i Mamrotka 55

jedyncze wyrazy.

Wieś nazwała ją "Mamrotka".

I niewiedomobyło, czy miała jakieś inne imię, bo nie została ochrzczona.

Garbacicha bała się bożego gniewu i uważała, że niema prawa liczyć na

miłosierdzie Pana.

Wprawdzie jest wyrozumiały dobry, ale na pewno niedla zadających się z diablem, który

przybrał ludzką postać.

Garbacicha i Mamrotka żyły więc sobie na skraj wsi, w domu opanowanym przez

demoną, gdzie nawszelki wypadek nikt nie zaglądał.

Żywiły jęlas i krowa.

Czasami chodziły do gospodarzy, ale tylko w pole.

Do domu nikt ich nie wpuszczał, bo brzydko pachniały były brudne.

Mamrotka rosła zdaleka od innych dzieci, musiała jej wystarczyć las i łąki, po

których chodziła, mamrocząc do siebie pojedyncze słowa bez żadnego ładu i składu.

Garbacicha zaczęła się niepokoić dopiero wtedy, gdy zauważyła, że spod fartucha

zaczęły sterczeć dziewczęce piersi.

Wiedziała, jak trudno oprzeć się pokusom szatana, który przybiera czasami postać

mężczyzny.

Bała się, że ktoś skrzywdzi Mamrotkę i nie będzie to zwykłe szarpnięcie za włosy, żeby

obejrzeć miejsce po uchu, które nie urosło.

Odtąd nie pozwalała jej wychodzić nigdzie samej, nawet po szyszki do palenia w

piecu ani po jeżyny.

Sz szczególnie jedno miejsce, dokładnie nad drugim końcem wsi, uznała za zagrożenie dla

swego dziecka.

W starym, opuszczonym domu zbierali się chłopcy, a także dorośli mężczyźni, by używać

sobie z panienkami, które według nowych obyczajów nie musiały już dochować wiara

dziewczęcej cnoty.

Na betonowym murze ktoś napisał "sex-shop" i było znak rozpoznawczy dla wszystkich, również dla Garbacichy, że miejsce to opanował szatan i spełnia swoje złe uczynki.

Ksiądz na kazaniu, na rekolekcjach i przy każdej innej okazji mówił, że trzeba zniszczyć to szatańskie gniazdo, ale słowa wielebnego na niewiele się widać zdały, skoro

nawet po niedzielnej sumie do sex-shop uszli młodzi i starzy.

Garbacicha nie wiedziała, jak wytłumaczyć Mamrotce, by nie zwracała uwagi na młodych chłopców omijających miejsce opanowane przez demona, który teraz miał dwie

kwatery - dom starego Michty i sex-shop.

Kiedyś, w niedzielne popołudnie, diabeł zesłał na Garbacichę sen. Usiadła przy stole i zasnęła bez żadnej przyczyny. Mamrotka, niepilnowana przez matkę, wyszła na wiejską drogę i tym razem, zamiast

skierować się w stronę lasu i łąk, poszła w przeciwną.

Kiedy znalazła się przy płocie odgradzającym ją od sex-shopu, stanęła z zaciekawioną widokiem rozochocionych od alkoholu mężczyzn. Nie spodziewała się żadnego niebezpieczeństwa, nawet wtedy, gdy ktoś krzyknął: "Dawać

Mamrotkę, zobaczymy, czy chociaż tam jej niczego nie brakuje!

" Jakiś barczysty chłopak zaczął ją ciągnąć w stronę betonowego budynku, przyciskać do

ściany, wkładać rękę pod spódnicę, szarpać włosy.

-Zobaczcie jej ucho, małe niczym kurza dupa!
-wołał.

Garbacichai Mamrotka57

Mamrotka wyrywała się i krzyczała, ale to jeszcze bardziej podniecało pijanych mężczyzn.

Po chwili leżała już nabarłogu, z rozkrzyżowanymi nogami, a kolejkachętnych, by

sprawdzić, czy u Mamrotki w tym miejscu wszystko w porządku, niecierpliwiła się.

- No, dalej!

- poganiał jeden drugiego.

Mamrotka już się nie wyrywała, tylko mruzczała coś pod nosem, pogodzona z sytuacją,

świadoma braku szans, by ją

zmienić.

Garbacicha obudziła się nagle.

Tak samo nagle, jak zasnęła.

Zaczęła wołać Mamrotkę, ale nie było jej ani w mieszkaniu, ani w chlewie, przy krowim

korycie.

Wybiegła na łąkę, na pole, do lasu, jednak czuła, że musi szukać w innym miejscu.

Pędziła przez wieś, z włosami rozwianymi jak strach na wróble, krzyząc:

"Mamrotka!

", a ostatnie sylaby jak echa odbijały się od ścian mijanych domów.

Kiedy usłyszała hałas w betonowym budynku z napisem "sex-shop", już wiedziała, że

diabeł zrealizował swój plan, tak jak sobie postanowił.

Wpadła w tłum rozprawionych mężczyzn, którzy zapinali rozporok podni.

Nie zauważyli jej - wrzeszczała, kopała i drapała, zmuszając, by się rozstąpili.

Na barłogu leżała Mamrotka, półżywa, spuchnięta od płaczu.

Mamrotka jeszcze szybciej niż zwykle - chłop, boli, tam, mama, nie.

Garbacicha wzięła ją w ramiona jak małe dziecko, tuliła i gładziła po potarganych

włosach.

Mężczyźni w milczeniu wychodzili powoli z domu z napisem "sex-shop".

W nocy Garbacicha wróciła raz jeszcze w to miejsce, opanowane przez demona.

Ułożyła stos z gałęzi,

lepkich od gęstej żywicy.
 Podpaliła i wyszła.
 Nie widziała strażackich wozów, które przyjechały ugasić pożar, leżała na łóżku obok
 Mamrotki, głaskała ją, kołysała w ramionach.
 Nawet ksiądz na kazaniu, zamiast złymczyń Garbacichy, mówił o słusznej
 zemście odwadze ułomnej kobiety.
 Nie słyszała tych słów.
 Myślała tylko o jednym: czy diabelskie nasienie znalazło lokum w ciele Mamrotki?
 Modliła się, jak kiedyś, przed świętym obrazem paliła gromnicę nadzieją, że
 zło odejdzie wreszcie z domu opanowanego przez demona.
 Niestety, po kilku miesiącach usilnych próśb okazało się, że brzuch Mamrotki jest coraz
 bardziej okrągły.
 Garbacichy ze strachem czekała na moment rozwiązania, usiłując zwickłać
 zagadkę:
 jaką tym razem niespodziankę zgotuje jej demon pod postacią mężczyzny?
 Kiedy wreszcie położna przysłała ulżyć Mamrotce bólu, Garbacichy czekała
 niecierpliwie, aż dziecko opuści ciało młodej matki.
 Trzymała w ręku nóż doprzecięcia pępowiny, gotowa użyć go jednak w zupełnie
 innym celu.
 Wiedziała, że musi to zrobić, inaczej diabelskie nasienie rozsieje się po
 świecie.
 Jednak przez długie dziewięć miesięcy nie śmiała modlić się o cud, stojąc daleko od
 ołtarza, w kościelnej kruchcie, by nikomu nie przeszkadzać i nie zabierać miejsca w
 ławce.
 I stał się cud.
 Po trwających kilka godzin jękach i krzykach położna wyjęła z ciała Mamrotki
 chłopca, ślicznego i kształtnego, bez żadnej fizycznej wady.
 Ręka Garbacichy wprawnie przecięła pępowinę.
 Garbacichy i Mamrotka 59
 Uwolniona od demona Mamrotka spała, zmęczona porodem.
 Dziecko oddychało spokojnie.
 Garbacichy grzała wiadra wody, sprzątała i szorowała zaniedbane pokoje, omiatała z
 pajęczyn ściany.
 Myła okna, by wypuścić przez nie jak najwięcej zdrowego powietrza.
 Co chwilę spoglądała na dziecko.
 - Pod Twoją obronę - szeptała cicho, by nie zbudzić śpiących.

Idę kochać!

Nacisnęłam dzwonek.

Ktoś z głębi mieszkania krzyknął: "Chwileczkę.

Już idę".

W drzwiach stała kobieta w okularach i eleganckim kostiumie.

- Pewnie pomyliłam adres, przepraszam - zaczęłam nieskładnie.

Patrzyła na mnie z niechęcią, jak na sprzedawcę tanich kosmetyków albo

świętecznych kartek.

Zaczęłam szperać w swojej teczce, wypchanej dokumentami, by jaknajszybciej znaleźć tę

cholerną kartkę, na której wszystko było zapisane.

Może wzięła mnie za jakąś urzędniczkę i dlatego nie zamknęła drzwi przed nosem?

Albo rzeczywiście kogoś czekała, choć z pewnością nie na mnie, i dlatego otworzyła?

W końcu odczytałam z kartki nazwisko i adres.

Nie mogło być żadnej pomyłki.

- Chciałam z panią chwilę porozmawiać.

Przepraszam, jeśli zakłócam spokój.

Może umówimy się na inny dzień - tłumaczyłam się zmieszana.

Dalejnie rozumiała, czego od niej chce.

- Trudno mi o tym mówić na korytarzu - zaczęłam znowu płatać się w wyjaśnieniach.

- Ale ja nie wpuszczam do domu obcych osób - powiedziała, lekko popychając drzwi.

Idę kochać!

61

- Przepraszam, to moja wina.

Robię doktorat i przeprowadzam ankiety wśród osób, które przez wiele lat mieszkały w

domach dziecka - zaczęłam wyjaśniać.

Zmieszana się i zarumieniła, ale pozwoliła mi wejść do przedpokoju, może z obawy,

że ktoś usłyszy naszą rozmowę.

- W pierwszej chwili pomyślałam, że na pewno pomyliłam adres, że chodzi o kogoś

innego, ale to jednak pani, prawda?

- Nie mam obowiązku odpowiadać na żadne pytania - powiedziała oschłym tonem.

- Oczywiście, to tylko moja prośba.

Ankieta jest anonimowa.

Odwiedzam ludzi, którzy coś w życiu osiągnęli, zdobyli, mimo ciężkiej przeszłości.

- I czego się pani dowiedziała?

- kontynuowałam rozmowę agresywnym tonem, który drażnił uszy.

- Wielu rzeczy, szalenie ciekawych.
Poznałam ludzi różnym wieku i z tak różnym bagażem przeżyć, że trudno było znaleźć

jakąś nić wzajemnego połączenia.

A jednak ona istnieje.

To głód miłości, ciągnie niespokojony.

Walczyły ze sobą, nie wiedziała, czy pozwolić im zostać.

W końcu usłyszałam: - Proszę usiąść.

Wzięła do ręki druk ankiety.

- I ten głód miłości to, zdaniem pani, takie wielkie odkrycie, że trzeba aż

pisać o nim doktorat?

Robiła wszystko, by zniechęcić mnie do dalszej rozmowy, ale im bardziej się

starła, tym bardziej byłam uparta.

Czułam, że i ona chce mówić, chociaż się broni jak przed dotykaniem bólowego miejsca.

- No więc, czego jeszcze się pani dowiedziała?

-, zadałam pytanie tonem, do którego zaczynałam się przyzwyczajać.

- Dowiedziałam się, że ludzie starsi albo już zupełnie dzisiaj starzy jakoś

łatwiej godzili się z losem.

Zwłaszcza gdy szli do domu dziecka zbiedy, z głodu.

Stefan na przykład miał dwa lata, kiedy matka go oddała.

Była praczką, ale z prania niemogła wyżywić dwójki dzieci.

Mąż umarł, została sama.

"Onanas oddała z miłości - tłumaczył- bo chciała, żebyśmy żyli.

Nie umiałem jej wybaczyć, kiedy byłem dzieckiem, ale potem zrozumiałem, że nie miała innej

możliwości.

Niezrobiła tego dla własnej wygody.

Dlatego jej wybaczyłem, chociaż w moim sercu na zawsze została rana, coś nie do końca

zagojonego.

I czasami się odzywa.

Ale w moim wieku już się tak nie czuje tego bólu, bo inne, nowe, fizyczne

cierpienia go tłumią.

Jednak on wciąż jest, nie zginął - tłumaczył.

Sierocińce przed wojną były zorganizowane niczym wojskowe koszary, równie

jak domy, z których nas zabierano.

Ale nie brakowało w nich chleba i jaglanej kaszy.

Nikt nie umierał z głodu, ale nie najadał do syta.

Do przykrycia pocerowane koce i prześcieradła.

Wszystko w najgorszym gatunku, chociaż czyste.

Taka posprzątana bieda.

Najbardziej brakowało zapachów domu i koloru, bo ściany były sine, z popielatą lampką

olejnej farby.

Ani jednego obrazka, tylko światło gołej żarówki, które wcześniej gasło, by nie wypalać

dużo prądu".

- Może niepotrzebnie opowiadam pani tę historię?

- spytałam.

- Nie, proszę dalej - powiedziała oschle.

- Wtedy dzieciom nie okazywało się miłości.

To nie było w modzie, szczególnie w takich domach.

Dłate

go Stefan postanowił sobie, że własne dzieci nauczy kochać.

Da im to, czego nigdy nie miał.

Daj mi miłość.

- To niemożliwe - powiedziała - nie można dawać, skoro się nigdy nie otrzymało.

Można tylko o miłość zabiegać, skamleć, prosić, wymuszać, szantażem albo siłą.

Po chwili przeraziła się swoich słów i emocji, z jakimi je wypowiadała.

Znowu wrócił dawny ton.

- No i jak się skończyło?

- patrzyła wyczekującą moją stronę.

- Udało mu się.

Przeżył swoje dorosłe życie tak, jak chciał.

Znalazł kobietę, którą obdarzył bezwarunkowym uczuciem, dobrą i prawą.

Ma synów, których nauczył kochać, a oni odwzajemniają to uczucie.

Stworzył wspianą rodzinę i dom, jakiego pragnął.

Udało się, ale tylko jemu.

Wiktora ciągle prześladował lęk przed głodem.

Kiedy siadał do stołu, jadł jak zwierzę, rozglądając się, czy ktoś nie zabierze mu z

talerza kawałka mięsa lub ziemniaka.

"Nie mogłem się pozbyć tego lęku nigdy, do końca życia się go nie pozbędę" -

mówiło swoich doświadczeniach.

Do dzisiaj w kieszeniach garnituru nosi kawałki suchego chleba.

Był wojennym sierotą.

Nie znał matki ani ojca.

Człowiek znikąd.

Nie miał nawet nazwiska.

W sierocińcu zapisano najpierw N.

N., w końcu Wiktor Wiktorowski, bo trzeba było stworzyć jakieś dokumenty.

Do dzisiaj nie wie, kim jest.

Osiągnął sukces, zrobił karierę, pisał książki o wychowaniu dzieci, uczył innych

miłości, chociaż nie wiedział, co to naprawdę znaczy.

Potem zostawił własne dzieci, nie umiał być ojcem.
 Szukał miłościu kobiet, ale też jej nieznalazł.
 Co zbudował, burzył jak wieżę z klocków.
 "Miałem taką ulubioną zabawę -wspominał.
 - Jakiś dzieciak sięstarał,ostrożnie dostawiał ostatni klocek i jak już wszystko było

gotowe, podchodziłem i kopałem.

Moje życie było jak budowla z klocków.
 W każdejchwiliłkośmógł podejść, kopnąć i je porozrzucić.
 Niewierzyłem, że możnazbudować coś, conie ma trwałego fundamentu.
 Bez fundamentu nie ma domu, niema rodziny.
 Nicnie ma, a jeżeli nawet, to na krótko.
 I nie należy się przyzwyczajając, bo wtedy bolibardziej".

Tak mówił Wiktor, człowiek sukcesu, który przeczytał setki książek, starając

się znaleźć w nich odpowiedź.

Ale nie znalazł.

"Zawsze będę naznaczony, inny, N.
 N., Piotruś Panalbo ktokolwiek" - tłumaczył.

Słuchała.

Przestała walczyć.

Teraz była tylko ciekawa.

Nie patrzyła na zegarek ani w stronę drzwi.

Kazimiera postanowiła udowodnić, że pogrzebieprzeszłość dzięki intelektowi

i pracowitości.

Z pięciusióstr oddanych do domudziecka tylko ona podjęła walkę.

Postanowiła być najlepsza.

W szkole same piątki, aktywna, przedsiębiorcza.

"Najgorsze ciuchy, alenajwięcejw głowie - mówiła.

- Taki miałam plan.

Jeśli nie możesz zmienić tego, czego się zmienić nie da, zmień to, co potrafisz" -

tohasłowymyśliła na własnyużytek i konsekwentnie jerealizowała.

Konkursy, olimpiady - prymus z domudziecka.

Idę kochać!

W szkole siadali z nią chętnie, chociaż była źleubrana icipięniędzy.

Pozwalała odpisywaćnaklasówkach i podpowiadała.

Wiedziała, że czymśsię musi wkupić, ponieść ofiarę.

I udało się, chociażnigdy nikt jej nie zapraszał do domu z obawy, że może coś ukradnie,

albo z zupełnie innego powodu.

Nierozstrzygała tego, chociaż bolało.

Siostry nie mogły zrozumieć, czemu jesttaka zacięta.

Dlaczego stara się być kimśinnym niż one.

Odrzuciły ją, jak matka i ojciec.

Nie miała koleżanek, bo często ją chwalono.
Była na pokaz, niczym choinka na Wigilię.
Kiedy przychodziła wizytacja, jakieś panie z kuratorium, prowadzono je do pokoju

Kazimierzy i dyrektorskiego gabinetu, gdzie wisały jej dyplomy z olimpiad.
Gratulowano, głaskano po głowie, a ona odpowiadała grzecznie, całym zdaniem,
żepo

podstawówce oczywiście ogólniak, potem studia, jeżeli otrzyma stypendium.
I tak się stało.

Siostry prędko powychodziły za mąż i zostały matkami.

Nie dbały o dzieci, lubiły alkohol, pracowały byle gdzie.

Wstydzili się ich, zerwała kontakty.

Zamknęła ten rozdział raz na zawsze.

Gotowa do walki ze światem, podjęła wyzwanie.

Zaczęła robić karierę, przyszły sukcesy.

Ciągle była najlepsza, ale zmęczenie przypląciła załamaniem nerwowym.

I w takim właśnie momencie poznała mężczyznę swojego życia.

Był zdolny, inteligentny i utalentowany, ale okazał się alkoholikiem, jak jej ojciec.

To, przed czym uciekała, dopadło ją, bo -jak twierdzi teraz - musiało.

Taki los.

Chciała zająć się kimś pięknym i słabym.

Uwierzyła, że potrafi poradzić sobie.

z tym problemem, podobnie jak z innymi, które rozwiązywała niczym testy na szkolnych olimpiadach.

Nie potrafiła.

Życie klejone ztrudem zaczęło się rozpadać.

Nie radziła sobie z dziećmi, nie umiała poradzić sobie z mężczyzną, który pił.

Wszystko się rwało.

Niewiedziela, jak podołać obowiązkom, które na nią spadły, i pracy, która była tak

absorbująca.

Nie była gotowa na porażkę.

Dzisiaj jest sama, rozwiodła się.

Dziecinie radzą sobie w życiu.

Im też zabrakło oparcia, domu, fundamentu.

To, co zbudowała, okazało się nietrwałe, kruche, niewiele warte.

Żyje z poczuciem klęski.

Nadal czerpie radość z sukcesów, ale to wszystko jest - zamiast, a nie razem, jak

planowała.

"Nam, naznaczonym, niema prawa się udać, proszę to zapisać" - powiedziała na

koniec naszej długiej rozmowy.

Kobieta w okularach słuchała uważnie.

Nie przerywała mi.

Kiedy przestałam mówić, spytała: "Teraz czas na mnie?"

"

Wiedziela, że tego oczekuję, chociaż nie chciałam jej nakłaniać.

Po długiej chwili milczenia zaczęła mówić, spokojnym, pozbawionym emocji

niedawnego napięcia głosem:

- W domu dziecka spędziłam dwanaście lat.

Nikt nie chodził głodny, ale wszystko było niczyje, bopaństwowo.

Nie miałaś swojej szafy, łóżka, stolika, nic do ciebie nie należało.

Ty też byłaś tylko rzeczą, którą jest na stanie, w ewidencji.

Dlatego nikt niczego nie szanował.

Podarłaś buty, dałaś drugie.

Nie chciałaś się uczyć i wyrzuciłaś książkę, kupili inną albo wypożyczyli z biblioteki.

Idę kochać!

Wszystko było zorganizowane.

Przed południem szkoła, potem odrabianie lekcji, dyżury wychowawców, którzy myśleli

tylko o jednym, kiedy wreszcie pójść do domu, by pilnować własnych dzieci.

Sierotom pomagały zakłady pracy.

Przed świętami świetlica była pełna zabawek i różnych niepotrzebnych rzeczy.

Czasami jeździliśmy na kolonie, gdzie nikt nie miał wiedzieć, że jesteśmy z domu

dziecka, ale wszyscy wiedzieli.

Inne ubrania, najtańsze, albo jakieś ciuchy z paczek zagranicznych.

Nic do niczego nie pasowało, paski, kratki, kwiatki.

Jesteś tylko numerem w ewidencji, więc kogo niby miało obchodzić, jak

wyglądasz?

W domu dziecka rządziła grupa, nad którą nikt nie panował.

Zdejmowano dziewczynom majtki, macano, uprawiano seks.

Problem robił się wtedy, gdy jakaś zachodziła w ciążę, ale przenosili w inne miejsce i

był spokój.

Ja miałam szczęście.

Nie byłam specjalnie ładna.

Taka chuda deska, bez kobiecych kształtów i dotego w okularach.

Patrzyłam na jej zadbane ręce, wypielęgnowane paznokcie, kostium z dobrej

wełny.

Na ściany w dyskretnym perłowym kolorze, kanapę w ciepłych barwach.

Wszystko pasowało do siebie jak w katalogu.

Chyba śledziła mój wzrok.

- Długo uczyłam się wybierać - zaczęła mówić dalej.

- Oglądałam kolorowe magazyny, potem szukałam w sklepach czegoś podobnego.

Jeśli nie było mnie stać, nie kupowałam.

Oszczędzałam, bo postanowiłam, że w moim życiu już nic mi będzie było jakie, z

przypadku.

W jej ruchach, gestach, była jakaś elegancja i delikatność.

Nie pasowała do miejsca, w którym spędziła dzieciństwo.

68

- Wszyscy byliśmy głodni miłości, jak zwierzęta.
Ocieranie się, głaskanie, wchodzenie do łóżek byłoby zamiast.
Tak samo jak mitomania, opowiedz dobrej mamie i tacie, którzy mają chwilowe trudności

i dlatego jest, jak jest.

Wszyscy wiedzieli, że tokłamstwo i wierzyli w nie, bo jak inaczej żyć?

Uczyłam się nieźle, szczególnie przedmioty ścisłe łatwo wchodziły mi do głowy.
Moje życie odmienił komputer.

Do domu dziecka trafił jakiś przechodzony sprzęt z likwidacji firmy.

Kiedy pierwszy raz siadłam przed ekranem, zaczarował mnie.

Szybko nauczyłam się obsługi, potem postanowiłam być najlepsza.

Czytałam podręczniki, sama próbowałam różnych sposobów, by rozpoznać jego możliwości.

Uwierzyłam, że dzięki temu urzędzeniu mogę mieć lepsze życie.

Skończyłam szkołę średnią poszłam na studia.

Zamieniłam dom dziecka na akademik.

Poczułam się wolna.

Informatycy byli wtedy bardzo poszukiwani.

O absolwentów zabiegały zakłady pracy, same wyszukiwały najlepszych.

Mogłam przebierać w ofertach.

Trafiłam na staż do znanej firmy, później dostałam etat.

Pracowałam po kilkanaście godzin.

Szybko awansowałam, zaczęłam świetnie zarabiać.

To mieszkanie kupiłam na kredyt, który szybko mogłam spłacić.

Nikt nie wiedział, że jestem z domu dziecka.

Nie chciałam żyć z pieczętką na plecach.

Tylko my wiemy, jak to jest - stała dyskretnie zępną po policzku - ludzie z

pieczętką.

Nic nie ukradłeś, nie zabiłeś, nie zrobiłeś żadnej złej rzeczy poza tym, że nie miałeś

szczęścia urodzić się w domu, gdzie cię kochają.

Idę kochać!

69

Jesteś biedny, brudny, posiniaczony, masz wszyski przeszkadzasz swojej matce

ojcu, więc muszą cię gdzieś umieścić, bo przecie żyjesz.

Nikogo nie obchodzi, jak ci tam będzie.

Trzeba załatwić problem, to wszystko.

Najpierw się cieszysz, bo nikt cię nie bije, masz gdzie spać i nie gryzą wszy.

Potem płaczesz co noc, bo już wiesz, że nikogo nie obchodzą, do nikogo nie należysz.

Buntujesz się, uciekasz, jeśli masz siłę, albo stajesz się bezwolnym trybem w maszynie.

I nienawidzisz siebie za to, że nie potrafisz się zbuntować.

Nie potrafisz żyć bez miłości, więc się oszukujesz, że to jest tylko chwilowe, bo ktoś

cię w końcu pokochai powie- chodź, będziesz mój!

Kiedy nie masz już siły czekać, idziesz pierwszym lepszym, zbyłe kim, bo

chcesz wierzyć.

I znowu dostajesz kopa.

Jak masz kochać, skoro nie wiesz, co to znaczy?

Przecież nikt nie całował cię na dobranoc, nie czekał z talerzem gorącej zupy, nie

martwił się twoim krzywym zębem, więc jak masz teraz wiedzieć, o co chodzi?

Mówiła coraz szybciej i coraz głośniej.

Potok żalu zmęczył mnie.

Właściwie niczego nowego się nie dowiedziałam.

Spełnia się w pracy, osiągnęła sukces, alenienie umie żyć.

Nie założyła rodziny, jej relacje z mężczyznami są podszyte lękiem.

Naznaczona przeszłością, nie jest gotowa stawić czoło prawdziwemu życiu.

Boi się, dlatego nie chciałam mówić.

Wpuściłam nietylko dlatego, że wstydziłam się sąsiadów, którzy mogli usłyszeć naszą rozmowę,

życia z piętnem.

Taka sama jak inni, którymsię udało, ale tylko do pewnego stopnia.

70

Chciałam już iść, zaczęłam zbierać ankiety i układać w torbie.
Na chwilę wyszłam do drugiego pokoju.

Wróciła ze zdjęciem.

Młody, przystojny mężczyzna siedział przy stoliku w jakiejś kawiarni.

Wyglądał jak aktor z amerykańskiego filmu.

Marzenie każdej kobiety.

- Poznałam go przez internet - powiedziała.

- Szukałam informacji o nowych produktach dla firmy.

Dostałam odpowiedź, podpisaną imieniem i nazwiskiem.

Był pierwszy dzień lata, więc ten ktoś narysował kwiatek, słońce i napisał.

"Nie martw się, bądź szczęśliwa".

Rozbawił mnie, odpisałam.

I tak się zaczęło.

Widziała zdumienie na mojej twarzy albo umiały czytać w moich myślach, bo znowu

wrócił dawny ton, pełen agresji.

- Na pewno chciałabym usłyszeć historię o nieszczęśliwej sierotce, która

może pójść do łóżka tylko z żonatym kolegą z pracy albo z szefem.

Potem zajdzie z nim w ciąży.

Urodzi niechciane dziecko, które odda do domu dziecka, jak ją kiedyś oddano.

Zawiodłam, prawda?

On jest wolny, mieszka w Kanadzie.

Iniedługo tu będzie.

Właśnie na niego czekam.

Oświadczyłam się.

Najpierw przez telefon, teraz chce to zrobić osobiście.

Planujemy wyjazd do Kanady, nowe życie.

Przyszłość bez przeszłości, żadnych wspomnień.

Kilka lat musiałam pracować, żebyś wiedział, że nie zapomnę.

I nagle ktoś przychodzi zburzyć mój spokój, otworzyć zamkniętą ranę.

Najpierw chciałam, żebyś panista jak najszybciej wyniosła.

Ale pomyślałam, że może to jest dobry moment, by po raz ostatni oczyścić się,

przygotować na spotkanie z nowym życiem.

Taka wielkanocna spódnica kochać!

71

wiedź przed przyjęciem opłatka.

Ale już dosyć, wystarczy.

Proszę iść!

Zaczęłam mocować się z zamkiem teczeki, który jak zawsze się zaciął.

- I będę miała kochać, mimo wszystko, tego jestem pewna!

Dojrzałam do miłości.

Nie boję się, że przegram - mówiła coraz szybciej i coraz głośniej, jakby chciała zmusić

mnie, bym uwierzyła.

- Nie każdy musi przegrać!

- Moje dzieci będą całować na dobranoc i na dzieńdobry.

Mówić im, że są wspaniałe, mądre i zdolne.

A z nim, mężczyzną, który po mnie przyjedzie, zbuduję dom na mocnych fundamentach.

Żeby został conajmniej sto lat!

- No, proszę już iść.

Słyszałam, że taksówka podjechała pod blok i ktoś trzasnął drzwiami.

To pewnie

on.

Kiedy wychodziłam w pośpiechu, nadolecie było nikogo.

Tylko światła latarni oświetlały parkującą na ulicy samochody.

Żaden nie był taksówką.

Stara nauczycielka

Był pierwszy dzień wiosny tej strasznej wojny.
Niosła bochenek chleba i kartofle dla starej ciotki.
Słońce świeciło, zdjęła beret.
Dwa małe warkoczyki sterczały w nieładzie.
Chciała je poprawić.
Zatrzymała się przed sklepową wystawą, by przejrzeć się w szybie, gdy usłyszała:
"Halt".
Po chwili już stała pod ścianą, razem z innymi przypadkowymi przechodniami.
Przecież mnie nie zabiją, to niemożliwe, nic złego nie zrobiłam - pomyślała.
Staruszek obok niej mamrotał słowa modlitwy.
- Jesteś taka młoda.
Ten pacierz mówię za ciebie.
Ty też się módl!
Ale nie mogła.
Dotarło do niej, że za chwilę rozlegnie się seria z karabinu i nie zdąży zanieść

chleba i kartofli, a ciotka będzie głodna.
Nagle podjechała buda, ktoś uderzył ją kolbą karabinu w plecy i dał znak, że ma wsiadać.
Razem z nią wchodziły po małej drabince inne młode kobiety.
Zanim odjechali, usłyszała strzały, zobaczyła, jak staruszek najpierw zgiął się

w pół, a później upadł podkurczonymi nogami.
Więcej nie widziała, esesman zaciągnął plandekę.

Stara nauczycielka 73

Tak znalazła się w obozie Ravensbrück.
Totam stała się królikiem doświadczalnym, przedmiotem eksperymentów medycznych.
Nie chciała o tym mówić, nawet najbliższemu.
Kiedy Niemcy skapitulowały, miała niewiele ponad dwadzieścia lat i siwe włosy.
Nigdy ich nie ufarbowała.
Postanowiła zostać nauczycielką.
Wybrała matematykę, przedmiot szczególnie nieznaną i niewidzianą przez uczniów.
Chciała, by go polubili, zrozumieli.
Sama szybko nauczyła się liczyć.
W sklepie, gdzie matka sprzedawała nici i wełnę, wyjmowała z szufladki utargi

zapisywała przychód w zeszycie w kratkę.
Potem pakowała pieniądze do małego woreczka, który matkachowała najpierw pod swetrem, a

w domu w szkatułce pod figurką Matki Boskiej, mającej czuwać nad nimi i codziennym

utargiem.

Liczyła pieniądze i metry włóczki w motku.
Umiała bezbłędnie podać klientkom, ile trzeba kupić wełny na blezer, a ile na sweterek

dladziecka.

Chciała zdawać do szkoły handlowej, apóźniej, jak matka, stać za ladą, doradzać w zakupach, a pod koniec dnia liczyć utarg z szufladki.

Niestety, nowa władza zabrała sklep.

Zamiast nici węgla sprzedawano w nim śledziez beczki, kapustę i marchew.

Wtedy zrozumiała, że już nic inigdy nie będzie takie samo.

Zapisała się do seminarium nauczycielskiego.

Pierwsza wiejska szkoła, do której stawiała się z nakazu pracy, była daleko od

jej rodzinnego miasteczka.

Zamieszkała w jednej z sal lekcyjnych.

Przy lampie naftowej wypełniała dziennik, a ranopaliła w piecu, jeśli było czym palić.

Uczniowie siedzieli w płaszczach, nie mieli książek ani zeszytów. Pisała kredą na tablicy okrągłe, wyraźne cyfry, które notowali potem na jakichś

karteczkach i niemieckich dokumentach.

Wtedy postanowiła, że nauczy ich szybkiego liczenia, żeby nie musieli za dużo notować.

Wymyślała konkursy, zgaduj-zgadule, ćwiczyła dodawanie, odejmowanie i ułamki. I wyrabiała w nich nawyk uczenia.

Liczyli więc kroki do szkoły, deski w podłodze, kury w zagrodzie.

Zadania zawsze dotyczyły dotykanej rzeczywistości, może dlatego tak je lubili.

Potem sami wymyślali własne.

Każdy chciał zabłysnąć.

I chociaż zeskładaniem liter były kłopoty, matematyka nie sprawiała problemów.

Dostała pochwałę od kierownika szkoły, a nawet z powiatowego miasta przyjechali

sprawdzić, czy to nie oszustwo, że w jej klasach uczniowie liczą jak automaty, szybko i

bezbłędnie.

Na dużej przerwie rozdawała tran z dużej, brązowej butelki.

I chociaż był obrzydliwy, jakoś go popykali.

Sama szczerze nienawidziła tranu i może dlatego zapadła na gruźlicę.

Nie bez znaczenia były też lata spędzone w obozie głód.

Ona jednak uczyła się tego tranu.

- Gdybym go wtedy piła - mówiła jeszcze przez długie lata - gruźlica by mnie nie dopadła.

Pojechała na długie leczenie do szpitala i sanatorium w górach.

Tam przeżyła swój pierwszy i ostatni w życiu romans, z młodym lekarzem żydowskiego pochodzenia.

- To chyba przez tę chorobę taka byłam rozbuchana seksualnie - mówiła, rumieniąc

się.

- Podobno gruźlicy mają duży temperament.

Czytałam gdzieś tym, ale już nie pamiętam gdzie.

Stara nauczycielka 75

On też był do tych spraw podobnie usposobiony.

Nawet chciał się żenić, ale nie zgodziłam się.

Wiedziałam, że nie mogę mieć dzieci, a Żydzi są bardzo rodzinni.

Nie chciałam go unieszczęśliwić.

Był pięknym mężczyzną i pragnął mieć syna, a ja nie mogłabym mu go dać.

Oboje płakaliśmy przy rozstaniu.

W tym sanatorium wyleczyli mnie z gruźlicy, ale moje serce umarło.

Przezrok pisaliśmy do siebie listy pełne gorących uczuć, a potem zawiadomił mnie,

że się żeni z córką naczelnego lekarza uzdrowiska.
I że w razie problemów zdrowotnych zawsze będę mogła liczyć na jego protekcję

imiejscesanatoryjne.

Ale nigdy nie skorzystałam.

Już nie wróciła do wiejskiej szkoły, została w miasteczku.

Zamieszkała z matką, która zachorowała na nogi.

Zaczęła uczyć w podstawówce, do której samokiedyś chodziła.

I chociaż ciągle była młoda, ze względu na siwe włosy uczniowie wołali na nią "babcia".

Nie obrażała się o to, bo w głębiswojego umęczonego chorobami i wojennymi

doświadczeniami ciała czuła się stara.

Nieczekała na żadną zmianę.

Jej życie - od dzwonka do dzwonka, z kawą na dużej przerwie i wakacjami spędzonymi na

koloniach - było pozbawione koloru i emocji.

Ciągle jednak kochała matematykę.

Uczyła kolejne roczniki z tą samą pasją, a jej uczniowie odnosili sukcesy i z

powodzeniem zdawali doszkół średnich.

Lubiła ich.

W każdym starła się znaleźć jakąś pozytywną cechę.

Broniła na radach pedagogicznych, wysłuchiwała zwierzeń, znała radości i kłopoty.

Naj.

słabszym pomagała, zapraszając do domu na dodatkowe lekcje.

Szczególnie jeden z chłopców, Edzio, zapadł jejw pamięć.

Miał wysoki, charakterystyczny głos.

I właśnie z powodu tego głosu wołali na niego "Edzio - pedzio", dokuczali i podstawiali

nogi.

Był drobnej budowy, nosiłza duże spodnie po starszym bracie i za duże buty,które

kłapały,robiąc hałas na szkolnym korytarzu.

Matematykaszła mu kiepsko.

Kiedy zaprosiłago pierwszy raz do domu,byłbardzo zawstydzony, agdy jej matka

poczęstowała gozupą jarzynową, zjadł cały talerz tak szybko, że nawet nie zauważyła

kiedy.

Potem przychodził codziennie,na obiad i odrabiać lekcje.

Powoli wyciągał sięz dwój.

Matka bardzo go lubiła, zawsze mówiła:"Syneczku".

A i ona wtedy po raz pierwszyzapragnęła miećdziecko.

- Coś mi się takiego zrobiło, że nie mogłam spaćpo nocach.

Poszłam nawet do psychiatry, wtajemnicy, żeby nikt się nie dowiedział.

A on mnie wysłuchał,taki stary lekarz, bardzomiły,w drucianych okularach, ipowiedział:

"Odezwała się w pani tęsknota,niespełnione pragnienie macierzyństwa.

To normalne,przychodzi wróżnymwieku, szczególnie gdy zbliżasięczas przekwitania.

To płacz pustej macicy".

"Ale ja już jejnie mam - wytłumaczyłam.

- Musieli mi wszystkousunąć po tym, co ze mną robionow obozie".

Aon na to: "Okaleczono ciało, ale psychicznienadal jest pani kobietą.

Tego nie dało się usunąćskalpelemchirurgicznym.

Możepomogłabypraca

Stara nauczycielka 77

z dziećmi w jakiejś świetlicy" - zaproponował.

- "Jestem nauczycielką" - przyznałam się.

Rozłożył bezradnie ręcei zapisał cośna sen.

Nie pomogło.

Edekbył u nas każdego dnia.

Zrobiłammu na drutach szalik i rękawice, kupiłam też spodniena miarę,żeby się z niego

nie śmiali.

Mieszkał zbabką i bratem.

Matka umarła nanowotwór, ojciec pił, a któregoś dniazamarzył naławce w parku.

Nawet chciałam Edka zaadoptować, ale w tamtych czasach nie dawali dzieci

samotnym kobietom.

Musiała być rodzina, małżeństwo, a ja miałam tylko matkę i siostrę.

Kiedy nie dostałam zgody, przyznam szczerze, trochę mi ulżyło, bo bałam się, czybym

podolała.

I ludzkich języków się bałam.

Po wojnie nie było tak jak teraz.

Można było sierotę przygarnąć, ale z najbliższej rodziny.

Potem Edzi przestał przychodzić.

Wstydział się, kiedy chłopcy mówili: "Żebyś się nie przejadł tą belferską zupką".

Zaczął się uczyć w zawodówce górniczej.

No i tak nasze drogi się rozeszły.

Nawet nie zauważyła, kiedy minęły te wszystkie lata.

Matka umarła, została sama.

Czasami tylko odwiedzała siostrę, która w odległej dzielnicy miasta dostała mieszkanie w

bloku zakładowym.

Była dziewiarką, bo toteż kochała kolorowe włóczki i nici.

Nie miała dzieci, bo szybko została wdową.

Męża wezwano do UB i już nie wrócił.

Podobno był zamieszany w aferę szpiegowską.

Ale kogo mógł szpiegować on, chłopak syn z wykształceniem podstawowym, który nigdy

polityką się nie zajmował?

Podobno przez ludzką złość tak się stało, jakieś zadawnione sprawy sprzed wojny, ale prawdy

nigdy nie poznała.

Potem siostra też za.

chorowała naniogi od tego stania przy krosnach.
Zamieszkały razem, w dawnym mieszkaniu matki.

- Tak nam upłynęło kilka lat.

Gotowałam, sprzątałam.

Ot, takie normalne domowe prace.

Siostra była osobą leżącą, przychodziła pielęgniarka i jakoś razem sobie radziłyśmy.

Kiedy się zaczęły kłopoty z krążeniem, zabrali ją do szpitala.

Już nie wróciła.

Zostałam sama.

Dla innych to może byłby dramat, ale ja się umiałam z losem godzić i zawiele nie wymagać.

Tegodnia czekałam na listonosza.

Ktoś szarpnął zakłamek, przekręciłam klucz, żeby mu otworzyć.

Wtedy weszło dwóch mężczyzn w czapkach naciśniętych na oczy.

Jeden mnie pchnął na kanapę, a drugi zaczął przywiązywać takim sznurem, żebym się nie

ruszała.

Plądrowali szafy, krzyczeli: "Dawaj pieniądze!

" Mówiłam, że nie mam, bo tylko 10 złotych w portfeliku mi zostało, i że na listonosza

czekam.

I nagle ktoś jeszcze wszedł i krzyknął: "Zostawcie ją!

"

"Edzio!

" - zawołałam, bo nakońcu świata bym tego losu rozpoznała.

Potem była rozprawa.

Poszłam tam i powiedziałam:

"To moja winna wysoki sędzi, tylko moja.

Przestraszyłam się ludzkich języków, stchórzyłam.

Nie walczyłam oniego.

Mogłam być matką, a pozwoliłam mu odejść, straciłam z oczu, zostawiłam.

A tak się nie robi, to powinno być karane".

- Nie chcieli mnie słuchać, powiedzieli, że zakłócam porządek rozprawy i

niepytana mam niczego nie mówić, bo mnie usuną z sali.

Na końcu Edzia przesłuchiwali.

Ion im wtedy powiedział: "Mogłem tę starą stuknąć, ale nic nie miała.

Już wtedy, jak do niej przychodziłem, dobrze wszystko

Stara nauczycielka 79

kie szafy przejrzałem.

Nie było się na co łaszczyc.

Zresztą to całkiem inne mieszkanie mieliśmy zrobić, ale ci kretyńcy pomylili drzwi".

Ja jednak nie wierzę w jego słowa.

Musiał tak powiedzieć, bo przed kolegami się wstydził, tak jak wtedy z powodu tych

dużych butów.

Broniłam się.

On na

 pewno by mnie nie skrzywdził.

Nie mój Edzio!

 t.

 Potem podobnie jak matka i siostra zaczęła choro(wać na nogi.

Wymagała opieki, ale nie chciała opuścić swojego mieszkania, bo czekała w nim na Edzia.

Był recydywistą, dostał długi wyrok.

W końcu zamieszkała w domu starców, godząc się z losem.

Czasami opowiadała zupełnie inną historię - Po śmierci siostry zostałam sama, ale taka to

już kolej rzeczą tym świecie.

Starzy muszą ustąpić miejsca młodym.

Więc czekałam, kiedy na mnie kolejka przyjdzie.

Bo czego innego możesz jeszcze spodziewać ktoś taki jak ja.

 Aż tu nagle list dostałam - z Kanady.

Najpierw byłam pewna, że to pomyłka, jednak adres na kopercie był wyraźny.

Otwieram, czytam i nie wierzę, a to mój Edzio do mnie napisał.

 "Kochana Pani Nauczycielko, a właściwie mammo!

Przez długie lata nie odzywałem się, bo moja pozycja była nieustabilizowana.

Po szkole pracowałem, ale wielkich perspektyw nie było.

Wyprowadziłem się na Śląsk i tam poznałem dziewczynę.

Razem wyjechaliśmy do Niemiec, a potem do Kanady.

Od kilkunastu lat tu mieszkamy.

Ja mam dobrą pracę, żona też.

I mamy dwie córeczki - Monikę i Edytkę.

Opowiadałem o Pani.

Jak to mi się w życiu udało, bo spotkałem taką osobę, która mi kiedyś pomogła, żebym

nie zszedł na złą drogę.

I one powiedziały, że musi Pani z nami zamieszkać, bo nie mają żadnej babci,
a

zawszeo tym marzyły.

Dlatego bardzo Paniaproszą.

I ja też, i moja żona.

Mamy duży dom, miejsca dla wszystkich wystarczy.

Ja wszystko załatwię, tylko proszę się zgodzić".

Tydzień nad tym listem deliberowałam, aż w końcu postanowiłam, że pojadę.

Tu już nikomu nie jestem potrzebna, a tam mogę się jeszcze przydać.

Zgodziłam taką jedną znajomą, żeby się grobami zaopiekowała.

I napisałam:

"Kochany Edziu!

To wielka odwaga pchać się w nieznany świat, jak się ma już tych
osiemdziesiąt

lat, a takiej prośbie odmówić nie mogę.

Nigdy syna nie miałam, chociaż teraz mi Pan Bóg taką szansę daje".

- I jadę.

Edzio wszystko załatwił.

Za dwa tygodnie będę już w Kanadzie!

Korale z wierszy zakładam

Za oknem morze nadziei Przy stole ocean smutku

Stała z ceraty resztki pokruszonego chleba.

Wzięła zeszyt w kratkę, zapisała dwa wypowiedziane głośno wersy.

Może ułożą się w wiersz?

Może tak, a może nie.

Ze słowami nigdy nic nie wiadomo.

Czasami łączysz je, kreślisz, zmazujesz i nic nie wychodzi.

A innego dnia dodajesz morze do nadziei, ocean do smutku i już może to być

początek wiersza.

O tęsknocie nadziei albo o tym, że nie wiesz, co dalej, nie wytrzymujesz, wszystko ci się

posypało, potłukło.

Nic, tylko zmieść nas zufelkę i wyrzucić.

Jaki wiersz dzisiaj napisze midzień?

- myślała nieraz, zanim jeszcze otworzyła oczy.

Lubiła tak leżeć i udawać sama przed sobą, że śpi.

Oczy zamknięte, a głowa pełna myśli.

Dobrych i złych.

To płynęły spokojnie, jak fale morza, to zmieniały się w rozszalały ocean.

Nieprzeszkadzało im światło dnia, widok za oknem, zlew z odpryskującą olejną farbą, stół z kolorową ceratą, stare krzesła i kredens.
Były gdzieś poza tym, dalekie, jeszcze obce.
Trzeba je oswoić, zagarnąć do siebie, a potem zapisać, ostrożnie,
okrągłymi literami, by nie zepsuć ich.

kształtu.

Bo dla niej słowa miały kształt, fizyczną postać.

Kiedy pisała wyraz "smutek", czuła jego delikatność.

Smutek, to przecież nie gniew, nienawiść, rozpacz, tylko coś nie do końca jasnego.

Może przyjść szarej godzinie albo w słoneczny, wiosenny dzień.

Może być wielki, który na długo zawładnie twoimi myślami albo zupełnie mały.

I wiesz, że zaraz gdzieś ginie, jakby schował się pod obrus.

Kiedy pisała słowo "rozpacz", czuła poszarpane brzegi liter.

Ich pisanie boleło, jak boli rozpacz, która obezwładnia umysł i ciało.

Człowiek pogrążony w rozpaczynie potrafi myśleć o czymś innym.

Cały jest bólem.

Dotykanie go boli, tak jak boli pisanie słowa "rozpacz".

Pierwszy wiersz był o konwalii.

Biała konwalio

Tak uciebie cicho.

Tylko kropelka rosydrży,

Chcę ją dotknąć palcem

Jednak boję się, żeby

Cię nie przestraszyć

Nauczycielka od polskiego przeczytała wiersz przed całą klasą, a ona, czerwona

po czubki uszu, stała przy tablicy, bardziej przestraszona niż ucieszona tym

wyróżnieniem.

Zawsze miała trójkę z polskiego, podobnie jak ze wszystkich przedmiotów.

Nie lubiła się zgłaszać, a wyrwana do odpowiedzi tak się denerwowała i

myliła zestrachu, że nauczyciele natychmiast uwalniają odkłopotów publicznego występu i

wpisywali troję.

Powiesz o konwalii było jeszcze gorzej.

Dzieci wołały ją: "O, poeta, tylko głowa nie ta!

"

Korale z wierszy zakładam⁸³

Poszła do zawodówki wyuczyć się na krawcową, bo akurat zbudowali w jej miasteczku

wielką szwalnię i mieli zatrudniać wszystkich absolwentów.

Matka powiedziała: Idź, więc posłuchała jej rady.

Od dziecka miała zamiłowanie do igły.

Cerowanie karpetek i zimowych pończoch było jej ulubionym zajęciem.

Potem szare nici zamieniła na kolorową mulinę i wyszywała serwetki w bratki i stokrotki.

Zdobiła je pracowitym haftem, a poskończonym dziele pisała w zeszytach wkratkę.

Bratku granatowy Daj mi swoją wiosnę, Uciesz serce, ucisz marzenia

Bała się marzeń, boś wiadomiały jej, jak marne jest wszystko, co ją otacza.

Schody z przegniłymi szczeblami, którychnikt nie naprawia, kuchnia zastawiona żeliwnymi

garnkami, gdzie matka gotowała proste i tanie potrawy.
Najczęściej jakąś zupę i ziemniaki ze skwarkami.

Nieraz zamykała oczy i wyobrażała sobie zamiast balii z mydlinami - zieloną

łąkę, w miejsce brudnych garnków - klomb kwiatowy i buczenie trzmiela.

Jednak chwila ta trwała krótko, bo matka poganiała: "Czujesz jak żona Lota, bierzesz się za

ścierkę".

Pracę lubiła, szczególnie za jej monotonię.

Zszywała lewe albo prawe rękawy jak automat.

Zajęte były tylko ręce, a głowa wolna dla wierszy.

Droga tej myśli prowadzi przez tęczy most

Dokąd zabierze mnie dzisiaj?

Niech utopi smutek w zielonej zieleni

Szczególnie połączenie "zielona zieleń" bardzo jej się podobało, bo niby dwa słowa

takie same, ale jedna.

zieleń może być głęboka, ciemna i zdecydowana, a druga na przykład delikatna,

jakby dotknięta słońcem.

Starła się zapamiętać zwrotek ułożonego wiersza, by potem zapisać ją w zeszycie,

który nosiła ze sobą torebce.

Swojego przyszłego męża poznała na wieczorku tanecznym, zorganizowanym przez

zakład pracy na ósmego marca.

W ich fabryce był sam babiniec, więc zaproszono mężczyzn z pobliskiej huty.

Nie chciała iść na żadne tańce.

Zaczęła się wymawiać, ale jak zwykle nieporadnie.

Koleżanki powiedziały: "Jak wszystkie, to wszystkie, niema odwołania".

Włożyła niebieską sukienkę, dopasowaną i przymarszczoną na piersiach, które

wydały się dzięki temu znacznie większe.

Rozpuściła upięte na co dzień włosy i nawet pomalowała usta perłową pomadką. Wyglądała jak kopciuszek rozebrany z szarego fartucha i odmyty z sadzy.

Przez chwilę pomyślała, że idzie na spotkanie swojego królewicza, ale spojrzęła

nanogi w niemodnych pantoflach po matce i dziecięca bajeczka wydała się jej równie

niedorzeczna jak to porównanie.

Wychodząc zdążyła jeszcze zapisać w zeszycie:

Życie się budzi!

Biegnij!

Wtul ramiona w muślinowy szal

Siedziała przystoliku, jadła wuzetkę - zakupiła jedlansz wszystkich rada

zakładowa, popijała mocną kawę z fusami, w której utopiła cztery łyżeczki cukru.

Nagle usłyszała koło ucha skierowane do siebie słowa:

"Czy mogę prosić panią do tańca?"

"

Korale z wierszy zakładam 85

Zrobiła się czerwona, jak wtedy przy tablicy, gdy nauczycielka czyta wiersz o

konwalii, ale mężczyzna już odsuwał krzesło.

Nogi jej się plątały, nie wiedziała jak dopasować swoje niezgrabne ruchy do taktu

melodii.

Bała się, że wszyscy patrzą na buty matki, które szpeciły jej stopy.

Mężczyzna jednak zdawał się zupełnie nie zwracać na to uwagi.

Pachniał kwaśnym winem i przyciskał się do jej piersi.
Czuła, że brak jej tchu.
Najchętniej wyrwałabysię z objęć, ale on był uparty.
Kiedy wreszcie się oswobodziła i chciała usiąść przy stoliku, znowu zaciągnąją na parkiet.

Nie wiedziała, czemu zgodziła się na randkę.
Może dlatego, że koleżanki mówiły: "Nie jest taki zły i chyba wpadłaś mu w oko".
Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi, więc była trochę ciekawa, jak to

jest.

W nocnym mogła spać.
Czuła, że jej ciało staje się dziwnie gorące, a piersi sterczą i boją.
Zapaliła nocną lampkę.

Nie ma już odwrotu. Więc idź. Zanim strach. Zanim rozpacz - zapisała o gryzkiem
znalezionego na szafce ołówka.

Długo chodzili po parku, aż w końcu przyparł ją do drzewa i zaczął całować w usta i szyję.

Nie broniła się, więc był coraz odważniejszy.
Czuła, że nic nie potrafi powiedzieć, bo mdliło ją od zapachu papierosów, którymi
przesiąknęła jego skóra i ubranie.

On uznał, że pragnęła, by brnął dalej, więc ręka powędrowała w okolice swetra i

mocowała się z guzikami.

Wkońcu złapała oddech, wyrwała się, ale to jeszcze bardziej go podnieciło.

- Niedotykalska- powiedział - na drugi raz będzie więcej.

Wiedziała, że nie powinna się zgodzić na kolejne spotkania, ale nalegał i na

szczęście był mało mówny.

Milczeli więc, na koniec spaceru oddając się rytuałowi coraz śmielszych pocałunków.

Tak minęła jesień i zima, nadeszła wiosna i matka uznała, że sprawa wygląda

poważnie.

Starła się jej udzielić kilku rad.

Przed wszystkim, by nie wylądowała z brzuchem, bo bachor pod swój dach nie wpuści.

Osobiście szykowała się do rozmowy z tak poważnym kandydatem na przyszłego zięcia, ale

nie zdążyła.

On sam przyszedł pewnego dnia, by poprosić o rękę córki.

Dostał właśnie M2, a może utrzyma dodatkowy metraż, gdyby się ożenił.

Matka przyjęła ofertę ze zrozumieniem, przyznając, że żał marnować taką okazję.

I ona pomyślała, że może to dobry sposób na wyrwanie się z domu.

Bała się też, że podobna okazja może się więcej nie trafić, zwłaszcza że nie wyobrażała

sobie jakichkolwiek starań w tym kierunku.

Mężczyzna wydał jej się człowiekiem solidnym, chociaż nie lubiła kwaśnego zapachu

wina i tanich papierosów.

Nie miała wyobrażenia na temat swojego życia.

Wystarczył jej świat tworzony w wyobraźni, w którym wszystko mogło być wielkie i piękne

albo straszne i smutne.

Trzeba tylko znaleźć ten moment, kiedy myśl zamieni się w wiersz.

Korale z wierszy zakładam 87

Dzień ślubu nie zapisał się w jej pamięci w jakiś szczególny sposób.

Czuła się skrępowana ceremonią tym, co ma po niej nastąpić.

Zdażyła tylko zanotować na kawałku papierowej serwetki z białymi konwaliami:

Do ślubu się sposobie Korale z wierszy zakładam I suknię białą Pęka sznur Już tylko

ły.

Fizyczne obcowanie z mężczyzną rozczarowało ją jeszcze bardziej niż się

spodziewała.

Nie rozumiała,dlaczego inne kobiety mówią o tych sprawach z wypiekami na twarzy,
czemu

niektórzy piszą o tymw książkach, a nawet w wierszach.

Mężczyzna brałjej ciało w taki sam sposób, w jaki ona zszywała lewej prawe rękawy.

Kiedy pytał: "Dobrze ci, jesteś szczęśliwa?"

- czuła się zakłopotana.

Mruczała coś, co jegozdaniem było potwierdzeniem radości z miłosnegoaktu, więc
nie

drażył tematu.

Kiedys zobaczył zeszyt w kratkę.

Wyrwał jej go ręki, zaczął czytać, ale szybko się zniechęcił.

Chciała podtrzymać jego zainteresowanie, skłonić do rozmowy.

Przebiegniemy przetysiące ulic

Zaśpiewamy wiele pieśni

Recytowała, a onpatrzył nanią jak na osobę niespełnarożumu.

Nic nie powiedział, trzasnąłdrzwiami.

Wrócił pijany.

- Zarazci te wierszez twojej głupiej głowywybiję - krzyczał i wymachiwał

pięścią.

Bała się,że ją uderzy, była gotowa na ciosy, alenictakiego nie nastąpiło.

Stał przednią, śmierdzący wi.

nem i pokonany.

Zrozumiał, że nic nie może zrobić, że przegrał.

Opanował się jakoś, chwiejnym krokiem doszedł do łóżka i zasnął.

Od tej pory pił coraz częściej, szczególnie w soboty.

Wzwykle dni oglądał transmisje meczy, chodził naryby inawet czasami pomagał umyć garnki.

Ich życie było zwyczajne i proste, odmierzane rytmem budzika.

Napisała:

Pięta piętnaście

Nie cofnę lotnego czasu

Przepadło

Domowe obowiązki wypełniała skrupulatnie - obiadz surówką, czyste koszule, czyste

okna.

W niedzielę ciasto z makiem albo galaretkę z malinami.

Nastole serweta, wyszyta w maki lub bratkiz żółtymoczkiem.

Proste sprzęty, kupione nakredyt.

W pokoju telewizor, przykryty serwetką z białym haftem kwiat w doniczce - z plastiku,

żeby nie było kłopotów z podlewaniem.

Tylko zeszyty z wierszami chowała od tamtej porystarannie.

Znalazła dlanich miejsc w wersalce, zapościela.

Pisała często, jak tylko była sama i miała chwilę, by pozbierać myśli.

Kartkompowierzała słowa i coraz bardziej narastało w niej pragnienie, by ktoś

jeszcze je poznał, ocenił to, co robi, powiedział, czy jest na właściwej drodze.

A może tylko marnuje czas, wydając pieniądze na kratkowane zeszyty i wkładki do długopisów?

Kilka razy podczas zakupów mijala budynek z napisem: "Redakcja".

Dziwnie czula, że tam znajdzie odpowiedź na dręczące ją pytania.

Ale zanim się zdecydowała, długo stała przed drzwiami, nie wiedząc,

Korale z wierszy zakładam 89

czy powinna je otworzyć.

W końcu zebrała się na odwagę.

Przy biurku siedziała jakaś kobieta w okularach.

Chciała jej objaśnić cel swojej wizyty, jednak bała się, że wszystko popłacze i zagmatwa.

Wyjęła więc tylko jeden ze swoich zeszytów w kratkę i położyła na blacie.

Kobieta gestem ręki zaprosiła ją, by usiadła.

Wzięła brulion i zaczęła kartkować.

Czytała jakiś fragment, przerzucała strony.

Trwało to z piętnaście minut.

W końcu odłożyła lekturę i zaczęła rozmowę.

Pytała - dlaczego pisze, od kiedy, czy już gdzieś publikowała, skąd ma

takie zainteresowania, gdzie pracuje?

Ośmieliła się, zaczęła mówić, o wszystkim- o swoim życiu, pisaniu z potrzeby serca, o tym, jak lubi siedzieć w samotności i notować własne myśli. Wyjaśniła, że najpierwszą to tylko jakieś pojedyncze słowa, które układają się wiersz. I to wszystko dzieje się tak nagle. Czasami mija wiele dni i nic nie jest w stanie napisać, aż wreszcie przychodzi taki

moment, że nie potrafi robić nic innego. Wyczekuje tylko chwili, kiedy będzie sama, by to, co w głowie, jakoś pozbiierać, zamknąć w

słowa.

I właściwie nie wie, po co to robi. Nie chce sławy ani bogactwa, boi się ludzi, ich opinii, złośliwych języków. Nikomu wierszy nie pokazywała. Tylko raz -mężowi, ale się upił i chciał ją bić, więc już nie ryzykowała.

Mówiła, że nie rozumie, dlaczego jej wiersze mogły wywołać taki gniew? Przecież są o zwyczajnych rzeczach i tęsknocie, kwiatach, drodze, po której

idzie człowiek, jego bólu, samotności.

Redaktorka słuchała uważnie, coś tam notowała, a potem poprosiła o zostawienie na

jakiś czas zeszytu z wierszami i spytała, czy może napisać o niej - o kobiecie, która

odnalazła swój świat w poezji, bo tam była jej radość, wytchnienie i spełnienie.

Nie wie, czemu, ale się zgodziła, zostawiła zeszyty i bojąc się, że się

rozmyśli, szybko wybiegła z budynku redakcji.

- Napisz o mnie w gazecie - powiedziała mężowi, stawiając talerz pomidorowej.

Zobaczyła w jego oczach złość i strach.

Nic nie powiedział.

Wyszedł.

Wrócił pijany.

- No, poetka, soku z ogórków minalej - wybełkotał.

Pobiegła po słoik dokredensu, ale zanim napełniła szklanę, mężczyzna już chrapał.

Siedziała w kuchni i patrzyła w okno, z którego niebo toczyło szare chmury.

A jeśli ją weźmą na języki i będzie jak wtedy, w szkole, gdy stała pod tablicą?

Może lepiej pójdzie i powie tej redaktorce, że się nie zgadza, zabierze zeszyt i schowa do

wersalki.

W końcu zmęczone powieki zaczęły się same zamykać.

Wzięła tylko na chwilę ołówki i napisała nakawałku gazety, żeby nie robić hałasu.

Spij, nie martw się

Wiem, ile ta sztuka ma aktów

Wszystko przemija

My także

Potem musiała robić nadgodziny w fabryce, bo akurat koszule z wzorem w paski

zaczęły się dobrze sprzedawać i nie nadążali z produkcją.

Starła się nie myśleć o gazecie ani tej redaktorce w okularach.

Tylko kiedyś, wieczorem postanowiła, że zacznie dla niej

Korale z wierszy zakładam 91

wyszywać serwetkę, bo wypada coś podarować od siebie, z serca.

Zdecydowała, że będzie to duży bieżnik z kwiatami, które widziała w katalogu-

wszystkie w kolorze lila, tylko różniące się nieznacznie o ton, żeby stworzyły ciekawą

plamę.

Przystąpiła do pracy następnego dnia.

Od wizyty w redakcji minął miesiąc.

Odetchnęła z ulgą: może nic nie wydrukują?

W któreś piątkowe popołudnie przechodziła koło kiosku i zobaczyła nowy numer

gazety.

Ciekawość wzięła górę.

Zapłaciła dwa złote i przysiadła na pobliskiej ławce.

Rozłożyła niewygodną płachtę tygodnika i na trzeciej stronie zobaczyła tytuł "Korale z

wierszy zakładam".

Zaczęła czytać, o sobie, o wrażliwości ciepło, jakim tchną wiersze.

Słowa pochwały wprowadziły ją w zakłopotanie.

Nie spodziewała się ich aż tylu, nie wierzyła, że to wszystko zostało wydrukowane.

Czuła zawstydzenie, ale i radość.

Nerwowo przetrząsała torebkę.

Znalazła przygotowaną dla redaktorki serwetę, owiniętą w biały papier.

Weszła do budynku redakcji.

Kobieta w okularach jakby na nią czekała.

- Chciałam podziękować - zaczęła - tyle dobrych słów i wszystko omnie.

I postanowiłam się jakoś odwdziaczyć.

- Wyjęła prezent i rozłożyła na biurku, zasłanym jakimiś papierami.

Kwiaty w kolorze lila wyszły naprawdę piękne.

Redaktorka oddała jej zeszyt z wierszami, na kartce napisała adres klubu pisarzy

amatorów, działającego przy domu kultury, i życzyła dalszych sukcesów.

Szła ulicą przekonana, że wszyscy na nią patrzą, że przeczytali w gazecie już

wiedzą.

W końcu z ulgą.

otworzyła drzwi mieszkania.

Mąż miał wrócić za godzinę.

Przygotowała obiad, na stole przy talerzu położyła gazetę.

Ubrała się i wybiegła z domu.

Chciała daćmu czas na przeczytanie, a może zwyczajnie się bała, co będzie potem?

Nie wiedziała, gdzie pójść, bo mimo wiosennej pory wiał zimny wiatr.

W końcu zobaczyła kościół, tuż przy parkowym skwerku.

Otworzyła ciężkie drzwi, usiadła na drewnianej, twardej ławce.

Patrzyła na ołtarz i figurę Matki Boskiej.

Cisza i spokój - tego było jej najbardziej potrzeba.

Pomyślała nawet, że może powinna napisać jakiś religijny wiersz.

Ale od razu porzuciła ten zamiar.

Niewiedziała, jakich słów użyć.

Każde wydawało jej się zbyt proste, za mało święte.

Kłęczała i szeptała słowami modlitwy znanej od dziecka.

W końcu wierni zaczęli się schodzić na wieczorne nabożeństwo.

Wstała z ławki i wyszła.

Czuła ulgę.

Jej serce przestało walić jak kowalskim młotem, ręce drżały.

Szła wolnym krokiem w kierunku domu.

Po cichu otworzyła drzwi.

Mężczyzna siedział na krześle, zwijał jakieś papierki pod palną.

Tłoczył się papierozgniatł butem.

Na stole stała butelka wina.

Gęsty dym szczypał w oczy.

Najpierw myślała, że to gazeta, ale po chwili zobaczyła okładki swoich zeszytów.

- Skąd wiedział, przecież nigdy nie zaglądał do wersalki?

Stała bez ruchu, oparta o ścianę.

Milczała.

Patrzyła jak ogień trawi kawałki papieru w kratkę, które mężczyzna metodycznie wgniata

butem w podłogę.

Róża cmentarna

Te trzy groby umyłam i nadzisiaj koniec będzie.

U Najwyższego o przerwę poproszę.

Na krzyżu cierpiał, ręce gwoździami mu przybili, to wie, jak mogą boleć, choćby tylko

zezwykłego schiasu.

Duży palec już mi całkiem wykręciło.

I tylko przez moje lenistwo.

Nie chciało mi się gorącej wody w kubelku przynieść.

Alenię mam prawa nikogo winić.

Chyba tylko tę chorobę, co w dzieciństwie na mnie wlała i do dzisiaj siedzi.

Jednak z woli Pana mogę jeszcze innym pomóc.

Nawet mojej koleżance z dziecinnych lat, co sama jak ten pies z kulawą nogą.

Zostawiła jątu matka na wieczne spoczywanie, chociaż na pogrzebie włosy
zgłowy

garściami rwała, boojciec, kolejowy dróżnik, przeniesienie służbowe dostał.
Najpierwza darmowe bilety przyjeżdżali, ale tylko ze trzy lata.
Potem i łzy wyschły, i włosy odrosły, a Baśka została sama, w tej dwunastej alejce na

górcie.

i Obokwisielca biedaczkę położyli.

Podobno kołowisielca być to nawet szczęście.

No i może racja, bokrzyż, co pięćdziesiąt lat stoi, ani trochę się nie pochylał.

A i ten uwisielca tak samo dobrze się ma.

Wprawdzie nowszy, bo dawny proboszcz zakazał wisielca pod krzyżem chować.

Nawet trumny niepokro.

pił. I nakazaniu wypomniał, że odebranie sobie życia to grzech śmiertelny, a

Pan żadnej pomocy nie potrzebuje w popychaniu wskazówek zegara ludzkiego życia.

Do dzisiaj te słowa pamiętam, chociaż panienkajeszcze byłam.

Podobno co w młodości w głowę wjedzie, tego do grobowej deski niezapomnisz.

Ja tu tak sobie wolnemyśli wypowiadam, a niezauważyłam, że prezesa idzie i

zaraz obsobaczy, bo alejka niewygrabiona.

Na śmierć zapomniałam!

I jeszcze teraz miałam nadzieję, że jak się skulę i za pomnik schowam, to mnie niedojrzy,

bo ślepa.

Na jednym oku katarakta.

Ale widać, namoje nieszczęście, widzenie jej się poprawiło.

No, trzeba jakoś załagodzić, żeby tych dziesięciu złotych nie odebrała.

Niewielki zarobek, ale grosz dogrosza i jakoś rencinę podeprę, jak, nie przymierzając,

figurkę aniołka, co jej metalowy pręt między lastryko i naderwane skrzydło podłożyłam.

Bez mojego starania już by się z tej presjinie wykaraskał.

A tak nie w kawałku tylko cały stoi.

Ręce złożone i oczysmutne.

Nad grobem dzieciny straż pełni.

Pamiętam, że zanim tego chłopaczka tu położyli, postanowili przedświętym obrazem

obluczyć.

Lekarzszansy żadnej nie dawał, bodwu stronie zapalenie płuc rozpoznał, ale zabrali

biedacznę i powieźlido Częstochowy, dziecko w habicik odziać i Matce Bożej ofiarować do

kapłańskiej postugi.

Jednak widać nie nadał jej się ten chudziaczek, bo w powrotnej drodze już trupkowieźli w

białej skrzyneczce.

No i zostali się potem sami, bo to był syn pierworodny i jedyny.

Dlaczego miała być największa pień Hóza cmentarna 95

karnia w mieście i cztery place.

Od Żydów za grosze kupili, bo czas był taki, że codawniej szło za tysiące, potem

ledwie za złotówki.

Chyba niepodobało się Panu Bogu, że nacudzejkrzywdzie kapitałchcieli zbić,
skoro

szczęściemnieodpłacił, tylko smutek i zgryzotęzesłał.

Ale żeby dzieckozapłacićmusiało za rodzicielską pazerność, to chyba
zbyt wielkaofiara?

Niezbadane są wyroki niebai niemnie - Cmentarnej, głowę nad tym łamać.

Piekarzowa nawet na cmentarznie mogła przychodzić.

Najpierw ze zgryzoty, a potem z nadwagi - sto pięćdziesiąt kilo na siebie wrzuciła,

rozpacz bułkamizajadając.

Serce jej się otłuściło i nawet na Wszystkich Świętych niedawała rady na cmentarną

górkęsięwdrapać.

Aż w końcu tojej tłuste serce stanęło na amen.

I tylko był problem, gdzie taką wielką trumnęobstałować i ilu łapiduchów nająć, by dali

radę nieboszczkę na sen wieczny zanieść.

Ten gróbobokdziecięcej mogiły - to jej.

Teraz jużzatem, jak Pan Bóg przykazał, może nawet mały syneček sam pod

opiekuńczeramięmatkiprzewędrował.

Chucherko takie, temu łatwo było.

Głupia ze mnie baba, pomyślałby ktoś, jakby usłyszał moje słowa,ale przez te

pięćdziesiąt lat na różne rzeczy się człowiek napatrzył, chociażotylkoczternaście

alejek wgórnę i siedemnaście w bok i więcej się już tu nie wciśnie, bo mur cmentarny
by

trzeba rozbierać.

Chybaże rotacyjnie.

Nieraz coś się zwolni, jakaś kwaterapod młotek pójdzie, ale kolejka wielka,a
proboszcz

akuratny.

Nawet jakby mukto worekzłota postawił, to z kolejki nie wypchnie.

Ten młody,jego zastępca, już takich zasad nie ma i pieniądze lu.

bi. A za kobietami to mu głowa lata jak u strusia.
Pocotakiemu była duchowna sukienka?

No, ale nie mnie oceniać kandydatów do boskiejposługi, tylko alejki z liści

omiatać, wodę w kwiatachzmieniać i pomniki szorować.
A za to ludzka wdzięczność, ale i wymagania nie wiadomo jakie, kiedyjużte dziesięć

złoty ch portmonetki sięwyjmie.

Dawniej to mniejszce wołali nieboszczyka obmyć.

Jak chłop- ogolić, jak baba - uczesać.

I do trumny wszystko przygotować na tę ostatnią drogę.

Ale teraz wdomu małokto umiera.

Na ostatnim dechu doszpitala wiozą, żeby kłopotunie było.

Toi zarobekodpadł.

No, ale trudno.

- Witampanią prezesową!

Przy takiej pogodzie chciało się to fatygować?

Wiatrzysko nieprzyjemne, a panizdrowia delikatnego i kruchotka, jak porcelanowa filiżanka

w szafce za szybą, w tej mahoniowej serwantce, co w salonie stoi.

Widziałam ją, kiedy powypłatę zasłami od razu pomyślałam: zupełnie jak pani prezesową.

No, nie maco od razu głośno podnosić.

Wiaderko odstawiam i jużbiegnę z grabkami.

Minuta pięć i będziegotowe.

Jeszcze słoiczek napełnię, żeby te chryzantemy, które pani prezesowa przyniosła, wstawić.

Tylko końcetrzeba odłamać, bo wtedydłuższy żywot kwiatka.

Ten stary ogrodnik, co kiedyśna grobach bratki sadił, jakjeszcze tej mody na

marmury nie było, zawsze powtarzał: "Kwiat podcięty, to nie to samo, co chłop podcięty.

Postoi wsłoiu choćby cały tydzień.

A biedak, co normę przekroczył, może najwyżej w alejce cementarnej się zdrzemnąć".

Niby dwatakie sameśłowa, a co innego znaczą.

Róża cementarna⁹⁷

Ja wiem, że pani prezesową to osoba akuratnai omężowski grób dbajak żadna.

I jak myślę, już dawno mu wybaczyła romansik, z taką młodą, w kapeluszu i w pończochach

szewkiem.

Nie ma co w sercu urazy trzymać.

Zresztapani sama mówiła: "Poskacze, poskacze, męskość potwierdzi, a emerytura i

tak będzie moja".

I sprawdziło się do słoweczka!

Na zawsze już pani prezesową została, a o tamtej dawno świat zapomniał.

Tylko ten jej chłop, pijaczyna, inaczej jak "kurewskie nasienie" do niej

niemówił, chociażbyła urzędniczką w magistracie, a on zwykły robot.

U kamieniarza prywatę odwał.

Za swój grzech odpokutowała biedaczka.

I niepotrzebnie pani prezesową tej parasolki użyła na środku Zamkowego Placu.

Tyle z tego krzywdy było, że dzieciaki zabawę miały.

Ale tu honor szło bardziej niż o krzywdę.

I swojej pani prezesową pokazała.

Ana tym koniec i kropka!

A kiedy pan prezes zachorował i przez ostatnie dwa lata żył sobie już tylko jak

ten bąbel na wodzie, nie opuściła go pani troska.

Widać, że małżeńska przysięgą coś znaczy.

U ludzi z honorem, ma się rozumieć.

Co, tylko pięć złotych w tym miesiącu?

Nie możemy tak panią krzywdzić za tę jedną wpadkę w dniu dzisiejszym.

Nie będzie więcej?

No trudno.

Zawiniłam, trzeba głowę zwiesić, jak ten Chrystus na krzyżu pod cierniową koroną.

Już się tonie powtórzy, mogę obiecać.

Cmentarna też honor ma i nie tylko napieniędzy leci.

Ile to ja darmo chęci odstawiam!

Krzyże przewrócone podpieram, stare wieńce na śmietnik wynoszę.

lampki zapalam, jakjeszcze troche wosku na dnie widzę.
I zdrowaški odmawiam za tych, cogrzechy ciężkie na sumieniu mają i nie wiadomo,
czy

wrota Królestwa Niebieskiego się przed nimi uchylą, a świętyPiotr zameczek otworzy.
Zawsze trzy sobie zadam przy grobie nauczycielki, co się przez nią uczennica

otrula,a innażyły prulaz rozpaczy.

Taka biedaczka bezwzględna byłai przez uczniów znienawidzona.

Ludzie nawet krzyczeli na pogrzebie, że w święconej ziemi leżeć niepowinna.

Ale coinnegoludzie mówią,a co innegoPanBóg widzi.

Niedał jej męża i dziecka w tonie,bogactwaani urody.

I możestądta jej niechęć domłodych dziewcząt była i zasadniczość w charakte
rze.

No to trzy zdrowaški niech ode mnie ma.

Możejejsię na sądzie ostatecznym przydadzą, botam rachmistrze złych i dobrych
uczynków

siedząj licząbez pomyłek.

Chciałabym kiedyś doczekać, gdy podejdzie domnie ipowie: "Dziękuję

ci,Cmentarna, za te trzy zdrowaški.

Teraz razem możemy się po ogrodach Panaprzechadzać".

Za siebie też trzy odmawiam.

Zprzezorności i zestrachu, bo pewnych czynów się dopuściłam i nawetksiądz
proboszcz

onich nie wie.

Może jak czasjeszcze będzie inagła, niespodziewana mnie niepowali,to przed tym
młodym

sięwyspowiadam.

Sam sumienie ma grzeszne, to i lepiej zrozumie innego grzesznika.

Ostatnio nawet anonim na cmentarnym płociwisiał, że zrobił jednej parafiance
dzieckoi

po pijanemu do ogródka narzygał.

I ludzieto widzieli!

Róża cmentarna 99

Powiem mu, jakbyło, trudno.

A jeśli znaku krzyża nie wykona i wkonfesjonał nie zapuka, to smołapiekielna moje

występki wygotuje.

Inie dla pieniędzyzrobiłam.

Bóg mi świadkiem, że grosza niewzięłam za ten swójciężki grzech.

A było to tak.

Raz do mnie jakaśkobieta podeszła,młoda izapłakana.

I tak błagalnie w oczy popatrzyła,że nie miałam gdzie swoich podziać.

Mówi: "Cmentarna, pomóż mi, bo inaczej spokoju niezaznami życiemoje przekreślone zostanie

razna zawsze.

W szóstym miesiącu poroniłam, dziewczynkę.

Kara zagrzech, bo to nie mężowskie było, tylko takiego jednego, co okna wstawiał w domui

się zasiedział.

Zimnopo mieszkaniu wiało, to butelkę postawiłam, żeby się ogrzać.

Upiliśmy na spółkę, a że zalotny był, to i uległam, jak doszło do montowania lufcika w

kuchni.

Mąż za granicą, na rok do Ameryki pojechał, a jatyh spraw zawsze spragniona.

No i ztego alkoholuzapomniałam się akurat wplodne dni.

Ale widać Panu Bogu ten mój grzech się nie spodobał, skoro poronienie przyszło.

Na szczęście nikt nie wiedział, że "wciąż byłam, i teraz też nie wie.

Tylko tobie swój sekret wyznałam.

I Mieli tę dziecinę do spalenia przeznaczyć, ale załatwiłam z położną.

Z dolarowego konta podjęłam, co trzeba, i mi tego trupka wydała, zawiniętego w gazetę i

szpitalne pieluchy.

Ksiądz pochować w święconej ziemi by nie zezwolił, bo wcześniaki z grzechu.

Musiałam do ciebie w prośby przyjść".

Spojrzałam na nią, a tej łzy jakby z perłowego sznurka puszczone popoliczkach

płyną.

I tak mnie! coś ścisnęło, że nie mogłam odmówić.

Szminka w kolorze cyklamenu

"To gdzie masz tego dzieciaka?

" -pytam, a ona mówi, że w reklamówce, tu koło ławki.

A potem pokazała mi taką małą kukielkę, całą w pieluchy zawiniętą.

"Od razu ją przysłaś?

" -spytałam, chociaż i pytać nie musiałam, skoro wszystko było jasne niczym dzień biały.

"A gdzie z trupem iść jak nie na cmentarz?

" - odpowiedziała.

I w tym momencie przypomniało mi się, że grób przy głównej alei jeszcze z

przedwojennych czasów ma taką dziurę z boku.

Pomyślałam, że tam włożymy dziecinę, bo głęboki, z przedwojennego kopania.

Nie to co dzisiejsze fuszerki, na cztery łopaty za ledwie.

I wsunęłyśmy delikatnie zawiniątko, patrząc, by nikt nie zauważył.

Jeszcze spytałam, jak naimię dziewczynce dała?

Ale ta młoda tak była rozdygotana, że o imieniu chyba wcześniej nie pomyślała, tylko o

grzechu, którego się dopuściła.

Znowu oczy na mnie podniosła i pyta:

"A tobie, Cmentarna, jak na imię?

"

Mówię jej: "Róża", bo tak imię chrzcie świętym mi napisali.

"No to niech i ona Róża będzie- powiedziała.

- Napamiątkę, żeś pomocy nie odmówiła i mała w święconej ziemi sobie spać będzie".

A potem przeżegnałam się krzyżem świętym, a ja razem z nią.

I zaczęła szukać po kieszeniach tych mężowskich dolarów.

"Umnie nic płacić niemusisz - odpowiedziałam jej.

- Lepiej za spokój duszy i nasz grzeszny postępek na ofiarę do kościoła zanieś.

Do skarbonki u świętego Judy wrzuć.

On jest od beznadziejnych przypadków.

Może i twoje małżeństwo uratuje.

A o Różyczkę się nie martw.

Róża zawsze będzie o niej pamiętać".

Róża cmentarna 101

I słowa dotrzymałam, chociaż już dziesięć lat minęło.

Świecek zapalę, zdrowaśkę odmówię i mam tutaj swoją dziecinę, w grzechu poczętą i w

grzechu pogrzebioną, skoro własnej mi Pan Bóg nie dał.

Drugi grzech jeszcze gorszy popełniłam.

I dzisiaj już nigdy nikt by mnie nie namówił do takiego występku, na trzeźwo

ani popijaku, chociaż trunkowanie jestem.

Tylko ten jeden jedyny raz wina pół flaszki wypita, z takim, co też zmartwieniem

wielkim przyszedł.

Znałam go z widzenia, a i on mnie znał, bo od razu przystąpił do rzeczy.

"Cmentarna, dobra z ciebie kobieta.

Tak ludzie mówią.

No to i odwagi nabrałem, że mi pomożesz.

Ależebym jeszcze większą odwagę miał, flaszkę przyniosłem.

Wiem, że w tym miejscu pić się nie godzi, ale jakbyśmy za murem przysiedli, to nic nikomu

do tego.

Tam już poświęconej ziemi nie ma, tylko zwyczajna, dla takich, co jeszcze ostatniego

namaszczenia nie dostali".

No idę tam się skusić, a resztę ciekaw byłam, dlaczego z flaszką przyszedł, żeby

ją ze starą babą rozpić.

Wzięliśmy połyku, potem drugi i trzeci.

I on zagaił sprawę następująco.

"Ludzie i dla zwierząt powinni serce mieć, bo stworzenia boże, nasi

bracia, jakich nazywał święty Franciszek.

I też do boskiej opieki mają prawo.

Askoro święty tak mówił, to może mnie wolno o spój czyjeś duszy zadbać".

"Czy jej?

" - spytałam, bo mi trochę potem winę głowie zaszumiało.

"Psiej - odpowiedział.

- Suka mi zdechła.

Dwanaście lat razem byliśmy, ja i ona.

Do żeniackiego

nie miałem, bo ciągle w delegacjach, na budowach.
 A jak wypadkowi uległem z rusztowania spadłem, to jedną rękę mam niewładną.
 Wybrakowany towar.
 Nie chciałem się żadnej narzucać ze swoim kalectwem, bo co to za chłop bez prawej ręki?

Z pracy musiałem się zwolnić.
 Nie powiem, rentę dali i odprawę, a talony na święta do dzisiaj przysyłają, ale moje życie zawodowe się skończyło, a osobistego nie miałem.

I kiedyś pod sklepem usiadłem i piwopiłem oraz losieswoim myślałem.
 Aż tu nagle skowytyszę, jakiś pies nasznurku uwiązany się szarpie.
 Gorączkabyła, kupiłem mineralną i dałem wypić biedakowi, a ten mnie po ręce liże.
 Trzy godziny pod sklepem czekałem, że ktoś popsaprzyjdzie, ale nikt się nie

zgłosił.

To odwiązałem sznurek i zabrałem Sabinę do domu, bo to, okazujesz się, suka.
 A takie jej imię nadałem po matce swojej, co mi w dzieciństwie obumarła.

I ta suka jedyną kompanią była, ale w końcuna zdrowiu podupała.
 Rakowinasię wdała, operację zrobili.
 Jedną, potem drugą okazało się, że ratunkują żdła niejnie ma.
 Dał weterynarz Sabinie taki zastrzyk na lekkie skonanie i na moich rękach

zasnęła.

A ja najchętniej sam bym o taki zastrzyk dla siebie poprosił.
 Do domu ją zabrałem, do worka włożyłem i na łąkę ze szpadlem poszedłem, dół ukopać.

I wtedy w stronę cmentarza spojrzałem i pomyślałem sobie, że Sabina lepsza była

niż niejeden grzesznik, co w święconej ziemi leży.

I tak awemnie myśl powstała, by ją tu pochować.

Żeby spokój miała i za różacmentarna 103

den chłop, co traktorem będzie orał, jej nie wykopał.

Chociaż tyle jej się ode mnie należy za to, że przed dwanaście lat łeb na moich kolanach

kładła, ogonem machała i z radości nawet po nogach lała, jak do domu wracałem.

No, powiedz, cmentarna - wisielec tu leży, ten cematkę w komórce zamykał i jeść

jej niedawał.

I dla nich jest miejsce, a dla Sabiny nie?

"

"Tyś chyba zwariował chłopie!

- krzyknęłam na głos.

- Pies i człowiek w jednym miejscu mają leżeć?

To nie po chrześcijańsku".

Ale potem żal mi się go zrobiło i mówię: "Trudno, najwyżej w piekielnej smole

smażyć się będę za tencieżki grzech.

Zresztanie pierwszy on na moim sumieniu ciąży.

Przyjdź wieczorem zlatarką.

Jak mi pomożesz płytę odsunąć w takim jednym grobowcu, coś się zapada z lewej strony, to

miejsce się znajdzie.

Tylko że tam jakiś komunista pochowany.

Zaraz powojnie gozabili, boludową władzę chciał umacniać.

Dzieckiem byłam, ale pamiętam, jak go z honorami chowali.

No i szybko zapomnieli o swoim bohaterze.

A teraz nie ma kto płyty naprawić, bo tylko na słowohonoru się trzyma.

Ale musisz się zgodzić, żeby twoja Sabina z komunistą w jednym dole leżała, bo innego

miejsca chwilowo nie mam".

"To mi, kobieto, klin zabiłaś" - powiedział i już byłam prawie na sto procent

pewna, że się nie zdecyduje.

Jednak w nocy trzy razy w okno zapukał, jak było umówione.

No i teraz leży sobie Sabina w jednym grobie z komunistą.

Może to imniejszy grzech, niż gdyby ze zwykłym chrześcijaninem kwaterę miał dzielić?

A temu komuniście taki prezent z pewnością się nie należał, ale sobie myślę, że

może i jego dusza lepsza się stanie, jak będzie blisko dobrego.

Oprzewinieniach swoich nikomu do tej pory nie powiedziałam, a dopowiedzi, dotego

młodego księdza, wybieram się i wybrać nie mogę.

Jednak duszę chciałoby się oczyścić, bo zło uwiera, jak gwóźdź w skarpetce.

W takiej sytuacji Bogu tylko podziękować wypada, że mnie na Cmentarną

przeznaczył, chociaż nie we wszystkim jestem w porządku.

Innym może i lepsze miejsca uszykował, ale trzeba się jego wolę pogodzić.

A może i wyboru większego nie miał, skoro mi przyszło całe życie spędzić w tym

baraku, co na wprost cmentarza stoi.

Tyle razy już go zburzyli, najpierw za komuny, potem za Solidarność, a chwała Bogu

razem ze mną kapitalizmu doczekał.

Odkąd pamiętam, zawsze przez okno cmentarza widziałam i krzyże.

I ten napis: "Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz".

Jak nie chciałam w domu pomagać, to matka straszyla, że mnie w nocy nieboszczyk

za nogę z łóżka wyciągnie.

Ale nie wyciągnął.

A potem jak podrosłam, to się i bać przestałam.

Ludzie strach przed cmentarzem mają, ale pod Bogiem przysięgam, że bać się nie

ma czego.

Nigdy żadnej błędnej duszy nie spotkałam.

A na cmentarzu byłam każdego dnia, sprawdzić, kogo pochowali, jakie wianki i grobie leżą.

Nawet ze szkoły uciekałam, żeby na pogrzeb zdążyć.

Róża cmentarna 105

Może i przez to tylko siedem klas powszechnego wykształcenia mam.

Ale jak mówi ruskie przysłowie:

małemu statkowi małe pływanie przeznaczone.

Żywi gorsi, bo widać świętość już dla nich nic nieznaczy.

Kiedyś patrzę, a tu młoda para miłości cielesnej się oddaje i bezwstydnie cztery litery

na krzyż wypina.

Jak wzięłam siatkę, co w niej słoiki niosłam, jak walnęłam w goliznę, to aż echo poszło

po alejkach.

"Świnie wy jedne!

- krzyczałam.

-Spokoju świętego nieuszanujecie!

Żeby z seksem na cmentarz przychodzić?

"

A ten młody do mnie z rękami wystartowali wrzeszczy jeszcze głośniejsze: "A może nam

się spodobało akurat w tym miejscu dowód miłosny sobie dać?

"

Dobrze, że grabki miałam w drugiej ręce.

I niewiem, do czego by jeszcze doszło, ale ta młoda zaczęła krzyczeć: "Zostaw, to

wariatka!

" I sobie poszli.

Tych z psami też gonię.

Nie będą mi tu po grobach sikać.

I trunkowiu mnie zgody nie mają, nawet jak grzeczni są i mówią, że chcieliby w spokoju i

ciszy tępołoweczkę spożyć.

Nie pozwalam i już.

Niech podsklepem siadają, tam też ławeczki stoją.

Ludzie na groby idą kwiaty wstawiać, lampki zapalać, a tu denaturą będzie mierzwić?

Nie z mojego panowania!

Gdzie kto leży, na pamięć wiem i po ciemku nakażdy grób trafię.

Codziennie wszystkie alejki obchodzę.

Zaczynam od grobu nasamym dole z napisem "Tu leży żona przez męża porzucona".

Zawsze mi żal tej pięknej i smutnej pani, cona fotografii pod napisem kamieniarz ją

umieścił.

Nie sama tu ona biedaczka w takiej sytuacji.

Ilu innych podobnie samotnych leży?

Mężów, żon, rodzi

ców.

Chociażby tecztery groby.
 Na oko każdy inny, alenaprawdę taki sam, bo niczyj.
 Dziecisię rozjechały, córka i syn za granicą.
 Ze dwadzieścia lat nagrobieniebyli.
 I żeby im na myśl wpadło takiej Cmentarnej dolara podesać, to lampkę by zapaliła,
 żeby

światełkiemdrogę do wieczności rozjaśnić.
 Ale nie pomyśleli.

Trudno, cmentarz jest dlaumarłych, a świat dla żywych i nic na to się

nieporadzi.

Tylko pewnie imtaksmutno tu samymleżeć.

Dobrze, że czasem do nichzagadam i ten ptak zaśpiewa, co na akacji siada, chociaż
 ona

zapachem kusi, alepodobno soki zumarłychwyciąga.

Następnypzystanekprzy kwaterach zasłużonychchrobie.

"Ziemia ich domem na wieki" - ktoś napisał.

Ciekawe, dlaczego oniebie nie wspomniał?

Wprawdziekomuniści tu leżą, ale jest i powstaniec, i burmistrz,radca, mecenas, a
 nawet

proboszcz.

Widać napis niewszystkich dotyczy.

Skręcam przykrzyżu, na którym napisano:"Matko Boska, tu Twa troska".

I zaraz obok jest tengróbz aniołkami po dwóch stronach girlandami w marmurze

wyrzeźbionymi.

Litery trochę sięstały i jużłotegoblasku nie mają, zato napis ażzaserce chwyta, a i

mnie, starej babie, rumieniec na twarz napędza: "Tu leży anioł rozkoszy nieziemskiej
 w

miłośćimałżeńskiej".

Obok grawerki zdjęcie panny młodej, w sukniez welonem i kwiatem
 pomarańczy we

włosach.

Jest jeszczepodpis: Przybysław Orliński.

No, widać chłop musiał z nią radości zażyć iuprzykrzyćmu się nie zdążyła.

Nie dziwota, skoro w dwuRóża cmentarna 107

dziesiątej czwartej wiosnie życie zakończyła.

Ciekawe,jak długo szanowny małżonek w żałobie wytrwał?

Tojuż chyba tylko Pan Bóg zna odpowiedź, bo miejscowych pytałam,ale nie pamiętają

nikogo, kto by się taknazywał.

Może nietutejszy?

Machnęłam ręką i dochodzić przestałam.

Tych tajemnic, coje ziemia skrywa, tyle, że na ludzki rozum nie weźmiesz.

I nie ma po co.

Zakopane, łopata przyklepane, na sen wieczny złożone, jak, nieprzymierzając,
Różyczka i

Sabinka.

A w godzinę Sądu Ostatecznego i tak każdy przywołanie dostanie, by Panu relację ze
swojego

życia zdać.

Już miałam się stąd zabierać, ale od cmentarnej bramy Salve Regina słyhać.

Przypomniało mi się, że dzisiaj tych młodych będą chować, co czadem uśpieni, w sen

wieczny zapadli.

Trzeba iść bliżej grobu, na widoku stanąć.

I nie poto, by na ludzką rozpacz patrzeć.

Jak się ceremoniaskończy, może ktoś podejdzie, dziesiątkę rękę wsunie i powie:
"Niech

Cmentarna dopilnuje, żeby złodzieje wieńców z grobów zabrali na bazar nie
ponieśli".

I Cmentarna dopilnuje.

A dziesiątką też nie pogardzi.

W końcu ona teraz- unijna!

Obca

Moja matka jest stara.

Schodzi wolno po schodach, przytrzymując się poręczy.

Uważnie przenosi stopę z stopnia na stopień, łapie równowagę.

- Nie chcę upaść, bo to tylko dla ciebie kłopot - usprawiedliwia się, kiedy zbyt

długo przypatruję się, jak schodzi w dół.

Nie wie, że nie myślę o niej.

Nagle uświadamiam sobie, że ja też jestem stara, skoromam matkę, która skończyła

osiemdziesiąt lat.

I ten fakt budzi mój strach i moje zdumienie.

Doniedawna wydawało mi się, że od niej, mojej matki, dzieli mnie przepaść wieku,

daleka i niewyobrażalna.

A teraz, nagle, nastąpił dziwne przybliżenie.

I stało się to zupełnie niezauważalnie, bez niczyjego udziału.

Matka nie wie, o czym myślę.

Nie może wiedzieć.

A jednak sama, niepytana o nic, zaczynam mówić.

- Zastanawiasz się, co łączy mnie z tą kobietą, której portret wisi na ścianie?

Nic.

Teraz już nic.

Patrzę na jej rysy, na szczupłe ręce i czarną sukienkę w rozmiarze trzydzieści osiem
in

widzę żadnego podobieństwa.

Nawet ten kwiat białej magnolii przy dekolcie wydaje się obcy, chociaż pamiętam, że

szpilka, którą go przypinałam, zawsze kaleczyła palce.

Oddale Obca 109

nie, tak chyba powinien nazwać ten stan.

Czułam, jak oddala się ode mnie, najpierw małymi kroczkami, potem coraz szybciej.

Niedługo to ja znajdę się zadrzwiami, które ktoś zamknie, nawet jeśli ona dalej będzie

wisieć na ścianie w tym samym miejscu.

Potem zapadacisza.

Matka milknie zawstydzona.

I ja nie wiem, jak powinnam się zachować.

Milczę, czuję się dziwnie skrępowana tą sytuacją.

A pamiętam, jak jeszcze niedawno ciągle się napraszałam: - No opowiedz mi swoje życie, tak

po kawałku, dzisiaj trochę i jutro, żebyś wiedziała.

Ale matka zawsze machała ręką.

- O czym tu gadać?

Każdy miał, co swoje.

A cudzego krzyża i tak na własne plecynie weźmiesz -mówiła.

Czasami jeszcze dodawała: - Chybabyłam kiedyśŻydówką, w jakimś moim pierwszym

życiu.

Jednaknie zawracała sobie głowy, by jakoś to wyjaśnić.

- Chodzi opewne zachowania higieniczne - powiedziała, kiedy starałam się

dowiedzieć, co miała namyśli.

Brzmiało to równie tajemniczo, jak cała sprawa z żydowskim pochodzeniem.

No i musiało mi wystarczyć.

Teraz, po długiej chwili milczenia, zaczęła cicho, nieśmiało:

- Opowiedzieć swoje życie.

Czy to w ogóle jest możliwe?

I jak to zrobić, skoro dzień po dniu ulatuje pamięci?

Znika, płowieje, niczym atrament w starym zeszycie.

I komu to potrzebne?

Jednożycie jednej starej kobiety, która jest jak drzewo bez korzeni, już na zawsze

okałeczone.

Niby nie różni się od innych drzew,.

a jednak ciągle obce.

Jakby ziemia nie potrafiła goprzyjąć.

Może dlatego zawsze zaznacza, że po śmierci chcebyć poddana kremacji - przyszło

mi nagle do głowy.

Właśnie z obawy, że ziemia niezechcejej przyjąć.

Aleskorprzyjmuje nawet morderców i zbrodniarzyi sprawiedliwie wszystkich sobąokrywa?

Dlaczego miałyby zrobić wyjątek dla mojej starej matki?

"Paryżanka", tak mówili w miasteczku.

A złośliwe i brzydkie baby dodawały: "Wyżej sra, niż dupę ma".

Matka jednak jakby nie słyszała tych słów.

Była z innego świata, z tym swoim - proszę, dziękuję, przepraszam!

- Nie wiedziałam, co znaczy słowo "emigrant".

Niezdawałam sobie sprawy - tłumaczy się, jakby czymś zawiniła.

- Byłam dzieckiem.

Niewiele jeszcze rozumiałam.

Zresztą to mój brat był jakimś Polakiem.

Ja urodziłam się już we Francji.

Najpierw ojciec i matka mówili innym językiem niż niektórzy sąsiedzi.

Zresztą nasi sąsiedzi też przeważnie mówili po polsku.

Prawie wszyscy byli Polakami, pracowali w kopalni, mieszkali na kopalnianym osiedlu.

I przyjechali tu z powodu biedy, braku zajęć w swoim kraju, a czasem

innych okoliczności, o których nam, dzieciom, się po prostu nie mówiło.

Mężczyźni chodzili razem do pracy, kobiety zajmowały się domem.

Ci samotni, na kawalerce, młodzi albo tacy, którzy dzieci i żony zostawili w tej

jakiejś Polsce, przychodzili na obiad i kawę do mojej matki.

Prowadziła taką domową stołówkę.

To było bardzo modne w tamtych czasach.

Mój starszy brat był dumny, że jest Polakiem.

Nosił harcerski mundur.

Na akademiach recytował

Obca 111

wiersze o Kościuszcze, co przysięgał na krakowskim rynku, uczył się

polskiej szkole.

Ja nie.

Krzyczałam na niego: "Tykanciasty łbie", on na mnie: "Kataniarz, w dupę wlaź, ciemno

było, nie wylazł".

Jedynę zdjęcie brata mojej matki niedawno gdzieś zginęło.

Jako dziecko lubiłam się przypatrywać temu mężczyźnie w ciemnym berecie i mundurze.

Kiedyś, w tajemnicy przed matką, wyniosłam fotografię na podwórko, by pokazać dzieciakom.

- To mój wujek, walczył o Polskę i zginął w Hiszpanii - powiedziałam zdumą.

- Jakiś głupi ten twój wujek - hełmu nie miał, to musiał zginąć - stwierdziły

zgodnie.

A ja zawstydziałam się, że miałam głupiego wujka, który na wojnę berecie poszedł. Potem już nigdy nikomu nie pokazywałam tego zdjęcia.

Matka zaczyna mówić coraz głośniejszym głosem, jakby chciała na dłużej zatrzymać moją

uwagę przy tym wątku.

- Tylko raz się zgodziłam walczyć o tę jakąś Polskę.

Z jedną Francuzką mieszkaliśmy dosłownie przez ścianę i ona powiedziała: "Wasza Polsko

taki kraj, gdzie świnia ludziom przez okno mówi dzień dobry!

".Więc uzgodniliśmy z braćmi, że ją zabijemy.

Najstarszy miał wziąć siekierę, ja kopnąć ją w brzuch, a najmłodszy rzucić się pod

nogi, żeby nie mogła uciekać.

Oczywiście sąsiadce włos z głowy nie spadł, a nam złóili skórę za głupie pomysły.

Zresztą często dostawałam, łaziłam podzwach ciagle niszczyłam coś z ubrania, a

jak któryś z braci przeszkrobał, brałam winę na siebie.

A potem już nie pytali, kto, tylko od razu było na mnie.

Wszystko dałam - buty, sukienki, spodnie.

Taki psotny dzieciak.

byłam.

To co miał robić?

Ojciec brał pasek, a matka prowadziła kazania.

Wolałam dostać, niż tego słuchać.

Nie wyobrażam sobie mojej matki na drzewie i z kamieniem w ręku, a te jej

wspomnienia są rzeczywiście jak spłowiwały atrament.

Nie zostało nic, nawet marnego zdjecie z dzieciństwa, które mogłoby zaświadczyć.

Tylko jej własną pamięć.

Ale chce mówić, wreszcie chce.

Sięgam pokolejną kartkę.

- Pisz wyraźniej - upominamnie.

- Zawsze tak strasznie bazgrzesz, że nie sposób tego odczytać.

Czy ty nigdy nie nauczysz się ładnie pisać?

- Teraz mów wolniej, z nadzieją, że moje pismo będzie staranniejsze.

- W Polsce była bieda i dobry czarny chleb, który wspominała moja matka.

Ale przecież nie mógł się równać z białymi bułkami z pszenicznej mąki, rumianymi jak

słońce.

Po co mieliśmy wracać, skoro mogłam sobie biegać po naszych sześciu pokojach z
woskowaną

podłogą i jeść bułkę z czekoladą, która była tu za bezcen.

Zagłupie dziesięć franków dawali całystos, a do każdego pół kilograma kawy jeszcze

ręcznik.

I to niebyle jaki, porządny!

Czasami przychodziły listy od rodziny.

Matka rozkładała ją na czystej gazecie, żeby nie ubrudzić.

I czytała powoli, dokładnie wypowiadając każde słowo:

"Znowu wasza krowa padła i kury zdechły", pisała jej siostra, której zostawili

gospodarstwo w zarząd.

"A czemu tylko nasze zdychają?" - pytałam z ciekawością.

Matka machała wtedy ręką i mówiła: "Widać z tęsknoty."

"

"Nigdy nie pojedę do Polski - mówiłam wtedy - tego chleba też jeść nie będę - na

pewno kwaśny i w zęby kłuje".

Obca 113

- Zawsze byłaś ładna?

- pytam, kiedy moja osiemdziesięcioletnia matka zerknęła do lusterka, by poprawić mały
kok.

Jej stara twarz miała zmarszczki, włosy się przysięgły.

- Byłam brzydkim, niedonoszonym wcześniakiem.

Moja matka prosiła Boga, żebym umarła.

I pan Bóg wysłuchał, tyle że po swojemu.

Dał mi długie życie i urodę.

Tylko szczęścia nie dał.

Zresztą matka też była ładna, tylko nogi krzywe miała.

Ale ojciec i tak kiedyś na zabawie z zazdrości o nią całe rondo od kapelusza zjadł.

Nie chciałam chodzić do polskiej szkoły.

Kiedy bratrecytował taki wiersz: "Gdzie ty mieszkasz, w polskiej ziemi", ja zawsze go

poprawiałam, nie polskaziemnia- francuska.

"Jesteś głupia jak wszystkie katany!

- mówił wtedy wściekły i natychmiast brał się za książkę do historii.

On czytał na głos o polskich królach, jajeszcze głębiej, po francusku, o Hunach i świętej

Genowefie, która broniła Paryża.

Właśnie się przeprowadziliśmy pod Paryż, bo tam, gdzie mieszkaliśmy, w północnej

Francji, było bardzo dużo wypadków w kopalniach.

I mama się bała, że ojciec zginie.

Poszłam do dobrej szkoły, za którą płacił mój chrzestny.

Był bardzo bogaty, miał siedemset hektarów, pałac i służbę.

Wynajął mistancję w Paryżu.

Jego żona nienawidziła obcokrajowców.

"Wolęcały koszt szczeniaka niż jednego obcego" - mówiła.

To była zła, zimna kobieta.

Taka zmija ostalowych oczach i przeszywającym spojrzeniem.

Pochodził z bogatej rodziny, a wuj był biedny, ale bardzo.

dobry.

I chciał mieć córkę, a los dał mu dwóch synów, podobnych do matki, zasadniczych, o

trudnych charakterach.

Byli zazdrośni, że ich ojciec im nie lubi.

Pamiętam, że wpychali mnie w krzaki róż, żeby się pokłuli.

Co niedzielę rozdawałam chleb biednym przed kościołem, wuj za to płacił.

W tajemnicy przed ciotką wielu ludziom pomagał.

Chodziłam pięknie ubrana.

Szyłam u Cyprjaniego, słynnego krawca zopery.

Byłam jego numerem 38.

Kostiumy, garsonki, bluzki, wszystko starannie wykończone, z najlepszych materiałów.

Wuj regulował rachunki, a ciotka była wściekła.

Bardzo dobrze się uczyłam, chociaż niektóre Francuzki nie mogły znieść, że

jakaś Polka jest od nich lepsza.

Na koniec roku zawsze dostawałam stos nagród i jeszcze czek na pieniądze.

Moi bracia także.

Rodzice byli z nas dumni.

Takie dobre życie wtedy miałam - mówi ze smutkiem.

- Chyba za dobre, że musiało się tak szybko skończyć.

- Przymyka oczy.

Wiem, że znowu jest tam, w swojej Francji.

Odkładam kartkę.

Nie chcę zabierać tej chwili.

I tak nie należy do mnie.

- Najbardziej mnie krępowało patrzenie, jak ktoś brzydko jadł.

Szczególnie niektórzy Polacy jedli brzydko.

Nie tam, w niewoli, kiedy jeszcze była wojna, bo wtedy jadło się w takim zawstydzeniu.

Jakby się człowiek krępował, że nie potrafi powstrzymać swojego głodu, a powinien się

podzielić.

Minęło wiele dni od naszej pierwszej rozmowy.

Matka zaczyna swoje opowiadanie nieśmiało, jakby

Obca 115

przypadkiem.

Pijemy razem herbatę.

Jest letnie przedpołudnie, chociaż czas imiejsce nie mają tu przecieźżadnego znaczenia.

Nie wiem, dlaczego właśnie o tym ją poruszył, ale bezwiednie poprawiam łyżeczkę leżącą

obok szklanki, nie chcąc się narazić na krytykę z jej strony.

- Powojnienie było już tak biednie, ale nikt nie odkładał sztućców, by spokojnie

przeżuć kęs, nie wycierał ust serwetką.

Zresztą, może za dużo wymagałam, boserwetka to był przecież zbytek, ale ja nieumiałam

inaczej.

A niektórzy kładli mizerię wprost natalerz, nie do osobnej miseczki.

Inawet koniak z musztardówki pili.

Kiedy mieszkałam potem na ziemiach zachodnich, w poniemieckim majątku rosły

szparagi, całe pola.

I nikt ich nie kradł.

Kartofle, owszem, ale szparagównie.

A ja jadłam je z cienkim plasterkiem masła.

I wtedy widziałam majątek ciotki i wuja.

Przez chwilę znowu tam byłam.

Jeszcze dzisiaj czasami wydaje mi się, że czuję zapach trufli, delikatnej

jagnięciny, sosu z dodatkiem czosnku.

Pachnąca kalopki, królik w czerwonym winie, z małymi ziemniaczkami.

Siedzę przy stole w domu ciotki, kroję mięso na małe kęsy, łamię chleb.

Nakolanach serwetka.

Służący przynosi wodę do umycia rąk, kłania się.

Słysząc, jak dzwoni łyżka w kryształowej wazie z kompotem.

Obiad trwa godzinę, a nikt się nie spieszy.

To święta pora.

- Moje życie tak szybko minęło - mówi matka.

- Jak chwila.

Zwłaszcza tamtożycie, we Francji, teraz wydaje mi się chwilą.

Oddała się, blaknie, traci kolor.

Czasami nawet zdaje mi się, że nigdy tego - tam, nie.

było.

I wtedy zaczynam modlić się po francusku i liczyć.
Zawsze tak robię, żeby się upewnić, że pamiętam.
Potem biorę francuską książkę i czytam.
To mniejjaś trzyma.

Jest upalny, sierpniowy dzień.

W wojskowym wagonie niemieccy żołnierze i Polacy, deportowani z Francji.

Moja matka jedzie z nimi - na roboty.

Madziewiętnaście lat, jest śliczna, wystrojona jak paryska lalka.

Nie wie, czemu, ale przytomnie zabrała zimowypłaszcz, chociaż żar leje się z nieba.

Żołnierzesa młodzi, tak jak matka, i tak samo się boją.

Nie chcą umierać za żadnego Hitlera.

Niemyślają śmierci, grają w oko.

Matka gra z nimi, bo jak się ma dziewiętnaście lat, trudno uwierzyć, że możesz

stać coś złego.

A podróż się dłuży.

Zamiast się bać, żołnierze wołają do niej z dziewczyną, która na razie

jest jeszcze niewolnikiem podbitego narodu, tylko śliczną lalką z burzą rudawych włosów,

filigranową i szczupłą, która mówi trochę po niemiecku i po francusku.

Nie znają francuskiego, ale jak się gra w oko, wystarczy znać karty.

Po czterech dniach podróży pierwsza zupa z brukwi.

Nalewa ją jakiś Niemiec na dworcu w Stettinie, ale matce jest wszystko jedno.

I tak niewie, dokąd ją wiozą.

Wzupie pływają skwarki i kawałki mięsa.

Jest głodna, inni też.

Pochłania zawartość w minutę.

Tygodniowy zapas chleba zjadają od razu.

Nie wiedzą, że następnym trzebaczekać aż siedem dni.

Ojciec nie przyjął francuskiego obywatelstwa, brat poszedł bić się o Polskę do

Hiszpanii.

Za karę ona,

Obca 117

rodzice i młodszy brat jadą teraz na roboty do Niemiec, w wagonie pełnym młodych

żołnierzy udających się na front.

Żartuje z swojej matki: "Chciałaś wracać do Polski, czarnego chleba spróbować, a

tu Hitler okazał się szybszy niż cięnim częstuje".

Właśnie zdała maturę, nie wyobrażała sobie życia poza Paryżem.

Cała ta wojna miała być czymś chwilowym, co szybko się skończy.

I znowu można będzie biegać na randki z chłopakami, stukać obcasami szpilek, spać w

wykrochmalonej pościeli, pić poranną kawę z rogalikiem, malować usta i całować się do

woli.

Kiedy wreszcie wysiedli z wagonów, kazano im założyć odznakę z literą "P".
Od tej pory stali się niewolnikami.

- Jedziemy ciężarówką do wojskowego majątku - mówi matka - a niemieckie dzieci

krzyczą: "Polaken, Polaken".

Macham donich ręką, przecież to tylko dzieci.

W baraku mieszkamy w dwie rodziny.

Tamci są z Kaliszai znają niemiecki.

Dostają pokój murowany.

Dla nas jest drewniana przybudówka.

W mroźne zimy sankami można jeździć po ścianach.

Napryczach zbitych z desek - sienniki, do przykrycia szarewojskowe koce,

które dostałam od niemieckich żołnierzy.

Patrzę naten nowy "dom" i ciągle myślę, że to nieprawda, że to jakiś film, zaraz

zobaczę planszę z napisem "koniec" i można będzie wrócić do siebie.

Czas jednak mijał i trzeba się było jakoś przystosować.

To nie było proste dla młodej dziewczyny, ale czułam się odpowiedzialna.

Nagle życie postawiło.

mnie przedwielką próbą.
Jednak kiedy się jest młodym, nawet to, co niewyobrażalnie trudne, wydaje

się łatwiejsze.

Na przykład śmierć.

Wokoło było jej tyle, że jakby straciła na znaczeniu.

Szłam u Niemek, żeby trochę dorobić.

Mnie wystarczała brukiew, ale brat miał siedemnaście lat i ciągle był głodny.

Cały tydzień pracowałam napolu, a potem w niedzielę siedziałam przy maszynie.

Dawały miżato trochę mąki albokaszy, czasami słoninę.

Na Boże Narodzenie raz przyniosłam szneki i paczuszkę budyniu.

Polaliśmy nim te szneki i było święto.

A kiedyś dostałam płatki owsiane, zmieliłam je i upiekliśmy ciasto.

Mrozy były wtedy okropne, a trzeba było młócić zboże.

Wszystko poprzerałane, maszyny się psuły, ekonom Gryzmacher szalał i bił laską, bo

Polacy niechęcią pracować.

A to była wina mrozu - nie ludzi.

- Niemcy byli źli?

- staram się wyciągnąć coś więcej, bo tak naprawdę nic nie wiem o tamtych pięciulatach

spędzonych w niemieckim majątku.

Tak samotrudno mi sobie wyobrazić równo dobre życie mojej matki w Francji, jak to złe w

czasie okupacji.

- Różni, dobrzy też byli.

Jeden stary Niemiec mówił: "Napoleon ruskiej zimy nie wytrzymał i Hitler też nie.

Pod Stalingradem będzie jego koniec".

On razem z nami pracował, chociaż miał już siedemdziesiąt pięć lat.

Ciągle brakowało ludzi, bo ziemi było aż czterysta hektarów.

Po Polakach i Francuzach przyjechali Chorwaci i Ukraińcy.

Chodziłam w pole w atłasowej bluzce, bo innej nie miałam.

Mówili na mnie "Zirkus", wyglądałam jak dziewczynka.

Do kosza z kartoflami mieściło się sie Obca 119

demnaście kilogramów.

Trzeba było nosić po dwa, a ja sama ważyłam ledwie czterdzieści kilo.

Ze skórzanej torebki zrobiłam wierzchy do drewniaków, spodnie uszyłam z worka na

kartofle, ale codziennie myłam włosy i płukałam w wywarze ze słomy, żeby były ładne.

A w pole szłam umalowana.

Tosię nie wszystkim podobało, szczególnie Polkom ze

WSI.

Niedaleko, w Nowogardzie, byli francuscy niewolnicy, którzy pracowali przy
rozwożeniu kartofli.
Niektórzy zdecydowali się na ucieczkę, ale potrzebowali ubrań.
Na swoich mieli napisane czerwoną farbą "Kriegsgefangene".
Organizowaliśmy z bratem inna odzież i podrzucaliśmy, żeby się mogli przebrać.
Długo się udawało, aż w końcu mojego młodszego brata złapali.
Wydał go jeden Francuz w Kolonii - powiedział, skąd miał ubranie, w którym uciekał.
I brata zesłali do obozu pod włoską granicę, potem trafiło do armii Andersa.
Rodzice zostali już tylko ze mną.
Synów zabrała im wojna.
Kiedy przyszedł ten list, od kolegi mojego starszego brata z Hiszpanii,

wiedziała, że muszę skłamać, bo matka się załamie.
Włodzimierz był jej ukochanym dzieckiem.
Płakałam, ale tak, żeby nie widziała.
Dokońca życianie poznała prawdy.
Przez tyle lat ją oszukiwałam.
Brat z kolegą poszli po wodę, bo chciało im się pić.
I wtedy wartownik strzelił w ich stronę, bo myślał, że to wróg się skrada.
Włodek, mój starszy brat, zginął od swoich.
Czy może być bardziej beznadziejna śmierć w czasie wojny?

120

- Kiedyś próbowałam się otruć, tam, w Niemczech- mówi któregoś dnia matka. Kiedy sięgam po kartkę, rumieni się, zawstydzona jak dziecko przyłapano na wyjadaniu cukru

z cukiernicy.

- Po prostu nie miałam już siły pracować, a nadzorca, taki jeden drań

z kujawskiego, krzyczał: "Róbta, Polaczki, róbta!

"I donosił Niemcom.

Ręce miałam całe w piekących bąblach, skórę dokrwi zdartą.

Ledwo mogłam donieść kosze z kartoflami dowozu.

Nie wiedziałam, jak widłami machać przy rozrzucaniu gnoju.

Tamte wiejskie dziewczyny miały siłę, były dobrze zbudowane, krzepkie, a ja

chuchro.

Mój jeden ruch gracą to ich pięć.

Wyśmiewały się ze mnie, że jestem słaba jak komar.

Ja już wtedy dostawałam do Niemiec paczki z Francji, więc miałam dobre ubrania

i buty, a one wykrzykiwały: "Bogata smarkata głowę górą nosi, a biedna dziewczyna Pana

Boga prosi".

To zrobiłam taką miksturę z proszku do prania i atramentu, ale tylko mi żołądek

wypłukali.

Potrzymali tydzień w szpitalu i jeszcze okna kazali umyć.

Drugi raz otarłam się o śmierć, jak się front zbliżał.

W czasie ucieczki byłam chora na zapalenie płuc.

Nie miałam już siły iść.

I wtedy taki Ukrainiec - Szurko - wziął mnie na ręce i niósł pięćdziesiąt kilometrów.

- Nigdy nie chciałaś wrócić?

Nie wierzę!

Przecież wtedy jeszcze tak nie pilnowano granic, trwała wędrówka ludów.

Można było się zabrać jakimś wojskowym transportem.

I niemów mi, że to było niemożliwe.

Inni jakoś potrafili - wybuchałam.

Za chwilę wstąpiłam

dziesięć swojej agresji.

Przeznaczenie, los, a nie wolny wybór.

Tak powinnam myśleć.

A ja chcę ją karać za coś, za co być może sama karze się przez resztę życia.

- Chciałam, ale świat się przewrócił- mówi moja matka i wycieraprawie niewidoczną

w kąć oka łzę.

Rzadko płacze, a i tonad innymi.

Nad sobą nigdy.

Poswoje matce, góralce, jest twarda.

Ma jakąś siłę, która sprawia, że nigdy nie narzeka.

Jest pogodzona ze światem.

A jej wiek niema tu nic do rzeczy.

- Uciekaliśmy przed frontem, dla mnie nie byłomiejsc na wozie, naktórym

jechalirodzice.

I się zgubiliśmy.

Ja pojechałam w inną stronę.

Zdażyłam krzyknąć tylko, żeby mnie szukali w Bydgoszczy.

Tam jeden z tych,co jechali na moim wozie, miał ciotkę.

I powiedział, że mogę się u niej zatrzymać.

Ta ciotka dała mi dach nad głową, ale jeść nie było co.

Zgłosiłam siędo wojskowego szpitala,bo potrzebowali pielęgniarek.

Biały fartuch uszyłam przemoc - z prześcieradła.

I rano poszłam do pracy.

Rannych nie nadażaliśmy opatrywać.

Tylu młodych mężczyzn zmarło na moich rękach.

Jeszcze dzisiaj czasami mi się śnią.

To był strasznyczas.

Milczymy.

Nie chcę ponaglać matki.

Ciągle niewiem, czy powinnam wracać do tego, co było?

W imięwłasnej ciekawości zmuszam jądo wkładaniapalcóww bolesne rany.

Iona to robi.

Dla mnie, a może i dla siebie.

A jeśli uznała, że wreszcie nadeszła właściwapora, by o tym mówić?

Ija powinnam tęchwilę wykorzystać?

- W niewoli sympatyzowałam z takim jednym Felkiem.

I to on mnie odnalazł w tejBydgoszczy.

Rodzi.

ce też tamdotarli.

Pojechaliśmy do Józefowa, bo Felek chciał się żenić.

Następnego dnia mieliśmy dać nazapowiedzi, wtedy usłyszałam, jak jego matka powiedziała:

"Przecież ona nie ma nic, tylko ten czerwony krzyż na ręce.

Po co ci taka dziadówka?

"

Poszliśmy do księdza, ale ja poprosiłam, żeby zamiast zapowiedzi odprawił mszę za

zmarłych.

Zabrałam rodziców i pojechaliśmy na ziemie zachodnie.

Wierzyłam, że stamtąd będzie łatwiej dotrzeć do Francji.

I tam dostałam pracę i poznałam twojego ojca, który był referentem osadnictwa.

Ja poszłam do statystyki, bo wtedy jeszcze nie mówiłam dobrze po polsku, a liczyć

umiałam.

- To przez niego nie wróciłaś - zakochałaś się!

- Matka macha ręką.

- Inne powody też były.

Rodzice nie chcieli wracać, ojciec zachorował.

I wtedy wybuchła w Szczecinie afera szpiegowska z Robino.

Był w to zamieszany francuski konsul, który nas odwiedzał.

Przesłuchiwali mnie w urzędzie bezpieczeństwa.

Nie chcę o tym mówić.

- Rodzice czekali też na brata - dodaje matka na swoje usprawiedliwienie.

Jakby się obawiała, że dotychczasowe argumenty nie wystarczą, by mnie przekonać.

- Odezwał się po wojnie, chciał przyjechać.

I ja wtedy napisałam: "Nie rób tego".

Wiedziałam, że powrótnicza więzienie.

Nie chciałam, by tam trafił, pragnęłam go uchronić.

Rodzice jednak czekali.

Potem jeszcze raz napisał, w latach sześćdziesiątych.

Powinnaś już to pamiętać.

- Pamiętam - uspokajam matkę, która przynosi kopertę pełną listów pisanych do

Czerwonego Krzyża, ambasady konsulatów.

Obca 123

Wróciłam kiedyś ze szkoły i zastałam babkę klęczącą przed świętym obrazem.

"Módl się - rozkazała.

- Janek się odnalazł".

Powtarzałam za moją babką słowa dziękczynnej modlitwy.

I zamiast Jezusa na obrazie widziałam wujka, w pięknym garniturze i modnym

ortalionowym

płaszczu, z workiem prezentów.

Potem się okazało, że był to pierwszy ostatni list.
Następne wracały z adnotacją "Adresat nieznany".

- A ten sklep z kapeluszami?

- postanowiłam zmienić temat.

- Po co komu były po wojnie kapelusze?

Tylko jakaś pańcia z Francji mogła mieć taki głupi pomysł!

- Wiem, że sprawia mi przykrość, ale nie potrafię się powstrzymać.

- Nie masz racji - gasi mnie.

- Ludzie chcieli wreszcie żyć normalnie.

Kobiety - nosić buty na obcasach kapelusze.

Jak przed wojną.

Zrobiłam egzamin mistrzowski i otworzyłam sklep.

Filcowe kapeluszki uszyty miałam z kasztanów, potem naciągałam na drewniane

formy i suszyłam w piecu.

Najdroższe były pilśniaki z króliczej sierści.

Największy ruch panował przed Wielkanocą, wtedy kilka nocy nie spałam, żeby

przygotować towar.

Moda się zmieniała, trzeba było za nią nadążyć.

Jeździłam do dużych miast po towar i żeby zobaczyć, co się nosi.

A w końcu mnie załatwili domiarem, bo znaleźli kilka woalek bez rachunku.

Wtedy były takie czasy, że prywatną inicjatywę niszczone pod byle pretekstem.

Matka uważała temat kapeluszy sklepu za wyczerpany.

A ja przypominam sobie, że drewniane formy na kapelusze mieszkaliśmy z nimi przez wiele lat.

A kiedy wywędrowały nastrych, strzelaliśmy do nich z broni.

tem z procy.

Potem chyba jakaś zima stulecia rozprawiła się z nimi ostatecznie i poszły do pieca.

- Resztę mojego życia jnż znasz - matka broni sięprzed dalszą opowieścią.

Było - zwyczajne, i smutne.

Zresztą, jakie mogłobyć życie samotnej matki z dwójką dzieciw małym miasteczku?

- A mężczyźni?

- pytam.

Jednak matka nie daje sięprowokować.

- A może ta Cyganka miała rację?

-mówi.

- Po prostunie mogłam byćszczęśliwa, bo takmipisane.

Były wakacje.

Zdałam wtedy maturę.

Wybrałyśmy się z matkądo krewnych w Rosji.

Nagle na dworcupodeszłdo nas Cyganka i mówi: "Ty nieszczęśliwapani".

A matka wyglądała wtedy pięknie.

Miała czerwony kostium,kasztanowe włosy, butyna obcasieimodną torebkę.

Była niby mak na szarym polu, rajski ptak wśródwróbli.

"U nas taka posłowica: nie radziś krasywa, tolkaszczęśliwa.

Ty krasywa, no szczęścia utybie niet" - powiedziała Cyganka i zniknęła.

Wszystko trwało zaledwie jedną chwilę.

- Dzisiajpewnie by trzebapowiedzieć, że byłamnieprzystosowana - mówi
któregoś

dnia matka, wracając do przerwane go wątku, chociaż nie każe się jejusprawiedliwiać.
Ale widać samama potrzebę wytłumaczenia swojej sytuacji.

- Myślę, że byłamnieprzystosowana do miejsca,doludzi, do tego nowego życia.

We Francjiżułam się u siebie.

A kiedy tamto życie się skończyło, już nigdy nie potrafiłam wrosnąćw nowe miejsce.

Byłam obca.

Obca 125

W małym miasteczku mój francuski okazał się tylko śmiesznymzbytkiem,tak
jak

dypłom modystki.

Uroda też mi raczej przeszkadzała.

Kobiety byłyzazdrosne o swoich mężów, nikt mnie nigdzie nie zapraszał.

Rozwódka- to brzmiało w tamtychczasachjak kobieta lekkich obyczajów.

Nie miałam rodziny, bota zestrony matki i ojca zginęła na Syberii, nie miałam braci.

No,ale miałam was.

I wtedyświadamiamsobie, że przez tyle lat taknaprawdę ciągle jesteśmy
razem.

Oddzielne życie moje i matki zdaje się jakby epizodem, to wspólne zaplata się jak

warkocz.

I wiem, że dopóki jestze mną, czuję się bezpieczna.

W nocy śni mi się matka w czarnej sukni wrozmiarze 38.

Na głowiema kapelusze zwoalka, na nimpilśniak, słomkowy szeroki rondem, potem

biały, zielony, brązowy.

Wszystkie tworzą dziwną piramidę.

Nagle unoszą się do góry, zabierając ją ze sobą.

Szybują wolno po niebie, w końcu znikają za chmurami.

Nie mogę zatrzymać mojej matki i nie mogę polecieć za nią, bo nie mam kapelusza.

Stoję na ziemi, przebieram nogami i krzyczę: "Nie zgadzam się, wracaj!

Ja nie umiem bez ciebie żyć.

Nie jestem na to gotowa!

"

Ale kapelusze, gnane wiatrem, już się schowały gdzieś za chmurami.

Nie dochodzi do nich mój głos, który ginie za najbliższym domem.

Nade mną jest tylko czyste niebo.

Królowa Śniegu

Szczyt był skąpany w słońcu, niżej ciemne chmury spadały na las, wyraźnie

zaznaczając linię podziału.

Przez oknowidać było płatki śniegu o wielkich, ażnierzeczywistych rozmiarach.

Przyklejały się do szyby, ograniczając widoczność.

I nagle zobaczyłam ją.

Szła wodpiętych narciarskich butach, które zdawały się nic nie ważyć.

Przypominała nieziemską zjawę, mającą najpierw natle oświetlonego słońcem szczytu,

potem nikać w szarej gęstwinie chmur.

Wielkie płatki śniegu przykrywały jej czapkę, jasnewłosi brwi.

Przetarłam ręką szybę, by sprawdzić, czy to, co widzę, jest tylko grą światła i

wyobraźni.

Ale drzwi sali restauracyjnej górskiego pensjonatu zaskrzypiały i czyjaś ręka starała się

je otworzyć.

Narty upadły, robiąc hałas, a kobieta schyliła się, by je podnieść.

Niestety, mokre rękawiczki ślizgały się po powierzchni nart.

Walczyła, by ustawić je w pionie, a jednocześnie zablokować skrzydło drzwi.

Nikt nie pospieszył z pomocą, chociaż bar był pełen ludzi, rozgrzanych winem i

głośną muzyką.

Przy długich stołach instruktorzy w kolorowych czapkach Królowa Śniegu 127

kach wychylali kolejki po dniu ciężkiej pracy na stoku.

Matki karmiły dzieci frytkami i kielbasą.

Anonimowy tłum zebranych w tym miejscu ludzi tworzył dziwną mieszankę urody,

zachowań i języków.

Nad wszystkimi królował barman w długim fartuchu, który przyjmował zamówienia, wydawał

komendy kelnerom w podobnie długich fartuchach i strzelał palcami w takt muzyki, płynącej

z głośników.

Kobieta strzepnęła śnieżny puch, delikatnie, jakby starała się nie uszkodzić

płatków.

Jej oczy miały kolor bladej szarości - stał drobinkami złota.

Otoczone czarnymi rzęsami, były jakby odrębną częścią pięknej twarzy.

Podobnie jak usta.

Wszystkie niezwykle urody, razem oddzielnie.

Nagle ją dostrzegli.

Instruktorzy narciarscy trzymający kieliszki w dłoniach zapomnieli, co z nimi robić.

Podobnie było przy innych stolikach.

Wszyscy patrzyli na kobietę, która zdejmowała kurtkę i poprawiała narty, umieszczone na

specjalnym stojaku.

Jasne włosy, spływające na plecy, stanowiły dopełnienie pięknej twarzy nienaganej

sylwetki.

Śledziłam jej ruchy, delikatne, kocie, sposób, w jaki odsuwała krzesło, siadała

i splatała ręce.

Wszyscy poza nią byli banalnie zwyczajni.

Mieli czerwone odmrozu twarzy.

Jedli i pili, nie zwracając szczególnej uwagi na to, co robią.

Byli głodni, a zaspokajaniu głodu nie towarzyszyła żadna celebryta.

Podeszła do baru, zamówiła herbatę i kieliszek wódki.

Barman zapisał coś w notesie i pochwili żeglował z tacą.

Skłonił się, chcąc zasłużyć na choćby przelotne zainteresowanie.

Ale ona nie zwracała uwagi na jego starania.

Posunęła ręką monetę, niezwłocz.

nie podniosła kieliszek do ust i jednym ruchem opróżniła go.
Zrobiła to tak szybko, że mężczyzna z tacą wziął kieliszek do ręki, by upewnić się, czy

rzeczywiście przed chwilą był pełen.

Poprosiła o drugi i opróżniła go wtaki sam sposób.

Barman kiwnął głową z szacunkiem, ale wyraz zdumienia na jego twarzy nie zniknął.

Przeciwnie, co chwilę, stojąc już za ladą baru, zerkał na stół, przy którym siedziała.

I ja nie potrafiłam nawet na chwilę oderwać wzroku od tego miejsca.

Spoglądałam najpierw z zagazety, potem zapomniałam, że ją czytałam.

W końcu złożyłam w kostkę, oparłam ręce na stole.

Czułam się jak naseansie u hipnotyzera, który wprowadza mnie w jakiś niepojęty stan i

każe patrzeć tylko w jedno określone miejsce.

Kobieta i ta herbatę powoli, delektując się każdą kroplą.

Alkohol sprawił, że jej alabastrowatwarz Królowej Śniegu nabrała żywszej barwy.

Inni, przyzwyczajeni już do jej widoku, wrócili do przerwanych rozmów i

wznoszenia toastów.

Tylko ja nie potrafiłam nawet przez sekundę skupić myśli ani wzroku na czymś innym.

Nagle w drzwiach pojawiła się sylwetka mężczyzny.

Podszedł do stolika, podał kobiecie wiszącą nawieszaku kurtkę i zabrał narty.

Wyszli razem, nie zamieniając słowa.

Ciekawe, czy była jego żoną, czy kochanką, z którą przyjechał do

modnego austriackiego ośrodka sportów zimowych?

Może się poróżnili i dlatego nie rozmawiali?

Tylko dlaczego tak pośpiesznie wyszła, jakby się go bała?

Królowa Śniegu 129

Czekałam na nią następnego dnia, pewna, że znowu przyjdzie, chociaż była to

pewność pozbawiona jakichkolwiek racjonalnych przesłanek.

Może poza tajemną, że do baru w pensjonacie zjeżdżali wszyscy narciarze ze stoku.

Obsługa była tu sprawna, miejsc dużo i wygodne stojaki do nart.

Czytałam gazetę, zerkając co chwilę na góry przez małe okienko i śledząc ruch

wahadłowych drzwi.

Wreszcie zobaczyłam majaczącą na śniegu znajomą sylwetkę, która zaczęła przybierać realny

kształt.

Zatopiona w puch kurtki i śniegu, znowu powtarzała ten niezwykły spektakl,

intrygując swoim zachowaniem i zmuszając, by wszyscy podziwiali jej nienaganną

sylwetkę, piękną twarz i delikatność, z jaką się porusza.

Może sprowokowałam ją wzrokiem, a że to właśnie miejsce, obok mnie, było jedynym

wolnym, postanowiła usiąść?

Może zaintrygowała ją czytana przeze mnie polska gazeta i dlatego nie szukała innego?

Zapytała, czy może ją przejrzeć.

Zamówiła herbatę i dwa kieliszki wódki.

- Napij się ze mną - zaproponowała.

- Dzisiaj tak różny dzień, to chyba nic wielkiego, jeden kieliszek.

Jej głos, wysoki, o przyjemnej barwie, był jakby dopełnieniem tej niezwyklej

całości.

Podziękowałam, powiedziałam, że nie piję wódki, i zamówiłam szklankę korzennego

piwa.

Nie czuła się zawiedziona.

Pochwilioba kieliszki były puste.

Znowu mieszała herbatę z tańczącymi drobinkami cukru.

Zaczęłyśmy rozmawiać, najpierw o pogodzie.

Potem poprosiła, bym opowiedziała, co słychać w kraju.

- Dawno nie byłam - to już dziesięć lat, od kiedy mieszkam w Holandii - mówiła.
- Podobno wiele się teraz zmieniło.

Próbowałam zgadnąć, co ją interesuje, czy jakaś konkretna rzecz?
A może tylko grzeczność nakazała zadać to pytanie?
Zacząłam pleść o supermarketach, o tym, że niebawem będziemy w Europie.
Aleona, zatopiona w swoich myślach, chyba mnie nie słuchała.

W końcu spytała: "Dlaczego mi się tak przyglądasz?"
Poznałaś mnie, kogoś ci przypominam?
- Ton jej głosu stał się dziwnie natarczywy.
- Nie, nikogo mi nie przypominasz.
Nigdy nikogo podobnego nie znałam - zaczęłam się tłumaczyć jak gdzieś złapano na kłamstwie.

- Po prostu jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, zupełnie inną od tych wszystkich tutaj, w barze.

Uspokoila się, wypila łyk herbaty.
Nagle drzwi się otworzyły i ten mężczyzna stanął na wprost naszego stołu.

- Już wychodzę - powiedziała.
Teraz piła wrzątki szybkimi łykami.
Mężczyzna poszedł szukać kurtki narciarskiej.

- Będziesz tu jutro?
- spytała.
- Tak, chyba tak - wydusiłam z siebie, zdziwionym pytaniem.
- To dobrze.

Coś ci opowiem - szepnęła.
Nie wiedziałam, czy powinnam jakoś podziękować za obdarzenie mnie zaufaniem.
Nie wiedziałam, dlaczego chce powierzyć mi swoje sprawy, ale byłam ciekawa.
Wszystkiego.

Nawet gdyby nie chodziło o żadną rozmowę, chciałam choćby na nią patrzeć.
Królowa Śniegu 131

Przyszłam wcześniej niż zwykle, by się nie spóźnić.
Zajęłam miejsce przy długim stole i czekałam.
Może szuka pomocy?
Dlatego chce rozmawiać, starałam się rozwikłać zagadkę dzisiejszego spotkania.
I ten mężczyzna.
Czemu tak się boi, kiedy na niego patrzy.
O co chodzi?

Przypominały mi się scenariusze filmów kryminalnych, różne nieprawdopodobne

historie, opisywane w gazetach.
Zapomniałam nawet o śledzeniu przez okno, czy już idzie, tak bardzo byłam

pochłonięta myśleniem o tym, co niebawem miało nastąpić.

W końcu wahał się i drzwi się otworzyły.
Podeszłam najpierw do baru, złożyć zamówienie, a potem do stołu, przy którym na nią czekałam.

Podala mi rękę, delikatnie, ledwo muskając moją otwartą dłoń.

Kelner postawił dwa kieliszki, skłonił się i oświadczył, że herbata będzie za chwilę.

Zaczęła bez żadnego wstępu.

- Jak mieszkałam w Polsce, byłam kurwą.

Przepraszam, jeśli cię obraża używanie takich wyrazów.

No, powiedz mi luksusową prostytutką - zawiesił głowę, jakby starając się sprawdzić, czy to,

co mówi, robi namnie wrażenie.

- Oczywiście, nie od razu.

Najpierw chodziłam do szkoły handlowej i miałam chłopaka.

Tylko że nie chciałam sprzedawać w sklepie, nosić tanich, byle jakich ubrań i mieszkać w

dwóch pokojach z matką, ojcem i braćmi.

I wtedy poznałam Arka, a on mi powiedział, że nie muszę być jedną z tych biednie

ubranych dziewczyn, którym ktoś zaraz zrobi brzuch, a potem nie będzie innego wyjścia,

tylko zostać w tym samym albo gorszym jeszcze miejscu.

Jesteś ładna, zgrabna i masz to coś, co sprawia, że każdy facet na ciebie poleci

- mówił.

- Ty będziesz żyła i ja przy tobie też.

Muszę zarabiać, mam już dwoje dzieci.

Nie chcę, żeby chodziły głodne.

To jest trudny biznes, ale można sporo wyciągnąć.

I musisz mieć ochronę".

Zaczęliśmy razem pracować.

On dbał, by klient był wypłacalny, ja, żeby był zadowolony.

Nieźle mi się wiodło.

Wyjechałam z miasteczka, gdzie nikt za mną nietęsknił.

Tam wszyscy mieli swoje kłopoty.

W moim domu też.

Ojciec pił, bracia pili, matka harowała od świtu do nocy, babka umierała.

Każdy robił swoje.

Jeździliśmy po Polsce.

Latem - morze, zimą - góry, stolica, duże miasta.

I mogłoby tak trwać, ale Arek się we mnie zakochał, a ja nim.

Zaszłam wciążę.

Banalny finał.

Jednak on wiedział, że to droga donikąd.

Załatwił lekarza.

Takiego, co to od lat trudnił się aborcją.

Mówili oni - sto piczek i moskwiczek, wiesz, taki samochód za socjalizmu, co

to go nie jeden chciał mieć.

Usunąć ciążę, ale chyba się za mocno przyłożył do tego skrobania, bo stałam się bezpłodna, co

w moim życiu znacznie ułatwiało sytuację.

Pracowaliśmy dalej, ale Arek czuł się winny, ciągle myślał, jak to wszystko

urządzić, żeby mieć jakieś zabezpieczenie.

"Zaczynasz się starzeć - tłumaczył - i trzeba będzie obniżyć stawkę.

Zresztą ja wychodzę z tego biznesu, wolę robić kasę na samochodach".

Już zaczęli wtedy ciągnąć zagranicę ten złomi potem pychać po korzystnej cenie.

Ciągle jednak czuł się za mnie odpowiedzialny.

Powiedział kiedyś: "Poznałem jednego leszcza.

Jest bogaty, chce się żenić.

Mieszka w Holandii.

To Polak,

Królowa Śniegu 133

który się tam dorobił.

Zbajerujesz go w kwadrans.

Tylko wiesz - święta lala musisz być, nóżki razem.

Zresztą - potrafisz.

Umówiłem cię z nim".

I poszliśmy na kolację, potem ten facet zaczął telefonować.

Chyba się zakochał.

Tak przynajmniej sądziłam.

Był hojny, dawał mi prezenty, a wreszcie się oświadczył.

Krótki scenariusz, żadnych problemów, żadnych wątpliwości.

Aż się dziwiłam, że to wszystko tak sprawnie poszło.

Niebawem Arek zrobił mi pa, pa!

I właściwie tyle.

No, może poza tym, że widziałam, jak się cieszy.

Jakby się pozbył ciężaru.

Jak ojciec, który oddał córkęw dobre ręce i może być spokojny o jej przyszłość.

Wiesz, czasami myślę, że mój mążo wszystkim wiedział, że to był układ - zostałam

sprzedana.

Arek zawsze miał łąbdo interesów, więc może mnie zwyczajnie pchnął, jak towar!

Ciekawe, ile skasował?

Jak myślisz, ile można dostać za luksusową kurwę?

Nagle rozgrzana alkoholem twarz odsłoniła coś, cobyto jakby drugą warstwą.

Przypominało maskę o grubych rysach, rozmytych od wódki oczach.

Nad ustami pojawiła się długa, niewidoczna do tej pory zmarszczka.

Tusz rozmazał się w kącikach oczu.

- Bo wiesz - ciągnęła dalej - ten mój mąż właściwie nigdy mnie nie pytał o

przeszłość.

O to, z kimby-łam, czy coś takiego.

Może nie był ciekaw, myślałamz początku, ale jeśli się kogoś kocha, to przecież chceszię

to wszystko wiedzieć.

A on nic.

Nie ma pytania, nie ma odpowiedzi.

Sam podczas podróży służbowych odwiedzał burdele.

Wiem o tym, kilka razy znalazłam wizytówki w marynarce.

Mówił, że w hotelach pełno tych śmie.

ci, bo kładaje razem gazetami, ale ja mu nie uwierzyłam.

Śmieci wyrzuca się do kosza, a nie nosi wkieszeni marynarki.

Z czasem podejrzliwość stała się moją obsesją.

Wąchałam jego ubrania, drobiazgowo przeglądałam bieliznę, żeby znaleźć jakiś dowód,

upewnić się.

Kiedy przywoził coś z biżuterii, zawsze mówiłam:

"Niepotrzebnie wydajesz pieniądze na teocyszczające twoje sumienie dowody

zdrady", albo pytałam, czy tym razem wzięła mniej, że starczyło jeszcze na prezent dla

żony.

To oczywiście była zwykła złośliwość, bo przecież jest bogaty i stać go nawet na bardzo

luksusowe diamenty.

Niekomentował, nie chciał zaczynać rozmowy.

Raz tylko powiedział: "Widocznie wiesz - o czym mówisz, skoro tak często do tego wracasz".

Rozumiesz!

"Wiesz, o czym mówisz!

" - Tak do mnie powiedział.

Więc chyba wszystko jest jasne!

Kiwnęła ręką na barmana, pokazując, że ma przynieść jeszcze dwa kieliszki wódki.

- Tylko dla czego chciał zażonę kurwę, a nie jakąś skromną dziewczynę, choćby

studentkę?

- ciągnęła temat.

- Podobno są tacy faceci, którzy lubią używany towar.

To ich rajcuje, takie zboczenie czy coś.

Czytałam o tym.

Boją się skompromitować przy normalnej kobiecie, a przy takiej jak ja czują się

bezpieczni.

Może to mu chodziło?

Była pobudzona alkoholem.

Od jej twarzy biło teraz ciepło, zaczęła wycierać ją chusteczką w kwiatki.

Na tkaninie zostały ślady tuszu, pudru i szminki.

Bezmaski makijażu była jak bezbronny, skrzywdzony dziecko.

Mogła mieć trzydzieści albo czterdzieści lat.

Królowa Śniegu 135

Ile dokładnie, trudno było zgadnąć, a nawet założyć granicę błędów w obliczeniach.

- Na początku wszystko się jakoś układało - mówiła dalej.

- Tylko wiesz, nie mogłamsię przyzwycząić do życia w tym porządnym kraju, gdzie nikt

nieprzychodzi pożyczyć soli, nie wpadniena plotki.

Zimna uprzejmość, uśmiech - póki nie zamkniesz drzwi.

On miał swoją pracę, krąg znajomych.

Ja byłam tylko ozdobą naprzyjęciach i obiadach, jak spinka przykrawacie.

Widziałam jegosamczą dumę i wzrok kolegów, którzy z pewnością chcieli

mnieprzelecieć,tylko nie mieli odwagi tego zaproponować.

Ich żony były na ogólnieforemne, miały dużestopy, duże ręce pokryte rudymi

piegami.

Tylko jedna była naprawdę ładnai miła.

No, ale była Finką, nie Holenderką.

To ona nauczyła mnie pić.

Robiła to po mistrzowsku.

Jej mąż szedł do toalety, ona do barku.

I błyskawicznie opróżniałakieliszek.

Staralam się jejdorównać.

I muszę przyznać, z czasem bylam corazlepsza.

Przedtemnie piłam.

Arek zawsze mówił: "Kurwazklasą nie upija się jak zwykła uliczna prostytutka.

Póki jesteś trzeźwa, masz władzenad mężczyzną i jego pieniędzmi.

Zacziesz pić, przestaniesz się pilnować i.

już tylkorynsztok.

Nieidziesz z facetem z miłości czy choćby z erotycznej potrzeby.

Idziesz dla pieniędzy!

To jestrynek.

Cena zależy od towaru".

Gestykulowała, ale teraz już inaczej.

Nerwowe ruchy rąk nie przypominały tych wcześniejszych, wyważonych, delikatnych.

Wysoki głos nabrał innej barwy.

Był ostry, nieprzyjemny.

Jakby to, o czym mówiła, w jakiś sposób raniło, sprawiało ból.

Barman odwrócił głowę w naszą stronę, obudzonynowym tonem.
Chciał się upewnić, że słowa nie są skierowane do niego i nie chodzi o kolejne

zamówienie.

- Na początku wszystko było dobrze - mówiła corazszybciej.
- Igdyby nieten strach, że kiedyś się towszystko wyda, mogłabym cieszyć się życiem
w

luksusie, o jakim nie śmiałam pomarzyć.

Potem chciałam, żeby czas szybciej płynął.
Za dwadzieścia lat nikogo już nie będzie obchodziła moja przeszłość, jej też.
Może zacznie chorować albo jakiś inny, ważniejszy powód sprawi, że nawet jeżeli
siędowie,

to wszystko dotyczące mnie stanie się bez znaczenia.

Kiedysię kochaliśmy, starałam się nie pamiętać, jak to było z innymi facetami.
Nie robić żadnych ztychsztućek, z powodu których uciekają od swoich nudnych żon.
I on to akceptował.

Chyba go nawet podniecało, że zachowuję się jak mniszka.
A może sam chciał uwierzyć, że tego, o czym wie, nigdy nie było, i padł ofiarą pomyłki.

Tylko w obecności innych mężczyzn zachowywałam się jak kiedyś.
Lubiłam, kiedy patrzyli na moje biodra i nogi, i myśleli, że mogliby mnie mieć.

Jednak ciągle zdawało mi się, że któryś z nich, nieważne w jakim kraju,
podejdzie

do mnie i powie: Byliśmy razem, no wiesz, wtedy w Gdańsku, w Warszawie,
Zakopanem.

I nie będę potrafiła się obronić, powiedzieć, że się pomylił, nie znam go - i niech

idzie do diabła!

Dlatego zaczęłam pić.
To mnie odprężyło - tłumaczyła.
- Teraz też.

Inaczej nie mogłabym ci tego wszystkiego powiedzieć.

Bałabym się, że jeśli nawet onni Królowa Śniegu 137

czego nie wie, to właśnie ktoś obcy za chwilę mu o tym powie.

Dzisiaj też prowokuję los.

Słuchaj, a gdybym ci zapłaciła - ja mam pieniądze.

Powiedziałabyś mu to wszystko - że byłam kurwą i że Arek mnie sprzedał, bo mnie
kochał.

Powiedziałabyś to mojemu mężowi?

I ile by to kosztowało?

Zaproponuj cenę.

Nie będę się targować.

Chociaż kurwa powinna się targować.

Rozmazany tusz kleił jej rzęsy.

Już w niczym nie przypominała kobiety, która weszła do pensjonatu.

Była kimś innym, zaplątanym we własny węzeł nieszczęścia, kompletnie bezradnym i samotnym.

Nagledrzwisie otworzyły.

Mężczyzna podszedł do naszego stołu.

Trzymał w ręku puchową kurtkę.

- Wychodzimy - oświadczył zdecydowanym tonem.

Posłusznie wypełniła jego wolę, chwiejnym krokiem doszła do drzwi.

Zanim do niej dołączył, powiedział:

- Przepraszam.

Moja żona zawsze komuś Polakowi opowiada zmyśloną historię swojego życia.

Taka obsesja.

To się zdarza u osób dotkniętych chorobą alkoholową.

Potem jeszcze raz się uklonił.

Jego oczy były zimne, głos pozbawiony emocji, twarz prawie nieruchoma.

Mówiła prawdę.

Wiedziało jej wszystko.

I kupił ją.

Zwyczajnie ją kupił.

Jak rzecz, jak luksusowy gadżet.

A teraz się bawi jej strachem.

W szybie barumajaczyła postać kobiety.

Zmagała się z silnym wiatrem.

Bezradna drobinka śniegu, miotana zamiecią.

Z trudem pokonywała zaspę.

Biały, wełniany szal zsukał się jej z ramion.
Usiłowała go przytrzymać, ale wiatr miotał nim na wszystkie strony.
Szła coraz wolniej.
W końcu zupełnie zniknęła.

Tylko ja patrzyłam przez okno.
Inni goście pensjonatu, zajęci swoimi sprawami, nie zauważyli jej nieobecności.
Zresztą, kogo miałyby obchodzić Królowa Śniegu, która wypadła z sań?

Szminka w kolorze cyklamenu
Już jesień - pomyślała, patrząc w lustro, w którym zatrzymał się promień słońca.
Oświetlił jej twarz, potem skręcił gdzieś pod umywalkę i schował się pod mały dywanik.
Przydepnęła go nogą szerokim kapciem, którego kiedyś użyłaby nawet do zabicia muchy.
Nie ze względu na miłość do much, tylko obrzydzenie, jakim napawały ją takie właśnie,

deformujące stopy kapcie.
Kiedyś dla czego, u licha, je kupiła?
- zaczęła się zastanawiać, ale nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy.
Zbliżyła twarz do szklanej tafli, nagle od razu pojawił się maleńki obłoczek

pary.
Nie starła go ręką, bo w niczym jej nie przeszkadzał.
I tak widziała zbytnie dokładnie swoją twarz - z siateczką zmarszczek wokół oczu i przy

nosie.
Zmatała, czarną naroślą, którą dermatolog już dawno zakwalifikował do usunięcia, z
niewielkim śladem po ospie, niegdyś tak rozczulającym jej pierwszego kochanka.
Spojrzała na swoją szyję pokrytą brązowymi piegami, pamiętką po ostatnim

nierozważnym lecie, kiedy jeszcze umiała się śmiać, pragnąć i pożądać.
Wszystko razem - twarz iszyja - wyglądało żałośnie.
Jednak nie potrafiła oderwać oczu od błyszczącej tafli lustra.
Odwrócić się, wyjść.

A gdyby tak uderzyć w nie pięścią, pogruchotać namale kawałki?
Może wtedy doznałaby ulgi, może wtedy.
Ale to przecież "jego" lustro, w drogich ramach, z porządnego szkła.
Jej własna była tylko starzejącą się twarz.

Próbowała wywołać na niej uśmiech, jednak usta ułożyły się w jakiś grymas.
Chwyła szminkę stojącą na "jego" umywalce i zaczęła malować półotwartą
krzywym

uśmiechu wargi.

Ostro zaznaczone kontury nadały twarzy nowy wyraz.

W lustrze ukazała się postać obcej kobiety, twardej, zdecydowanej, która mówiła:
Musisz

to zrobić!

Uderz, no, uderz!

Odsunęła nabok flakoniki z perfumami, kremy w zielonych pudełkach.

Ale ręka zwinięta w pięść zatoczyła tylko jakiś krąg.

Zamiast uderzyć, musnęła jedynie lustrzane szkło.

Sięgnęła po wacik kosmetyczny, stała w pośpiechu czerwona szminką.

Teraz twarz była znowu zwyczajnie stara, pozbawiona siły energii.

Oprócz brzydoty zobaczyła w niej tylko tak dobrane namiętności - przed
mężczyzną, z

którym kiedyś wymieniła ślubne obrączki, przed tym, co stanie się jutro albo pojutrze,

przed życiem pozbawionym sensu i radości.

To właśnie strach zatruwał jej ciało i duszę.

Patrząc w lustro, próbowała ustalić, kiedy się zjawiał.

To było w tym dniu, kiedy zdała sobie sprawę, że jest krzesłem.

Zwyczajnym meblem, ani szczególnie cennym, ani oryginalnym, łatwym do
przestawiania i

banalnie prostym - oparcie, siedzisko i cztery nogi.

Jest, a nie istnieje.

Od kiedy stała się krzesłem, nie czuła tak podniecającego kiedyś drżenia ciała,

owej tajemniczej mowy

kochanków.

Była jak wysiedziany materiał, bez żadnej niespodzianki.

Wiedziała, że krzesło może się zbuntować.

Boczy ktoś widział zbuntowane krzesło?

Jej łzy też były zwyczajne - z powodu bólu głowy, fizycznej niemocy, a oczy
straciły dawny

blask, jak tkanina na meblu.

Jeszcze nie chciała się z tym pogodzić, pisała pełne rozpacz listy,

które natychmiast związała w małe kulki i dla pewności darła na drobne kawałeczki.

Już niewkładała do kieszeni jego marynarki karteczek z wykaligrafowanym "Kocham cię".

Zrezygnowała z jedwabnej bielizny ze sztywną koronką, upychając ją na dnie szuflady. Krzesło w falbankach?

To jakaś bzdura, rozpaczliwy kicz.

Chwyła znowu cyklamenową szminkę.

Niedawno, szukając w jego kieszeni dowodu rejestracyjnego, odkryła, że taką samą

kupiła swojej kochance.

Kiedy spytała, kogo jeszcze chce obdarować takim samym prezentem, wzruszył tylko ramionami.

Nie będzie przecież prowadził dialogu z krzesłem, pomyślała.

I nie ponowiła pytania.

Niedawno czytała powieść amerykańskiej pisarki.

Nazwiskanie pamiętała.

W pamięci utkwił jej tylko fragment o mężczyźnie, który kupił kochance nocną koszulę z

koronki, a żonie żelazko.

A potem pomylił prezenty.

I ta żona cieszyła się jak idiotka.

A on siedział wściekły, bo nie mógł sobie darować pomyłki.

Kiedy ostatni raz byli w restauracji?

Nie potrafiła sobie przypomnieć.

Zwykle wracał późno, jadł coś ciepłego, krzywił się przy tym, jakby danie go parzyło albo

napawało obrzydzeniem, i czytał gazetę.

Ona siedziała naprzeciwko i czekała, żeby się odezwał, zapy.

142

tał o cokolwiek.

Z przodu ściana, z tyłu ściana, w środku gazeta.

- A może by tak podejść, pomachać przed oczami ręką i spytać jak kiedyś:
"Boisz

się wilka?

"Bardzo lubili tę dziecięcą zabawę.

On tak śmiesznie machał rękami, na dowód, że się boi, albo krzyczał, że wcale się nie

boi i zaraz pokona groźne zwierzę.

Rzucił się na nią, próbował obezwładnić, a potem długo całował.

- Zrobię to, muszę się przekonać, czy to jeszcze działa.

Wiele razy próbował wstać, podejść, pomachać przed oczami schowanymi za gazetą, ale w

końcu uznała, że to żałosne.

Zaraz usłyszy: "Wariatko, co robisz?"

Czy we własnym domu nie można już spokojnie poczytać?

" - Akcent jak zwykle położył na wyrazie "własnym", potem obrazi się, pójdzie do

gabinetu, do sypialni, gdziekolwiek, byle dalej.

Kiedy ostatni przysiadła musieć uważnie, w ostrym świetle

halogenowej żarówki, zauważyła, że zaczął mocno siwieć, od czubka głowy, nie na skroniach,

jak inni.

Ale on pod każdym względem był kimś wyjątkowym, a ona była tylko zwykłą, głupią starą

babą, której nie zostawia się z litości, ale nie pieprzy nawet zobowiązku.

Zresztą, poco?

Niedawno słyszała, jak opowiadał kumplowi przez telefon: "Wiesz, mam świeżą dupę. Dobra jest i dyspozycyjna".

Narysował nowy kontur ust.

Znowu spojrzął w lustro.

Szminka rozmasowała się, pogrubiając nienaturalnie wydatne wargi.

- Muszę zetrzeć - mówiła do pustych ścian, nerwowo szukała wacika, potem

kremu.

Ale usta ciągle były rozmazane.

Szybciej!

Zaraz wróci i powie: "Nawet umalować się nie potrafisz!"

" A potem zacznie się jej przyglądać małymi oczami krótkowidza.

Nienawidziła, kiedy tak na nią patrzył, jakby była brudna.

Instynktownie wycierała policzek, chcąc usunąć niewidoczną sadzę.

"Starzejesz się - mówił wtedy.

- To chyba ta nowomarszczka daje taki cień.

Wiedział, jaknie znosiła mentorskiego tonu, więc upodobaniem wygłaszał swoją

tyradęna temat kobiet, które wchodzą w smugę cienia, ich nieusprawiedliwionych

seksualnych apetytów.

"To jest bulimiawieku starczego" - śmiał się, a brzydki grymaswykrzywiającego

twarz.

Okno łazienki było otwarte.

Zachłusnęła się słodkim powietrzem, rozpoznała zapachbiałego kapryfolium.

Kiedyś kochali się na posłaniu z tych drobnychkwiatów, o nieznanym jej przedtem

zapachu.

To dlatego posadziła w ogrodzie ten krzew, kiedyś dorodny, teraz skarłały.

Przecież już nie kwitnie, więc skądtenzapach?

Zamknęłaoknoi pochyliła się nad umywalką.

Czuła, że ją mdli.

Wypiłałyzimnej wody.

- To nerwy, tylko nerwy!

Gdzieś tutaj powinny byćkrople.

W końcu znalazła małą buteleczkę.

Piła z namaszczeniem, jakby wierząc, że lek od razu zadziała.

Znowuspojrzała w lustro.

Przez chwilę wydawałojej się, że widzitwarz własnej matki, z ustami ułożonymi w wężyki.

I ten grymas wiecznego niezadowolenia.

Kiedy była dziewczynką i rysowała jej portret, najwięcej wysiłku poświęcała

ustom.

Pogrubiła je czerwona kredką, aż zaczęły przypominać grube wargi murzyńskich kobiet.

Dopiero wtedy grymas zniknął.

Dlaczego z nim jestem?

Dlaczego gdzieś się być krzesłem?

To pytanie zadawała sobie po wielokroć.

Naszalce wagi kładła swój wiek i strach przed podjęciem decyzji.

Czuła, że brak jej woli, by cokolwiek zmieniać.

Powoli przyzwyczajała się, że jest krzesłem, które niebawem odpadnie noga albo

przetrze się obicie.

Jeszcze bardziej intrygowało ją, dlaczego on nie chce odejść?

I uznała, że widocznie boi się jeszcze bardziej.

Przy niej może siwieć, cierpieć na migreny, na które wymyślił skutecznego kompres z naparu

goździków.

Możesz stawiać swoje krzesło w kącie.

Wszystko już może inaczyni nie musi.

Twarz kobiety w lustrze ciągle na nią patrzyła.

Już pora, zrób to, teraz albo nigdy!

Nie stchórzysz, nie wykręcisz się.

Pogrubiła usta kolorem cyklamenu tak, że wyglądały jak grube, murzyńskie wargi

matki z rysunku.

Jej głos słyszała tuż przy uchu, blisko.

Był suchy, pozbawiony barwy.

Słowa trzaskały jak wystrzał z karabinu:

"Masz kanciaste ruchy, za duże stopy, garbisz się, kiedy mówisz, zakrywasz ręką

usta.

I jękać się, zawsze, gdy chcesz skłamać, to się jękać.

Jesteś zła, jesteś głupia!

"

Potem głos matki stał się nieco grubszy: "Nie dokręcasz tubki z pastą, znowu

woda leci całym strumieniem, masz za grube uda, schudnij, załóż golf, zacznij myśleć".

"Nie lubisz mojej matki, nie lubię twojej matki, nie umiesz czytać instrukcji, nie

umiesz jeździć samochodem.

Nie umiesz, nie umiesz, nie, nie, nie!

"

Ręka najpierw tylko odbiła się od szkła, by potem uderzyć z nieznaną siłą.

siłą.

Pękające odłamki spadały na umywalkę.

Nagle ktoś wykręcił jej boleśnie ramię, dłoń zawisła w powietrzu.

Usłyszała dobrze znany beznamiętny głos:

- Przecież nie mogę pozwolić, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

Mordowanie słowami wysyczanym do ucha, to była jego specjalność.

Kulturalni ludzie przecież nie podnoszą głosu, potrafią zapanować nad emocjami.

Obezwładniający ból najpierw odebrał jej siły, po chwili zauważyła, że trzyma w ręku

odłamek szkła.

Zadała nim cios, bezsensownie, na oślep, ale chyba celnie.

Mężczyzna bladł i krzyknął: - Co robisz?

Wariatko, opamiętaj się!

Ale nie słyszała jego głosu, tylko głos tamtej obcej kobiety: "Uderz, Uderz!

Czerwony ślad na koszuli zaczął się powiększać.

Nie zwracała na to uwagi, zadając kolejne ciosy.

Kiedy zauważyła, że leży skulony w kącie i nie ma siły podnieść się z kamiennej

posadzki, powoli i starannie startła z ust czerwoną szminkę.

Jej twarz znowu była zwyczajnie stara.

Wyszła z łazienki.

Ostrożnie zamknęła drzwi domu.

Łuna zachodzącego słońca jeszcze rozświetlała niebo.

Wyzwolona

Weszła do nowoczesnego autobusu, z rozsuwanymi drzwiami i niską podłogą. Nie była pewna swojej decyzji, ale kiedy kierowca ruszył, poczuła się jak zamknięty w

pudełku przedmiot.

Stała się zawartością paczki, którą rzucono, by dowieźć we wskazane przez

adresatami miejsce.

Kupiła bilet i patrzyła w okno, na znikające drzewa, ginące w oddali ostatnie

bloki jej miasteczka, które robiły się coraz mniejsze.

Tak małe, że większe od nich stawały się przydrożne krzaki, a nawet kępy traw. Jakby domy zapadły się w grząską od niedawnego deszczu ziemię, którą pokrył zielony

dywan.

Nie umiała określić stanu, w jakim się znalazła.

Najważniejsze byłoby stwierdzenie, że to stan ulgi, ale bała się tego słowa, bo

niewiedziała, czy ma prawo z niego skorzystać.

Ulga, to coś dobrego, nagroda, a ona przecież nie zasłużyła na nagrodę, bo postanowiła

wsiąść do tego autobusu, żeby uciec, oddalić się, zniknąć - jak domy, których już nie ma.

Jeszcze widziała stół, na którym postawiła talerz do obiadu, na kuchni obrane

ziemniaki i zupę z zasmażką z mąki i zeszkłonej cebuli.

Porzucane kapWywolona 147

cię w przedpokoju, które musiała ustawić w szeregu, bo nikt inny prócz niej się tym

nie zajmował.

Wychodząc, poprawiła serwetę na stole.

Róg zwisał krzywo i całość wyglądała niechlujnie.

Podwazonem z tulipanami, żeby nie sfrunęła - położyła kartkę, na której napisał w kilku

słowach, że musi się oddalić, bo znalazła się w takiej życiowej sytuacji.

Nie wyjaśniła bliżej, o co chodzi, bo nie umiała wyrazić słowami tego, co czuła,

owej naglej potrzeby oddalenia.

Napisała tylko - niech jej nie szukają.

Wróci sama za kilka dni i wtedy wytłumaczy, gdzie była.

Starszej córce zleciła gotowanie obiadów, zostawiła zeszyt, w którym wszystko

było napisane - jak zrobić mielone, gołąbki, a nawet upiec ciasto.

Mąż miał dopilnować racjonalnego wydawania pieniędzy.

Podzieliła je w kopertach na każdy dzień tygodnia.

Autobus jechałby zbyt szybko, by mogła uporządkować swoje myśli.
Jakoś poukładać w głowie to, co zrobiła, oddalając się od miejsca, w którym

spędziła dwadzieścia pięć lat.

Nie wiedziała, czy uda się jej uporać z tym problemem w ciągu dwóch godzin jazdy,

ale pomyślała, że przecież to tylko decyzja, końcowy etap.

Przez chwilę poczuła się dumna, że starczyło jej odwagi, by zrobić rzecz, którą

od dawna planowała.

Wiedziała, że ten moment w końcu nastąpi, ale sądziła, że poprzedzi go jakieś szczególne

wydarzenie - rozmowa albo nawet kłótnia z człowiekiem, który stanął kiedyś na jej drodze.

Wydał jej się tym właściwym mężczyzną, bo przyjęła oświadczenia, a potem

jego cięło, nieporadne, pozbawione żaru.

Niezwykle zwyczajne, jak życie w ma.

łym miasteczku, wśród jego rodziny, znajomych, a potem własnych dzieci.
Codziennosc zamieniała na różne czynności, w których była biegła -
gotowanie,

pranie, sprzątnięcie.

I wykonywała to wszystkimi sposobami nienagannie.

Krojąc chleb, umiała wywabić plamę na obrusie, znała pamięć cen

podstawowych produktów, żadna kasjerka w sklepie nie oszukała jej nawet napięć
groszy.

Nie narzekała na swój los jak inne kobiety.

Nie rozmawiała o uczuciach.

Nawet czytanie książek wydało jej się ekstrawagancją zabierającą niepotrzebnie czas.

Kiedyś, w młodości, bardzo lubiła czytać, ale wtedy wszystko było inne.

Tak jak ułane lato od czerwca do września, jakie teraz rzadko się zdarza.

Lubiła siedzieć na słońcu, bo przyjemnie grzało, zwłaszcza jej brzuch, uśpiony

po porodach.

Doznawała szczególnego podniecenia.

Czuła się niewolona przez to miejsce w jej ciele.

I czuła, że jest ono dla niej ważne, tylko jakby pozbawione dostępu, zamknięte.

Nie potrafił go otworzyć ten mężczyzna, który się spodobał jej dziecku.

Przez moment pomyślała, że powinna znaleźć sobie kochanka, ale już sama
myśl ją

zawstydziała.

Kiedy brzuch robił się gorący i niespokojny, przykładła kostki lodu,

doznając fizycznej rozkoszy.

Najakiś czas pomagało.

Cieszyła się, że znalazła sposób, który przynosi jej ulgę, a jednocześnie niczego

nie burzy w poukładanym życiu.

Nie wiedziała, czy to, co robi, jest grzechem, z którego powinna się spowiadać.

Nawszelki wypadek niewyjawiała swojej tajemnicy w pierwszopiątkowej

spoWyzwolona 149

wiedzi.

Nie była pewna, z jaką spotka się reakcją.

Bała się, że ksiądz może jej tego zabronić.

Teraz też czuła owo uczucie gorąca.

Rozejrzała się po autobusie, obawiając się, że inni mogą coś zauważyć, ale
pasażerowie

drzemali, czytali gazety, jedli albo patrzyli przez okno.

Nikt nie zwracał na nią uwagi.

W końcu autobus zatrzymał się na wielkim dworcu, pełnym ludzi, smrodu
spalin i

dusznego powietrza.

Wysiadła, nie bardzo wiedząc, dokąd iść.

Uznała, że niema to większego znaczenia, bo jeszcze nie zna celu, doktórego zmierza.

Na razie ważne było samo podjęcie decyzji o oddaleniu, a ten etap miała już za sobą.

Chodziła małymi uliczkami starego miasta i zaglądała do sklepików.

W szybie wystawowej oglądała swoją twarz, która była jakby pożyczona.

Uznała, że z obcą twarzą czuje się znacznie lepiej, tylko trzeba coś zrobić, żeby jeszcze

bardziej różniła się od poprzedniej.

Kiedy zobaczyła szyld zakładu fryzjerskiego, bez wahania otworzyła drzwi.

Poczuła zapach lakieru do włosów, który drażnił ją, ale raczej w przyjemny sposób.

Nie używała kosmetyków i ten zapach był nowym odkryciem.

Rozplotła warkocz, spięty ciasno spinką.

Kiedy uczennica myła jej głowę, a potem masowała skórę wprawnymi palcami, czuła, jak

uwalnia ją od ciężaru.

Poprosiła o obcięcie włosów i ufarbowanie.

Wybrała kolor - burgund, bo spodobała jej się nazwa.

Był podobny do barwy zagranicznego wina albo materiału królewskiej szaty.

Nie wiedziała, czy będzie do niej pasował, ale nie miało to znaczenia.

Chodziło przecież o całkiem nową twarz.

W zakładzie fryzjerskim spędziła trzy godziny, śledząc w wielkich lustrach

dokonywane się w niej zmiany.

Efekt końcowy był taki, jakiego pragnęła.

Zupełnie nie przypominała teraz kobiety, która przysłała splecionymi ciasno

włosami, pozbawionymi blasku i koloru.

Zapłaciła sporą kwotę za tę przemianę, ale nie była zawiedziona.

Miała pieniądze.

Przez kilka lat z każdego zakupu starała się przynieść jakąś zaoszczędzoną kwotę.

Kiedy już się trochę uzbierało, monety zamieniała na banknoty.

Chowała je w grzbiet starej książki, między płótno klejające kartki i twardą okładkę.

Ta kryjówka była miejscem pewniejszym niż konto bankowe.

Zresztą nie wiedziała, jak się nim posłużyć.

Tylko przez krótki moment pomyślała, że może robić coś złego, pozwalając sobie na taką

rozrzutność.

Ale w końcu uznała, że ma prawo.

Nikogo przecież nie okradła, nie zagarnęła cudzych pieniędzy, tylko zaoszczędziła -

więc się jej należą.

Przejrzała się znowu w wystawowe szyby.

Była prawie zadowolona, zrozumiała jednak, że musi się pozbyć zielonej garsonki z

czarnymi guzikami, w którą była ubrana.

Nie pasowała do tej kobiety, którą teraz była.

Nie wiedziała, czego szuka, bo do tej pory skromne ubrania najczęściej szyla u

znajomej krawcowej.

W końcu zobaczyła na wystawie letnią sukienkę z drobnymi kwiatami, z

delikatnego materiału, z

krótkim żakiem.

Weszła do przymierzalni i po kilku próbach znalazła właściwego rozmiaru,

wreszcie dopasowała odpowiedni dla siebie.

Przeszkadzały tylko buty, za ciężkie. Wyzwolona 151

kie do delikatnego stroju.

Znalazła właściwe, zupełnie niedaleko.

Poczuła się całkowicie uwolniona od dawnego wizerunku, gdy pakunek ze zdjętym

ubraniami umieściła w pojemniku na śmieci, który stał w jakiejś bramie.

Nigdy dotąd nie wyrzucała rzeczy, gdy mogły się jeszcze przydać, ale zrozumiała, że tym

razem nie może postąpić inaczej.

Zmęczona, usiadła wreszcie przy stoliku pod parasolem.
Zamówiła kawę i wodę mineralną.
Patrzyła na kolorowych ludzi, do których stała się teraz podobna.
Czas płynął.
Niewiedziała, co robić dalej, dokąd pójść, a lenie myślała o tym.
Nagle spojrzała na kolorową reklamę, umieszczoną na słupie ogłoszeniowym,

prawiona wprost jej oczu.

Jakaś para wykonywała taneczne pasy.

Niżej podano informację o letnim kursie tańca dla osób w każdym wieku.

Zapisała adres na kartce.

Pomyślała, że kiedyś bardzo lubiła tańczyć.

Taniec to była energia, siła, radość.

Takim go zapamiętała, bo później już rzadko tańczyła.

Mężczyzna, z którym związała swoje życie, nie umiał tańczyć.

Nogi plątały mu się niezdarne, nie czuł rytmu ani melodii, nie wiedział, jak

się zachować.

Nie próbował go więc namawiać.

Sama wolała zrezygnować.

Zresztą niechodzili na żadne zabawy, nawet w karnawale.

Ostatni raz tańczyła na weselu kuzynki, ale była bardzo zawstydzona i nie odczuwała
żadnej

przyjemności.

Teraz jednak była kimś innym, więc wrzuciła kartkę z adresem do torebki.

Poszła szukać noclegu.

Znalazła zupełnie niedrogi hotel, nie wiadomo dlaczego.

152

prawie pusty.

Dowiedziała się, że dawny hotel robotniczy - skromne pokoje bez łazienek, tylko

łóżki i stoliki.

Ucieszyła się.

Pieniądzy powinno jej wystarczyć co najmniej na tydzień, jeżeli oczywiście będzie jeść

barze mlecznym i nie wydawać bez potrzeby.

Niewiedziała tylko, ile trzeba zapłacić za ten kurs tańca, który stał się powodem tego, że

niewsiadła do autobusu i nie wróciła do domu.

Nie mogła spać.

Poraz pierwszy od dnia ślubu była sama poza domem, w zupełnym samotnym miejscu.

Myślała o mężczyźnie, który został daleko, od dzieciach, już prawie dorosłych, którym

ciągle jeszcze była potrzebna.

Jednak myśli te wypierały inne - o jutrzejszym dniu i niespodziance, jaką ten

dzień dla niej przyniesie.

Czuła radość z podjętej decyzji.

Nie mogła doczekać się chwili, kiedy się przekonają, czy to, co takie odległe, nadal

sprawia jej przyjemność, a jej uśpione ciało zasnęło, znowu się obudzi, ożyje.

Rano wzięła prysznic, umyła włosy.

Straciły zapach lakieru i mimo zmiany koloru zaczęły przypominać dawne, własne.

Założyła sukienkę, nowe buty i poszła szukać sali, w której miały się odbywać zajęcia.

W końcu ją znalazła, nie bez trudu wprawdzie, ale to nie było ważne.

Czuła się jak na pierwszej randce.

Jej oczy błyszczały, serce biło mocno, jakby znowu miało osiemnaście lat.

Na dziedzińcu spotkała grupę ludzi, przeważnie młodych, ale było też kilka

starszych kobiet i mężczyzn, a nawet para emerytów, którzy trzymali się z sobą, żeby nikomu

nie miało wątpliwości, że są razem.

Wyzwolona 153

Nie czuła wstydu ani zażenowania, zresztą inni też zachowywali się tak, jakby

robili najzwyczajniejszą rzecz na świecie.

Prosto przyszli się uczyć tańca.

Dwójka instruktorów zaczęła wyjaśniać zasady, potem kazała wszystkim ustawić się

w szeregu i powtarzać kroki, najpierw bez melodii.

Szybko złapała właściwy rytm.

Nie myliła prawej i lewej nogi, lekko przenosiła ciężar z jednego biodra na drugie, prostowała łopatki i kręgosłup.

Niecierpliwie czekała na muzykę.

Kiedy wreszcie popłynęła z głośników, poczuła dreszcz, przepływający przez całe ciało.

Zaczęła poruszać się w rytm melodii, zginać kolana, układać ręce w taki sposób,

by stanowiły jedność, a nie zwisały nieporadnie.

Wykonywała wszystkie zadania bezbłędnie, tak jak kroiłaskibki chleba czy przesywała

materiał właściwym ściągciem.

Instruktor podeszła do niej i powiedziała: Brawo, znakomicie!

Zarumieniła się, bo nie oczekiwała pochwały, jednak czuła się szczęśliwa.

Potem młody instruktor poprosił ją, by wspólnie pokazał pozostałym krok tanga.

Tak minęły trzy godziny, z krótkimi przerwami na odpoczynek i wypicie soku w

bufecie.

Nie mogła uwierzyć, że to już koniec.

Jej ciało, pobudzone do życia, drżało.

Czuła jak krew płynie w żyłach, jak twarz oblewa rumieniec.

Było jej żal, że zajęcia są tylko przedpołudniem, ale i tak czuła się niebywale

szczęśliwa.

Zrezygnowała ze spaceru po mieście, które wydało jej się miejscem zbyt dusznym.

Potrzebowała powietrza.

Wybrała park, niedaleko sali, w której ćwiczyli.

Usiadła na ławce.

Patrzyła na kwiaty, na drzewa, wahała zapach świeżej zieleni.

Po raz pierwszy nic nie musiała robić.

I po raz pierwszy była zmęczona z powodu zwykłych, codziennych zajęć, ale czegoś, co

sprawiło jej radość i przyjemność.

Nachwilę zapomniała o zwykłym życiu, jakie wiodła w swoim miasteczku.

Teraz była panią siebie i swojego czasu.

To uczucie wydało jej się aż nieprzyzwyczajone, więc bezwiednie poprawiła sukienkę, by

przykryć kolana.

Spojrzała na nogi w nowych butach, które nie zawiodły w tańcu.

Jutro spróbuje jeszcze raz, pomyślała, a potem wróci do domu.

Wieczorem zasnęła bez trudu.

Nic się jej nie śniło.

Wczesny ranek obudził w niej nową radość.

Kolejny dzień spędził w sali.

Grupa zawierała ze sobą pierwsze znajomości.

Żartowali.

Uwagi instruktorów przyjmowali jako zachętę, żeby dalej próbować.

Bezbłędnie łapała rytm.

Ciało wypełnione muzyką wibrowało.

Czuła, że stopy wprawione w ruch nie mogą się zatrzymać.

Teraz wszyscy patrzyli na kobietę, która płynęła w takt melodii, jakby cała była tańcem.

Nie wiedziała, jak długo tańczyła i czy cała czuła towarzyszka muzyka.

Nie było to ważne, bo muzyka była w niej.

Wydawało się, że nie potrafi przestać, dlatego tak wiruje, a materiał sukienki powiewa,

niesiony ruchem powietrza.

Zapomniała, że nie jest sama w sali z parkietem z bukowej klepki.

Czuła się wyzwolona, lekka.

Była unoszona przez kurz pyłkiem, liściem targanym wiatrem, motylem, ptakiem.

Na pewno nie kobietą z nieznaczną nadwagą, niemłoda już, żyjącą w lęku przed

Wyzwolona 155

samą sobą, przed innymi ludźmi, przed tym, jak ją ocenią albo osądzą.

Ten stan nie miał nazwy.

Może była dmuchawcem, który zniknie za chwilę, może mydła i bańką?

Ciało, po raz pierwszy tak jej posłuszne, pozwoliło odczuć to wszystko, o czym wiedziała,

że jest, istnieje, tylko dotąd nie potrafiła znaleźć sposobu, by się o tym przekonać.

Teraz poznała odpowiedź na długo nierozwiązaną zagadkę.

Odzyskała wolność!

Nie bała się tego, co będzie jutro i pojutrze, jak dalej potoczy się jej życie.

Kiedy skończyła tańczyć, powiedziała: "Przepraszam".

I wyszła.

Spieszyła się do hotelu na autobus, by zawiózł ją do miasteczka, w którym żyła, wśród

sąsiadów, rodziny i znajomych.

Teraz mogła już wracać.

Autobus jechał znowu za szybko.

Nie wiedziała, co powie temu mężczyźnie, który został sam, bez niej, przez dwa dni.

Jakiś wytłumaczy, kiedy spyta, gdzie po co wyjeżdżała?

Ale czuła dziwny spokój.

Kiedy pojawiły się pierwsze domy zbliżającego się miasteczka, wyjęła z torebki

lustro, by sprawdzić, czy nowa twarz jeszcze istnieje.

Uspokoila się, zobaczyła swoje włosy w kolorze burgunda, modnie obcięte, i sukienkę

inną niż wszystkie do tej pory, z cienkiego, eleganckiego materiału.

Otworzyła drzwi mieszkania.

Mąż siedział przy stole i kończył jeść kolację.

Postawiła torebkę, pozbiierała kapcie, rozrzucone jak zwykle w przedpokoju.

Potem podeszła do stojącego napółce radia.

Znalazła jakąś muzykę.

Mężczyzna patrzył na nią, jakby pierwszy raz się spotkali.

Podeszła i powiedziała:

- Zatańczymy?

Posłuszniewstał i odsunął krzesło.
Chciał coś powiedzieć, ale ta nowa kobieta z włosami w kolorze burgunda dziwnie go
onieśmielała.

Przywarli do siebie.
Czuł ciepłej brzucha, które łączyło się z jego ciepłem, czuł podniecenie.
Rytm jej ciała kołysał jego ciało.
Po raz pierwszy był zjednoczeni jak kobieta i mężczyzna.
Jej włosy lśniły nowym blaskiem.
Już nie chciał nic wiedzieć, o nic pytać.
Chciał tylko dotykać jej, być blisko.
Tańczyli, chociaż muzyka dawno umilkła.
Szmata
Wełna, pierwsza klasa, kołnierzy pięknie przestębnowany, równiutko, jak spod

liniału.
Podszewka jedwabna.
Tylko te guziki trochę nie na czasie.
Ale co tam guziki, detal!
Zawsze można zmienić.
A kieszenie jak wypracowane, wzmocnione podwójnym szwem.
W środku bilet.
Żółty iwąski, chyba do metra.
Ktoś na nim numer telefonu zapisał.
Może do kochanki?
I ta chusteczka z мережką, biała w małe różyczki.
Widać przez zapomnienie wsunął.
Pewnie jej oczy od płaczu wycierał, jak się rozstawali.
Oj - głupiaze mnie baba.
Co ja plotę?
- No, nicto, marynareczka pójdzie na plecze.
Poczekaj na lepszego klienta, który krawiectwo wysokiej klasy docenić potrafi.
Na razie nie wyceniam, nie chwisi.
Tylko żeby mole się niewdały.
Lepiej włożę naftalinową kulkę do kieszeni.
Śmierdzi, ale od mola uchroni.
A tutaj, o proszę - cukierczek, różowa sukienka z tafty.
Cały gorset haftowany perełkami.
Kto dzisiaj ma taką talię, że dwiema rękami można objąć?
Młode nie założą, bo na niczym się nie znają.
Stara się niewciśnie, bo za gruba.
No toniech wisi, jeść niewoła.
Ciekawe, ile też takie cudo kosztowała i kto je nosił?
Może jakaś aktorka albo żona milionera.
Trochę.

rozdarta na dole.
 Pewnie obcasem nadepnęła.
 Nie ceruję.
 Z cerą nikt nie kupi, a dziury może nie zauważy.
 Najwyżej utnie od dołu i skróci.
 Przykryję firanką, żebyś, kotku, pazurem nie zadarł.
 Jeszcze dwa worki przejrzei na dzisiaj spokój.
 Nigdy nie biorę towaru z sortu.
 Tam wszystko ułożone, jak w sklepie na ladzie.
 A taki worek- zagadka.
 Możesz trafić dwa lewe buty albo futro z norek.
 Przez czarną folię niewidać.
 Raz patrzę, a w środku osiem peruk.
 Każda inna.
 Nowe, jeszczez metką.
 Jak zaczęłam przymierzać, cały wieczór mi na tym zleciał.
 A kot mało nie zwariował, wcalemnie niepoznał.
 Mówięmu: "Kiciu, to ja, twoja Kazia", a on siedzi w kącie i miauczy.
 W takiej rudej wyglądałam jak Helka, co do niejdziałek chodził.
 "Ach, jakie ciało miała.
 Białe- jak mlecznabułka" - wspominał.
 I włosy rude, niby marchew.
 Babka przez Helkę chciała się z mostu rzucić.
 To siędziałek wystraszył, bo siedmioro dzieci w domu było i na lumpy przestał
 chodzić.
 Tylko z żalu taki się zrobił, że nic już w nim zycianie zostało.
 Nawet babka mówiła: "Jak się lumpował, to wiedziałam, że chłop.
 A teraz nakanapie leży i żadnego pożytku z niego nie ma".
 No, możei dobrze, bo dzieci też więcej nie zrobił.
 A babka chyba w końcu tej Helcedarowała.
 Nawet "dzień dobry" jej powiedziała, jak wracałyśmy z sumy w niedzielę.
 Sama mogę zaświadczyć.
 Małygzub byłam, ale pamiętam.
 Czarną perukę pani Basia wzięła - dla synowej, co ją raczysko toczy i od
 chemii,

za przeproszeniem, łysa jest jak dupa księdza proboszcza.

Nawet opuściłam

Szmata 159

o połowę, bo w nieszczęściu ludziom trzeba pomóc.

Co ja się tym raku nasłuchałam!

Cały dzień chorabyłam.

Małą plamkę miała kobieta na nodze.

Zadrała, goić się nie chciało.

Poszła do doktora, bo myślała, że to czyrak jakiś.

A on mówi: "Nie czyrak, tylko czerniak".

Nogę chciała lucinać.

Nie zgodziła się, bo jakdo Boga z jedną nogą się, skoro człowiekowi dwie dał?

Aleraczysko swojerobiło.

Teraz jej babskie narządywycięlii jeszcze te włosy wypadły, więc już niewiadomo, czy ona

baba, czy chłop?

I wyjdzie to, żei tak będzie dlaPana Boga zagadką, jak przed Piotrową bramą stanie.

A dwie peruki blondtakim siksom sprzedałam -na sylwestra.

No, trzeba przyznać, że na perukach zarobek był marny.

Miękkiego serca jestem, nie umiemzdzierać z ludzi.

Co mnie starej potrzeba?

Byle tedwadzieścia metrów opłacić i na rybędla kota.

Że mina stare lata przyjdzie szmatami handlować, to przyznam - nie spodziewałam

się, ale renta mała, a kraść nie pójdę.

Już jakdzieckiem byłam, lubiłam, kiedy łachaj napodwórze zajeżdżał.

Zawsze miałam przygotowanypakunek podartych pończoch, majtek i koszul.

Brałtowar na wagę i liczył, ile się należy.

Raz dostałamblaszany kubek z żółtą kaczką.

Nikommu nie pozwalałam z niego pić.

Szkoda, że porzewiał - miałbyś kotku na owsiankę.

Dziadek zawsze mówił - ucz się, Kazia, żebyś szmatnie musiała skupować.

Gdyby mnie teraz zobaczył, tochyba by ze wstydu dogrobu z powrotem wskoczył.

Ale może zdążyłabym ten jego liches garniturek nasmoking zamienić.

Mam tu taki jeden.

W sam raz by.

160

pasował.

Materiał - pierwszoklasa.

A jaki krój!

Każdy detal wypracowany.

Zresztą dziadek ogólnie za kapitalizmem opowiadał się.

Sam wspominał, jak w Ameryce był taki jeden Żyd, co zbił majątek na beretach.

Najpierw sprzedał cztery, zato kupił następnych sześć, potem dziesięć, aż w końcu

kamienicę w Nowym Jorku postawił.

Jak człowiek ma handlową żyłkę, nie musi być Rockefeller, nawet na berecie zarobi.

"Towar świeży, grosz się należy"- mój dostawca Jeremiasz zawsze ładną rymowanką

mnie wita.

Nigdy nie mówi: "Kazia, płac", tylko tak delikatnie, wierszem, a nie jak jakiś grubianin.

Już go zresztą oduczylałam głupich żartów, bo przedtem, to nie powiem, pozwalał sobie:

"U

nieboszczyka sekcja, u Kazi selekcja".

A tego ostatniego słowa to już najwięcej nie lubię.

Jak nawycieczce zrady zakładowej za darmo byłam w Oświęcimiu, to nam tam pokazali, co ta

selekcja znaczy.

Najednej kupiebuty, na drugiej okulary i zabawki.

Tak samoz ludźmi zrobili.

Tenma żyć, tamten do gazu.

Trzy dni nie jadłam i nie spałam, tylko się za tych biedaków modliłam.

Nawet wolne od roboty sobie wzięłam - to znaczy chorobowe, bo rozbita byłam jak stary

garnek.

A co to, już ludzkich słów nie ma?

Taka choćby przebieżka.

Ładne i nikomu nie szkodzi.

Siadam sobie nad workiem, bryle zakładam.

Nożyczki mam na podorędziu, jakby trzeba guzik odciąć.

I jadę!

Na lewą stronę nówki, na prawą gorszy sort, z boku drobnica - paski, chustki, kołnierze.

Płaszczona stertę.

Czekają nas swoją kolej.

Wiadomo, że z wora, to ugniezione i trzeba prasować.

Nie lubię, ale wo Szmato 161

la boska.

Nieraz do północy przy żelazku stoję.

Żeby rano wstydu nie było, jak na wieszak trafi.

Guziki chowam doworeczka.

Będą dla Romusia, conie widzi.

Jak tylko do niego zachodzę, już od drzwi woła: "Kazia, guziki masz?"

"A ja wtedy: "No jak bymja tobie dzieciaku guzika miała żałować".

Potem wysypuję przednim namały stolik cały woreczek.

Zgaduje kolory, a ja mu tłumaczę od czego ten guzik był, czy od garsonki, czy, dajmy na

to, od rozporoka albo oddamskiej bluzki.

Najbardziej lubi guziki marynarskie, z kotwicą albo wojskowe, z orzełkiem.

Kiedyś przyniosłam mu taki, co głowką przypominał.

Ale się dzieciak ucieszył.

Chyba zkwadrans palcem po nim jeździł.

Taki głupi guzik, a ile zadowolenia może dać.

Ten gorset z koronką schowam dla Jadzi.

Lubi, żeby był ciasno zapięty i żeby cycki dobrze sterczały.

A tycho już jej Pan Bóg nie pożałował.

"Przepraszam, pani Kaziu, że ja tak te zabawki wystawiam, ale jak inaczej zmierzyć?"

Trzeba się do rosołu rozebrać".

I paraduje bez żadnego wstydu, a sutki sterczą, jakby szminką nakarmin umalowane.

Wpycha, co jej Bozia dała, wobcisłą bluzkę i chociaż ledwo może oddychać, aż sapie

z zadowolenia.

"A to się mój Rysiu ucieszy!"

On jest mężczyzną seksualnie wymagającym - tłumaczy.

- I chociaż na kocią łapę żyjemy, lepszy dla mnie jak ślubny.

Niewypije, chyba że w moim towarzystwie, i za innymi się ogląda.

Zresztą poco, skorowszystko, co w kinie pokazują, może i w domu mieć".

Kiedyś dołożyłam Jadzi do zakupu amerykańską prezerwatywę, co ją w męskich

spodniach znalazłam - to mało mnie nie ucieszało z radości.

Trudno, wiem,.

że z gumą tonie po bożemu, ale skoro Pan na niebiosach na ich kocią łapę oko

przymyka, to może i naten amerykański wynalazek się nie obrazi.

Samateż przyjemności od mężczyzny doświadczyłam.

Świętanie byłam i zcnotą do PanaBoga nie pójdę, chociaż przed ołtarzem nie

przysięgałam.

Nie złożyło się.

Zadałam się kiedyś takimHeńkiem - delegacyjnym.

Zapoznał mnie na poczcie, jak mu znaczek napolecony przyklejałam.

I tak - gadkasmatka, nibynic, apo pracywychodzę, aon na rogu czeka.

Taksię zaczęła ta nasza znajomość, a później łózkowe sprawy.

Prawierok przyjeżdżał, a ja wtedy jak ta Jadzia, tylko kosmatemyśli miałam.

No i żebytylko myśli.

Razmówi do mnieHeniek: "Kazia, łono ciogolę.

Będiesz jak grecka bogini".

I co?

Zamiast go od zboczeńców wyzwać, sama mu golarkę przyniosłam.

I taksię rozłożyłam, jakdo ginekologicznego badania.

Acopotembyło, to jużnie będę wspominać, bo zaraz sięczerwona robię.

Długo się z tegogrzechunie spowiadałam, bo mi wstyd było.

Ale kiedyś mówię: ryzyk-fizyk, muszę wyznać, bo do stołu pańskiego na Wielkanoc nie

przystąpię.

Dostałam reprimendę, jak siępatrzy idwie litanie.

Ale ciężaru się pozbyłam.

Obiecywał, że się żenić będzie, bo mu pasuję i łózkowo, i jako gospodyni

domowa.

Zawsze u mnie miałrosół i schabowy zkapustąalbo golonkę, nie za tłustą inie za chudą, za

to lekko przypieczoną.

I tak muprzy tym staraniudobrze było, że obiecywał nie wiadomoco.

Ażkiedyś w dowodzie sprawdziłam, gdzie zameldowany.

I myślęsobie - zrobię ci ja, Heniu, niespoSzmata 163

dziankę, zobaczę, jak żyjesz.

Trzy godziny w autobusie siedziałamjak na szpilkach z tej emocji.

Miałamze sobą garnek z gołąbkami, jakby na gości nie byłprzygotowany, bo w końcu wiem,

co to znaczy przyjśćdo kogoś z mordą na kwestę.

Pukam do chałupy, w drzwiach stajeHeniek, azaanim babajakaś i dzieci troje.

On patrzy na mnie, ja naniego.

Białutki sięzrobił jak pergaminowy papier.

No, niechjuż w takim razie moja krzywda będzie.

Powiedziałam: "Przepraszam, chyba się pomyliłam, to nie ten adres".

I tak się skończyło moje grzeszne życie.

Potem już żaden dostępu nie miał.

Ostrożna byłam.

Pożartować - proszę bardzo, nawet słodkiej wódki się napić, ale więcej to już nie.

Może dobrze, że z tym Heńkiem trochę kobiecego szczęścia zaznałam, to i innych

zrozumieć potrafię, nawet taką Jadzię.

I poradzić mogę.

Przychodziła tu taka jedna, zawsze szare garsonki wybierała albo granatowe.

A jednego razu mówi: "Pani Kaziu, może bym zmierzyła tę czerwoną, z lamówką?"

"No, coś się świeci, pomyślałam.

Delikatnie ją podeszłam i od razu się przyznała, że ma randkę z takim jednym, co go

przez biuro matrymonialne poznała.

A ja jej na to: "Najpierw dowód spójrz, rentgenem woku prześwietl, zanim pozwolisz, by

pod spódnicę sięgnął, bo potem - dupiekrótki bal, a głowie długi kłopot".

Chyba mnie posłuchała, bo znowu tylko teshare garsonki przymierza.

"Sklep mody różnej" - ładnie kotku, prawda?

Niektórzy to już tak dziwaczą, że normalny człowiek język sobie połamie, zanim wymówi -

jakieś sakhendy albo ciuchlandy.

Jeden to nazwał taki sklep "Bubel".

Jak chce bublami handlować, to niech na bazar idzie.

164

Ludzie chcą kupować towar.
U mnie klientela wymagająca, nawet samochodami przyjeżdżają.
Taka jedna- "pani" na nią mówię - to zawsze wchodzi z nosemzadartym pod samą lampę.
Trzepie wieszakami, ogląda, wydziwia.
A jak już coś wybierze, zawsze się targuje.
Nitkęzaciągniętą znajdzie, guzika brak albo inny drobiazg i od razu- żebym opuściła.
Nieraz mniejjęzykświerzbi, ale nicnie mówię, dla świętego spokoju odejmuję dwa złote.

Na zeszyt też sprzedaję.
Czasy dzisiaj takie, że ludzie bezgotówkowi.
Ale honorowi i zawsze oddają.
No, może kilku zrobiłomnie w kuku.
Od tej pory mają swoją czarną listę i nic nie dostaną na odroczonej płatność.
Życiowym trzeba być człowiekiem i drugiegow biedzie poratować.
Tak mnie mamusia, świętej już pamięci, uczyła.
"Kazia -on w ciebie kamieniem, tyw niego chlebem.
I nigdy inaczej.
To sobie za dewizę weź i z drogi nie zbaczaj".
Wpisałamnawet do pamiętnika tę mamusiną przestrożę.
Narysowałam kamień i chleb.
Wyszły prawie podobne, bo zdolnośćdo rysowania nie mam, ale podpisałam, co jest co,

żeby, jak ktoś przeczyta, się nie pomylił.

Przyszła tu niedawno taka jedna, co z nią na pieńku miałam, bo o mojej rodzinie

źle mówiła, i płacze, że wesele musi sprawić, bo córce brzuch rośnie, a tuubrać się nie

ma w co.

Młodym kuroniówkę zabrali, a onainwalidkaz najniższą zasadniczą.

To mi się żalzrobiło, mamusine słowa przypomniałam i darowałam, że naskiedyś obrazila do

trzeciego pokolenia.

Wyjęłam zzaplecza garnitur dla młodego - zupełna nówka, jedna mała plamka na spodniachw

intymnym miejscu.

Jej garsonkę dopasowałam zniemieckiego domu

Szmata 165

mody.

Tylkodla młodej nic nie miałam.

Wisi tu wprawdzie nowa suknia z welonem, ale lepiej niech mole zjedzą.

Przyniosła ją kiedyś taka jedna.

Nie mogła w domu trzymać tego ślubnego stroju, bo jej nerwowy system wysiadał, chociaż

to pamiątka po córce.

Zabiła się przed ślubem.

Jechali odebrać od krawcowej weselny strój, deszcz padał, ślisko było, no i zamiast

do ślubu panna młoda na cmentarz się przejechała.

I wisi już u mnie trzeci rokta jej suknia zwelonem.

Ale boję się nawet za darmo oddać.

Jakna swoje sumienie taką decyzję wziąć?

No to ją opakowałam, zaszyłam worek, niech czeka zmiłowania pańskiego.

Tej młodej z brzuchem dałam za to naszcześnie podwiązkę.

Koronka trochę popruta, ale delikatnie wystarczy nitką ściągnąć i śladu nie będzie.

Mogłam jakiś kaftanik dołożyć dla dziecka, co jej brzuchunosi, ale to by było, jakby

prawdą w twarz rzucić.

"No, niech im się wiedzie.

Później po wyprawkę zapraszam" - powiedziałam, podliczając tencałymajdan.

Część gotówką dała, reszta poszła na zeszyt.

I tego zarobku długo oglądać nie będę.

Trudno- za pieniądze się modli, za pieniądze lud się podli, jak mawiała moja

świętej pamięci mamusia.

I lepiej jak ktoś u ciebie w kieszeni siedzi, niż ty u niego.

Spokojniej śpisz, a jakby rycła i niespodziewanaprzyszła, to z czystym sumieniem do

Pana idziesz, że jesteś ze wszystkim rozliczony.

Oj, dobrze, że te słowa wspomniałam.

Jeremiaszowiza towar muszę zapłacić, żebyśmy byli na czysto.

I co my tu jeszcze, kotku, mamy w tymworku?

Końierz z lisa, o jakim moja mamusia całe życie marzyła.

A tatuś mówił: "Jak się nam życiowy standard po.

prawi - maszu mnie tego lisa".
 Ale jakoś nam się nie poprawiało.
 A tu proszę - lisi łeb z worka wygląda.
 W samraz by na mamusię pasował.
 Tylko jedno okoz koralika się odpruło.
 Ale to żadna strata.
 Dopasujemy.
 Kazia na wszystko zaradzi.

Jak nie sprzedam, powisi na zapleczu albo samasię na sumę wystroję.
 I tak jak mamusia marzyła, stanę przy głównym ołtarzu w tej lisiej ozdobie.
 Może oprócz Pańskiego jeszcze jakieś męskie oko się namnie zatrzyma?
 Na przykład Jeremiasza.

Tylko że jemu bardziej by ta Jadzia z cyckami pasowała.
 Już mnieraz pytał, co to za pięknapani z tymi dużymi oczami przychodzi?
 I tak ręką pokazał, wiadomow jakie miejsce.
 To mupowiedziałam, że się nie orientuję, chociaż dobrze wiedziałam, do kogo pije.
 A Jeremiasz nie to, co jej Rysiek, kurdupel i ledwego spod pachy widać.
 Postawę mamęską, w barachszeroki, jak chłopśląski.
 No i wdowiec.
 Ale i jemu pewnie bardziej by ta kocia łapa pasowała niż małżeński węzeł.
 Chyba żeby mu Jadzia wstępu do ogródka miłości nie dała, to może by się złamał, bo
 we

wdowieństwie chłopu trudniej niż babie wytrzymać.

I tak to, kotku kochany, z lisiej głowy przeszliśmyna lisiemęskie zamiary.
 Też coś o tym wiesz.
 Jak się marzec zbliża, topościanach chodzisz.
 Widzisz, jak człowieki zwierzę są do siebie podobni?
 Tylko u jednego chuć, a u drugiego chcica.
 Trochę już żyję na tym świecie, alemęskiej natury do końca nie rozgryżłam.
 Jedna taka tudo mnie przychodzi, chłop jężostawił.
 Mówi: "Pani Kaziu, wszystko przez to, że za czysta byłam.
 Meble na glancfornirem wypastowane, frędzle z dywanu grzebieniem

Szmata 167

uczesane, obrus wymaglowany, że sterczał szeroko, jak łowicka spódnica.
 To mu krzywda była, jak kazałam buty zdejmować, kości z żeberka na talerz z boku

odkładać i ogólnie, dbać o higieniczny tryb życia.

No i poszedł do takiej, co nóg nie myje, za to pół litrazawsze na stole stoi".

I kto chłopazrozumie?

Jednemu baba glajda przeszkadza, drugiemu czysta nie pasuje.

O, całkiem jak te trzy paski, co na ziemię spadły.

Każdy na inną figurę.

To, co dziś leży na człowieku jak ulał, jutro pod pachami pije.

Ja tu ci, kotku, takie rzeczy plotę, a tam w domurybka pachnie, świeży

sandaczyk na warzywnym wywarze.

Uczciwiana nią zarobięś.

Przecież nie od parady tu zenną siedzisz.

Pamiętasz, jak z administracji przychodzili, że deratyzacja będzie?
To ja im na to: "Dziękuję bardzo, alenie skorzystam, bo ozabezpieczenie towaru

już zadbałam.

Mam kotana służbie".

Jeszcze tylko bluzki przewieszę, nie lubię jak jedna na drugiej ugnieciona.

Firmowe metki doszyłam, niech mi Pan Bóg wybaczy takie małe oszukaństwo.

Najwyżej trzy złote na sztuce podwyższam.

A w niedzielę na tacę całą dziesiątkę kładę, żeby było nagrzechów odpuszczenie.

Zasiedzieliśmy się.

Już noc, a rano trzeba sklepotworzyć.

Tabliczkę "nowadostawa" na środku ustawię, żeby każdy wiedział, że świeży towar.

- O, znowu te cholerne gnojki prezent zostawiły.

Jakimś czarnym świństwem "SZMATA" napisali.

- Zaraz zetrę śladu nie będzie.

Wporządnym salonie szybamusi być czysta!

Spełniona

Już jedzie, telefonowała z samochodu, że będzie zakwadrans.
Muszę uporządkować papiery na biurku i zaparzyć zieloną herbatę, która śmierdzi jak

końskimocz.

Żeby tylko nie stłuc tej cholernej filiżanki Rosenthala, bo mała jedna mnie zabije!
Jeszcze schowam słoik posłałce śledziowej, poprawię fryzurę.

O, chyba przyjechała, portier już wiesz, że jej płaszcz, asystent niesie torbę i szal.
Otwieram drzwi, szeroko, jak lubi, żeby nie musiała szarpać się z klamką.

- Dzień dobry, pani prezes!

Jak minęła podróż, czy duże korki na mieście?

Zmierzyła mnie wzrokiem płatnego mordercy, boję się, jak tak patrzy.

Wczoraj już dwa razy mnie upomniała.

Nie uprzedziłam dzisiejszemu spotkaniu z jakąś dziennikarką, i musiała odwołać obiad z

klientem.

Nie sprawdziłam też, jakie soki są w lodówce, a miała akurat chotę na mango.

Ale wymyśliła!

Żeby to gówno dostać, obdzwoniłam zedwadzieścia hurtowni.

"Marchew jej kup - poradził znajomy - kolor podobny, i powiedz, że to pomaga na oczy.

Nie będę musiała kupować dziesiątej pary okularów.

I wzmocnij cyjankiem - raz a dobrze!

"

Spełniona 169

Nie znoszę tej baby, jej przyklejonego uśmiechu.

Oczywiście do mnie się tak uśmiecha, bo ja jestem śmieć, karaluch, takie zwykłe nic.

O cholera, zaraz przyjdzie dziennikarka.

- Pani prezes, chciałam uprzejmie przypomnieć.

- Wiem - warknęła jak wściekły pekińczyk.

Ale zła, a to się dostanie tej redaktorce.

Niejedną już wybiegała z tego pokoju z płaczem.

Za drzwiami gabinetu kobietaw średnim wieku usiadła przy biurku.

Szklany blat, aluminium, jasne drewno, całe to zimne wnętrza zaprojektowane przez modnego

architekta wyjątkowo ją dzisiaj raziło.

Zdecydowanie wolała stare biurko, ze skrzypiącymi drzwiczkami, niezliczoną

ilością szuflad i rzeźbionym aniołkiem na drzwiczkach.

"Jedyne, co nam zostało z niemieckiego szabru" - chwaliła się nim babka, jakby było

powód do dumy, a nie wstydu.

Mebel - wielki i solidny, miał liczne ślady wydrążone przez korniki.

Jako dziecko lubiła sobie wyobrażać schowane w drewnie labirynty, którymi wędrują małe

żyjątku.

Miały tam swoje salony i sypialnie, i napewno też króla i królową albo cały dwór.

Czasami pukała w biał, a potem przykładła ucho w nadziei, że usłyszy jakieś głosy, ale

widocznie nie miała szczęścia albo cierpliwości.

Długo broniła się przed zmianami, w końcu uległa biurko zszufladami

powędrowała do kamienicy.

Uznała, że przywiązanie do rzeczy i do ludzi rzadko się opłaca.

Chyba że są to pieniądze na koncie, którymi można dysponować i zaspokajać swoje kaprysy.

Bardzo to lubiła.

Wprawdzie od niedawna znała smak tej przyjemności, bo wcześniej słowo "kaprys".

170

brzmiało dlaniej taksamo egzotycznie jak "cyprys".

Teraz jednak prawdziwie się w nim rozsmakowała.

Ustawiła biurko babki wdługimholu, na wprostdrzwi.

Blokowało przejście, było prawdziwą zawalidrogą.

Ale chciała, by witało ją, gdy wracała z pracy albo z dalekiej podróży.

Spojrzała na swoje dłonie, z jednego paznokcia odpadłlakier.

- Zaraz przyjdzieta gazetowa hiena i napisze, że mam zaniedbane ręce.

Wywołała telefonicznie sekretarkę.

- Proszę mi przynieść wacik i zmywaczdo paznokci.

- Tak, oczywiście, pani prezes, zrozumiałam, jużbiegnę.

Tylko że pani z gazety czeka.

- Niech czeka!

Proszędać jej ten najnowszy folder, może się przygotuje, żebyznowu nie

musiałaodpowiadać na podstawowe pytania.

Pieczołowicie zmyła płytkę paznokcia, naniosłaćzerwony lakier, którydobrze

współgrał z szarościąeleganckiego kostiumu.

Odczekała kwadrans, potempoprawiła włosy grzebieniem, przypudrowała nos.

Była gotowa.

- Zapraszam - powiedziała, uchylając drzwi.

Panienska wdżinsach, z torbą na ramieniu usiadła naskórzanej kanapie.

Kobieta wśródnim wieku średniej urody zmierzyla ją lustrującym spojrzeniem.

- Czy jest pani przygotowana do rozmowy?

- spytałaostрым tonem.

Dziewczyna zdawała się nie zwracać na to uwagi.

- Tak, mam tu napisanych parę pytań- powiedziała -ale gdzieś chyba posiałam

kartkę.

O, jest!

ZnałaSpefniona 171

zła się zguba.

Noto przeczytam - powiedziała, nieczekając na zgodę.

- Czyjest pani kobietą spełnioną, mężczyźniw pani życiu i jeszcze na koniec,

gdyby zechciała pani podać przepis na egzotyczną sałatkę, bo nasze czytelniczki
lubią

czytać takie kawałki.

Kobieta przy biurku siedziała jakmartwa, po chwili jednakjej blada twarz

przybrałakolor purpury.

Ktoto do cholery jest, skąd ona się tu wzięła i dlaczegota debilna sekretarka ją

wpuściła?

Opanowała się jednak ispytała:

- Pani jest oczywiście z redakcji "Świata biznesu"?

Wasz naczelny uprzedzał, że ktoś przyjdzienapisaćo nowej strategii firmy.

- Jestem z gazety "Świat bez wad"- panienka wydeła wargi.

-Otóż oświadczam pani - mówiła kobieta przy biurku, cedząc słowa - że na żadne

z tych pytań nie odpowiem.

Nie podam przepisu na egzotyczną sałatkę, nie opowiem o ulubionym prezencie z

dzieciństwa ani jakiej szminki używałam w czasie upałów.

I proszę stąd natychmiast wyjść!

Dziewczyna w dżinsach, nie spiesząc się, wyjęła z kieszeni listek gumy do żucia.

- Nie to nie- powiedziała.

- W końcu to pani strata.

Spakowała magnetofon do torby i zbyt głośno jak na osobę dobrze wychowaną zamknęła drzwi.

Trzymając za klamkę powiedziała jeszcze scenicznym szeptem: - Wiedźma.

Kobieta przy biurku nie poruszyła się.

Wiedziała, że powinna zareagować, dojść do drzwi, ale nie miała siły tego zrobić.

Czuła ołów w nogach i dziwną niemoc.

Wizyta tej bezczelnej gówniary doprowadziła ją do stanu, którego nienawidziła w

najwyższym stopniu.

Nie znosiła grzebania w prywatności.

Było to dla niej powodem najwyższej odrazy.

Nigdy nie interesowała się cudzym życiem, chyba że w jakiś sposób mogła tę wiedzę

wykorzystać do osiągnięcia swoich celów.

Ale to była taktyka, gra, a nie zwykła ciekawość, plotkarska i niczym nieusprawiedliwiona.

Na podłodze zobaczyła zwiniętą kartkę papieru kratkę.

Podniosła ją i położyła przed sobą.

Litery starannie wykaligrafowane, okrągłe, jak pismo dziecka.

Ciekawe, ile czasu zajęło jej wymyślenie tych bzdur?

- Czy jestem kobietą spełnioną?

Nigdy nie zadawała sobie takich banalnych pytań, budowała krok po kroku własną

firmę, dokładnie tak, jak zaplanowała, bez sentymentów, oglądania się na trudne

dzieciństwo, brak emocjonalnej więzi z matką, samotność.

Wybrała branżę kosmetyczną, żeby raz na zawsze uwolnić się od zapachów

dzieciństwa i domu: kapusty, mysiego łajna i mydlin.

Szybko zrozumiała, że zmysł zapachu ma szczególnie wyczulony.

Była jak myśliwski pies.

Dzieliła ludzi i rzeczy na te, które pachną dobrze lub niedobrze.

Rozcierała nadłoni ziola i kwiaty, tworząc własne kompozycje zapachowe.

Lubiła kłaść się na łóżko, wachać ziemię zroszoną deszczem, żółtą dziewannę, rumianek.

W ogrodzie mogła godzinami wdychać słodką lawendę i macierzankę, kochała woń traw,

dzikiego bzu i jaśminu.

Nie znosiła jednak wchodzić do taniej perfumeryj w miasteczku, bo zapach proszku do

prania pomieściła 173

szany z wodą kolońską przyprawiał ją o mdłości.

W nocy siły jej się sklepy luksusowe, pełne pięknych flakonów z perfumami.

Stała za ladą, odkręcała buteleczki z wonną zawartością, wahała, skraplała nimi przeguby

rąk, miejsce za uszami, włosy.

Lubiła te sny i im częściej się zdarzały, tym bardziej wierzyła, że mają szansę się

spełnić.

Budowaniu swojej pozycji na rynku poświęciła kilka lat.

Na wszystkie przeciwności była uodporniona, jak wiejskie dziecko nakatar.

Dzień planowała dokładnie, kontrolowała wszystko.

Nie ufała nikomu, pamiętając słowa babki, by szczególnie uważać na "przyjaciół", bo z

wrogiem jest prościej.

Nie miała chwil słabości, nie chorowała.

Była jak sprawnie działający mechanizm, niewymagający napraw ani oliwienia.

Sekretarka ciągle patrzyła na milczący aparat telefoniczny i na duży zegar

wiszący nad drzwiami.

- Co ona tam robi?

Już od godziny nie może się łączyć, nawet tej obrzydliwej herbaty nie chce.

Lepiej zadzwonię do teściowej, żeby dzieciaki odebrała z przedszkola, bo nie wiem, kiedy

małpa jedna skończy te swoje posiadki.

Akurat cudze dzieci ją obchodzą!

Wredna staropanna!

Taka to dupy daje z zabezpieczeniem.

Ale ten jej kocha się tak nie rozwiedzie, za cwany jest.

Podobno teraz z jakąś młodą się prowadzi.

No i dobrze, ile można takie brzydactwo obracać?

Pani prezes!

A jak się nadyma.

Innych ma za nic.

Zwyklegówno, co to tylko kopnąć, ale tak, żeby butanie ubru

174

dzić.

Na forsiepi, a o podwyżkę już drugi rok się niemogę doprosić.

Tylko co ma zrobić taki szary zając jak ja?

Muszę się śmiechać, krzeselko podstawiać, drzwi otwierać.

"Jak zdrowie pani prezes, jak się spało?"

"Porzygać się można.

Kobieta przy biurku raz jeszcze popatrzyła na wyraz "spełniona".

Obwiodła goczerwonym mazakiem.

Czytała literkę po literce: s-p-e-ł-n-i-o-n-a.

Na końcu narysowała wielki wykrzyknik.

Kiedy firma zaczęła odnosić sukcesy, a jej kosmetyki wypierały skutecznie z

rynku drogi eksport, uznała, że nareszcie nadszedł czas na zrealizowanie pierwszego z

listy marzeń.

Kamienica.

Od zawsze chciała mieć kamienicę.

Taką jak Żyd w jej miasteczku, jak lekarz, jak adwokat.

Żeby tak umrzeć w kamienicy, marzyła zawsze jej babka.

Nie zdążyła, umarła w czynszówce.

A ona obiecała sobie, że musi w kamienicy, w centrum miasta, wysokiej na dwa piętra.

I kiedy inni kupowali domy z kawałkiem lasu, dojeżdżąc do jeziora lub rzeki, ona

uparcie szukała swojej kamienicy.

W końcu znalazła coś, co nie było zwykłą tabliczką czekolady, przyjemnie słodką, aż

mdlącą, ale konkretem, z solidnymi murami z cegły i ciężkimi drzwiami.

W salonie powiesiła portret babki, zamówiła meble, ciężkie i staroświeckie, a w

przedpokoju ustawiła biurko z szufladami.

Nie lubiła, jak po jej domu kręcili się obcy ludzie.

Z trudem znosiła wizyty sprzątaczek, a po nocach spędzanych z mężczyznami długowietrzyła

sypialnię,

Spełniona 175

zmieniała pościel.

Sama ścierała kurze, dokładnie metr po metrze, a potem długosiedziała w wannie, żeby

pozbyć się obcych zapachów.

Fabryka, laboratorium, magazyny opakowań.

Co roku dostawiała klocek do klocka.

Jeździła do zagranicznych koncernów, zatrudniała fachowców o najwyższych

kwalifikacjach.

Nie zrażała się problemami, nieobawiała braku zbytu, finansowych pułapek.
Czuła, że nad wszystkim panuje, i to poczucie władzy dawało jej siłę.

Już nie była dziewczynką z prowincjonalnego miasteczka, w podniszczonej

sukience i zdeptanych butach.

Stroj wybierała starannie, za granicą odwiedzała butik i markowe sklepy.

Przestała, tak jak kiedyś, ogryzać skórki przy paznokciach, aż do krwi.

Jej ręce były zadbane i wypielęgnowane.

Jej twarz niewyrażała emocji, była jak maska.

Umiała tak poruszać wargami, by prawienie otwierać ust, chociaż austriacki

protetyk naprawdę dobrze wykonał swoją pracę.

Kiedy mówiła "tak" i kiedy mówiła "nie", brzmiało to podobnie.

Spełniona!

Popatrzyła na swój elegancki gabinet z biurkiem przykrytym szklanym blatem, na

starannie dobrane detale, stonowane kolory zasłon.

Przeciągnęła się na fotelu, poczuła jak skóra mebla robi się przyjemnie ciepła pod

dotykem jej ciała.

Przez chwilę poczuła ten przyjemny dreszcz, którego czasami doznawała za sprawą

zręcznego kochanka.

Podniosła słuchawkę telefonu: - Poproszę o herbatę.

I z nikim nie łączyć.

Niema mnie ani dla "Świata bez wad" ani dla nikogo.

Nareszcie - a już myślałam, że ten telefon nigdy się nie odezwie, sekretarka aż

podskoczyła na krześle.

Ta gówniara z gazety musiała ją nieźle zdołować.

Ciekawe, o co pytała?

Może chciała wiedzieć, jakim żelazkiem prasuje zmarszczki albo nakogo tym razem zastawiła

sieci?

Niedługo jej wspólnik, łysy cwaniaczek, będzie miał zmiennika.

Widać wywiad działa i już jej donieśli tej młodej dupie.

Ale ona szybko się pociesza.

Niedawno kręcił się tu taki jeden - specjalista.

Ciekawe od czego?

Złota spinka przy krawacie, zegarek z parą ładnych baniek.

Aż do drzwi go odprowadziła.

Umie tych chłopów ogłupić, ale na krótko.

Potem każdy myśli, jak tu dać nogę w pokrzywy, chyba że go sama wcześniej wyrzuci.

A taka jak ja - raz głupotę popełni i do końca życia musi jeść to, co sama

ugotowała.

Kto nie ma miedzi, niech nadupie siedzi, choćby go nie wiem jak swędziała.

Nieraz sobie myślę, po co jej towszystko?

Dzieciaka nie ma, matki nie ma, ani siostry, ani brata.

Mogłaby za to, co składała, do końca życia leżeć na plaży i kokosowe mleko pić, a czarny

palant muchy by odganiał i jeszcze dogodził.

Co taka wiesz o życiu?

Jak to jest, kiedy chłop całą kuroniówkę przepije z nerwów, że pracy nie ma.

A tydzień chcą na kino albo buty podrać.

Ja też ciągle w nerwach, że robotę stracę.

Więc prasuję co wieczór ten kostium z firmową naszywką, bluzki zmieniam, na wałkach

śpię, aż mi od tego we łbie trzeszczy.

A ona i tak niezadowolona.

Sok nieten, filiżanka nie taka.

Spełniona 177

Ile ja się w duchu naprzeklinam, to tylko Pan Bóg jeden wie.

Dawno powinna po tej ziemi nie chodzić, gdyby się te wszystkie moje życzenia spełniły.

Znowu sobie trochę ulżyłam.

Już niosę tę herbatę, czajnik z naparem, łyżeczkę cukru.

- Bardzo proszę, pani prezes.

Życzę smacznego.

Nie łączyć, nie wpuszczać nikogo do gabinetu.

Nie mapani, prawda?

Kobieta siedząca przy biurku tylko machnęła ręką, jakby chciała przegonić

bzycaącego komara.

Znowu zatrzymała wzrok na kartce papieru.

Mężczyźni w moim życiu?

- Wspomnienie ukłuła ją jak bolesna drzazga paznokciem.

Ból rósł, jak w tamtej w piwnicy, kiedy poczuła, że ktoś przyciskają do ściany i nogą

zamyka drzwi.

Próbowała krzyczeć, ale wycodził jej doucha: "Anisłowa", potem podniósł wysoko

spódniczkę z gumkąw pasiei wsadził najpierw rękę, a potem coś, co było jakby trzonkiem

od stojącej w kącie siekiery.

Zawyła z bólu, potem poczuła dziwne ciepło między nogami i gorący oddech na

szyi: "Zaraz sobie pójdziesz, już cię puszczam".

- To był wuj, brat babki.

Wyrwała się jakoś, wybiegła na podwórze, a potem dosadu, by nikt jej nie

zobaczył.

Krew spływała po nogach.

Obmyła się wodą z cebrzyka d lakur.

- Świnia, co on mizrobił?

Teraz umrę, dostanę krwotoku.

Nie chcę umierać!

Niewiedziała, jak powiedzieć babce o tym, co się stało.

Jeszcze ją zbije.

Przecież to wuj.

Na jego łasce byli wszyscy.

Nieraz dogadywał: Pamiętajcie, że z mojej miski jecie!

Jak mi się znudzi- koryto pójdziewyżej".

Wiedziała, że matka zarabiała grosze, nawet naporządne palto dla niej nie ma, i

gdyby nie sakiewkowała, nie byłoby za co węgla kupić i kartofli na zimę.

Ojciec zmarł, gdy była jeszcze mała.

Znała tylko zezdjęcia.

Dla całej rodziny najważniejszy był wuj.

Dla niej również.

Aż do tamtej chwili, kiedy postanowił odebrać to, co dawał na kredyt.

Ale dlaczego zapłacić musiała właśnie ona, dziecko jeszcze?

Od tamtej pory czuła się jakby na wpół umarła.

Niemogła nikomu powiedzieć o tym, co się stało.

Nawet księdzu na spowiedzi.

Wraz z utratą dziewictwa straciła wiarę.

Gdzie był wtedy Bóg?

- zastanawiała się, klęcząc przed ołtarzem.

Od tamtego dnia nieposzła do komunii.

Czuła, że na nią nie zasługuje, tak jak na rozgrzeszenie w konfesjonale.

Zresztą i Bóg, i ksiądz też byli mężczyznami.

Zaczęła się uczyć, całymi dniami siedziała nad zadaniami szkolnymi.

Zrozumiała, że tylko wykształcenie jest dla niej szansą, tylko ono pomoże wyrwać się z biedą

i biedą.

Nie mogła liczyć na pomoc matki, pieniądze wuj budziły w niej odrazę.

Szkoła stała się trampoliną, nadzieją na lepsze życie, jedyną pewną rzeczą, na której

może się oprzeć.

Wierzyła, że odniesie sukces, że będzie miała kamienicę i to, co nie udało się babce, uda

się jej.

Była uparta, konsekwentna, silna i twarda, bo tylko tacy mogą zwyciężyć.

Spełniona 179

O tym, czy to jej wystarczy nie zatęskni kiedyś za ciepłymi ramionami

mężczyzny, nie myślała.

Czuła się trwale okaleczona, jakby wtedy, w ciemnej piwnicy, straciła część

swojej kobiecości.

Tę najważniejszą część, która nazywa się zdolnością do kochania.

Lubiła mężczyzn, ale tylko jako partnerów w biznesowej grze.

Kiedy przegrywali, czuła radości podniecenie.

W łóżku byli jedynie przedmiotami służącymi do zaspokajania chwilowego pragnienia.

- Mężczyźni w moim życiu?
- Nic, puste miejsce.
Wuj! - Skreśliła pierwszą literę, dopisała "ch".
Potem szybko zmięła kartkę.
Zrobiła z niej małą kulkę, podzuciła kilka razy do góry.
A potem znów rozłożyła papier i zaczęła drzeć na małe cząsteczki.
Poczuła dziwny ciężar.
Coś przeszkadzało jej oddychać.
To chyba brak powietrza.
Otworzyła okno.
Wyrzała na ulicę pełną ludzi, biegnących jak małe mrówki.
I nagle zapragnęła się tam znaleźć.
Stać się jedną z nich.
Małą mrówką wśród tysiącinnych.
Chwyciła się parapetu.
Jej palce zrobiły się białe od wysiłku.
Jeszcze chwila i będzie dole - pomyślała.
Smagający twarz letni wiatr sprawił, że oddychała coraz głębiej.
Czuła się lekka i wolna.
Okno!
Ta mała otworzyła okno.
Nigdy wcześniej tego nie robiła.
Dupy z fotela jej się nie chciało ruszyć, tylko brała za słuchawkę telefonu.
A teraz je otworzyła.
Chyba nie chce wyskoczyć!
O Boże, przedchwilą życzyłam jej śmierci!
Pewnie w złą godzinę.
- Paniprezes!
Pani prezes!

Okno było otwarte naościę.

Podbiegła.

Próbowała się wychylić jak najdalej.

Nic, żadnego zbiegowiska.

Nikt nie krzyczy, nie woła o pomoc.

Nie ma jejtam, nie ma!

To gdzie jest do cholery?

Nagle z kąta pokoju dobiegł głos:

- Proszę zamknąć i zawiadomić kierowcę.

Za pięć minut będę gotowa.

Śpiewaj, mojątaszyno

Stefanowi Brylowskiemu

- Spójrz na niebo - powiedziała ona.

- Kiedy wyptywaliśmy, nie było ani jednej chmurki, a teraz wiszą nad nami niby nadęty

balon.

I zaczęło wiać.

- Nie gapi się do góry, tylko wiosłuj - powiedział on głosem ostrym

inieprijemnym.

- Nie będziemy siedzieć jak kaczki w trzcinach.

Wzięła więc karnie wiosło i zaczęła odgarniać wodę.

Kiedy niebo przeszła błyskawica i spadła wprost do wzburzonego jeziora, dobijali do

brzegu.

- Jeszcze tylko wciągnę kajak i posprawie - powiedział zadowolony.

- Udało się - klaskała w ręce jak dziewczynka.

- Zobacz, jak pięknie pada.

Podoba ci się?

- Nie lubię deszczu - warknął i otrzepał włosy niczym zmoczony kundel sierść.

Jednak widząc, jak on się cieszy, wziął ją na ręce.

Spijała krople wody płynące po jego opalonych ramionach.

- Smakujesz jak lody waniliowe - szeptała, strzepując z rąk wodną mgłę.

Mógłby ją mieć właśnie teraz.

Ale chociaż zinnymi nie zwykł tracić czasu, tym razem postanowił poczekać.

Czuł dziwne onieśmienie.

Możeto jej naiwność dziecka, z jaką zgodziła się na ten wyjazd nad.

jeziro, sprawiła, że nagle zaczął się bać odpowiedzialności, może uważał, że na nią nie zasługuje.
I chociaż jej ciało było cudownie ciepłe i gotowe, chciał oddalić ten moment, kiedy już wszystko się stanie.

Zabrał się do rozstawiania namiotu, mocując się linkami.
Potem nadmuchiwał materac, układał przyniesione z kajaka rzeczy, niezbędne natych

kilkadni, znosił drewno na ognisko.

- Cholera, trzeba było przyjechać z kumplem - zaklął pod nosem.
- Pożyczyć żaglówkę albo zwyczajnie moczyć kij w wodzie, tak zupełnie na luzie.
Zachciało mi się ciągnąćę gówniarę.
I co ja tu z nią będę robił?
Chyba mi odbiło!

Mogłem ją mieć na imprezie, w parku, w mieszkaniu, gdziekolwiek.
To sobie wymyśliłem jezioro.

I tylko łapy mnie boją od tego machania wiosłami.

- Kocham cię - szeptała.

Nie lubił tego słowa, chociaż słyszał je wielokrotnie.

Tym razem jednak brzmiało inaczej.

Dziwnie miękko, łagodnie, tak jakoś bardzo dziecinnie.

Schował jej małą dłoń w swojej.

Była delikatna, z równoobciętymi paznokciami.

Przytuleni, długo siedzieli przy ogniu, patrząc na skaczące płomienie, które lizały

kolejny kawałek sosnowej gałęzi.

Cały czas myślał, jak to będzie, kiedy wejdzie w nią i otworzy dla siebie.

Nie obawiał się, czy sprosta zadaniu.

Był pewien swojej męskości, bał się tego, co potem.

Jej żarliwego domagania się potwierdzenia, że to na zawsze, na całe życie.

Nie rozumiał, dlaczego musi być przy tym tyle zachodu.

Przecież to tylko fizyczne zespolenie.

Chętnie odstąpiłby komuś ów prezent, ale wiedział, że stanie

Śpiewaj, moja ptaszyno 183

się to, bo wszystko zmierza ku takiemu właśnie rozwiązaniu.

Chciał jednak, by tym razem było inaczej niż zwykle, kiedy brał panienki bez

zbędnych ceregieli.

Udał, że jest strasznie zmęczony.

Ziewał głośno, dając sygnał, że jedynarzec, której pragnie - to sen.

I chociaż wykonywała swój koci taniec, przęcając piersi, małe i kształtne, zasnęła.

Jednak nie był to sen, tylko jakiś stan półczuwania.

Wiedział, że leży przy niej.

Nie słyszał głosu, chociaż chyba coś mówiła.

Przytulił ją ramieniem, mocno, jakby chodziło o ocalenie czyjegoś życia, a nie zwykły

akt zjednoczenia dwóch ciał w uścisku.

I tak zastał ich poranek.

Słońcegrzało ściany namiotu.

Odsunął koc, dziewczyna otworzyła oczy i przeciągnęła się.

Udał, że niewidzi.

Wstał i zabrał się do robienia śniadania.

Nie wiedział, że założyła się z koleżankami, że gozdobędzie.

Jego właśnieupatrzyła sobie naofiarę damskiego polowania.

Nie wyczytał tego ani z jej jasnych oczu ani z gestów, które dziwnie go onieśmiały.

Powoli wpadał w sieć modliszki.

Chciał, by wszystko wypadło jak najlepiej.

Równokroił chleb, układał go na lniej ściereczce.

Smarował kromki masłem itwarogiem, układał pomidory pocięte w małe półksiężycy.

Nigdy dotąd tak się niestarał.

Gotował wodę na herbatę w małym kocherze.

Czekając, aż zacznie bulgotać, położył jeszcze między kanapkami dwa krzaczki poziomek.

Ona drzemała, uśmiechając się.

- Będiesz mój, już niedługo - powtarzała w myślach.

- Kiedy nas razem zobaczą, nie uwierzą.

Taki facet!

Na dyskotecę zawsze wrywanajfajniejsze la.

ski, ma firmę i niezłą brykę.
 No i kasę.
 Nie to, co cigówniarze z bloku.
 Jedno piwona trzech.
 Dawno chciałago zarwać.
 Gdyby nie te imieniny kumpeli, byłaby bez szans.
 Ale zwrócił na nią uwagę, chociaż wydawałosię, że cholernie się nudzi w
 tymtowarzystwie.
 Kiedy spytał, czy pojedzie z nim nad jezioro, zgodziła się natychmiast.
 Wreszcie skończył przygotowania.
 Zadowolony oglądał swoje dzieło, gdy ona objęła go czule i powiedziała: Cudownie!
 Jak w bajce.
 I moja miłość dociebie jest jakbajka.
 Jeszcze nigdy, nikogo i z nikim.
 powtórzyła po raz kolejny, chociaż był to zwykły blef.
 Słyszał, jak głośno oddychał podniecenia, sam teżnie byłobojętny.
 - A może zrobić toteraz, przed śniadaniem, żeby jużbyło po wszystkim?
 -pomyślał przezchwilę.
 Nagle woda zaczęła wrzeć, pobiegł więc donamiotu po pudełko z herbatą.
 Pili powoliz metalowych kubków, parząc sobieusta.
 Jejjasne włosy lśniły w słońcu, nos miała umazany twarogiem.
 Wtedy przypomniał sobie wszystkiedziewczyny, które zaliczałprzy każdej okazji.
 Najczęściej lekkopijane, z rozmazanym makijażem, cuchnące papierosami.
 Nigdy nie zastanawiał się, czy naprawdę tego chcą, czy idąz nim, bo tak trzeba, bo
 jest impreza.
 Nawetich imion nie pamiętał.
 Jeszcze bardziej się przestraszył.
 A jeśli coś będziemy miał obiecać, oddać fant za prezent, jaki dla niego szykuje?
 Zrzuciłakostium i pobiegła do jeziora.
 Patrzył nanią jak na leśną zjawę, boginkę z baśni.
 Nurkowała, wynurzała się z trzciny, by za chwilę znowu zniknąć
 Śpiewaj, moja ptaszyno 185
 pod wodą.
 Pokwadrańsie, owinięta ręcznikiem, suszyła w słońcuzlepione, mokre włosy.
 - Chodź, pójdziemy do lasu, już wyschłaś - powiedział w końcu, a ona zgodziła
 się jak grzeczna dziewczynka i założyła tenisówki.
 Szli, trzymając sięza ręce.
 - Chyba to już koniec tej wyspy.
 Doszliśmy do drugiego brzegu.
 Widzisz tamtą samotną łódkę?
 - spytał.
 - Zobacz, jaka śmieszna.
 Cała obwieszona pieluchami i prześcieradłami.
 - Podejdźmy bliżej - zaproponowała.
 Zgodził się.

I nie wiedząc dlaczego, zaczęli się skradać jak harcerze na leśnych podchodach.

Na leżaku siedziała stara kobieta wzielonejczapeczce.

Obok mężczyzna wbijał w ziemię dwa drewniane pieńki i układał na nich małą deskę.

- Widzisz, kochanie, jaki piękny stolik ci robię?

Tylko trzeba sprawdzić, czy jest właściwypoziom.

Niemapoziomiczy?

Nie martw się, zaradzimy.

Wezmę słoik i pokuję go podesezczce.

Jak spadnie, znaczy, że stół krzywy.

To jest poziomicca grawitacyjna, mój patent.

Dobrze wymyśliłem?

Pogładził twarz starej kobiety, która mruczała coś pod nosem.

- Skoro już mamy stół, pora na obiadek.

Botwineczka na kurczaku i pierogi z jagodami.

Pierwsze jagody dla mojej kruszynki.

A teraz otwórz buzię, pomaleńku połykaj, żebyś się nie oblała.

Kobieta jak robot otwierała usta.

- Ta stara chyba nie widzi i nie słyszy, a jeszcze robi pod siebie.

To wstrętne!

Nienawidzę starości-powiedział chłopak.

Dziewczynaszepiała:

- To piękne.

Jakon musi ją kochać, Boże, jak musi kochać!

Jeszcze bardziej się przestraszył.

Pieprzona romantyczka mi się trafiła- pomyślał.

Co tu kochać?

Tojakaś patologia i tyle.

Nie miał jednak odwagi powiedzieć, co naprawdę myśli.

Obładowany garami i słoikami staruszek ciągnął swój monolog.

- Teraz idę pozmywać, a ty tu sobie siedź, mojąptaszyno.

Jak wszystko zrobię, wrócę, żeby ciw oczkapopatrzyć!

- Chodź, zostawmy ich - powiedział chłopak do dziewczyny, głosem już jednak

innym, dziwnie łagodnym i miękkim.

Przytuleni, dotarli do zalanej słońcem polany z zieloną, soczystą trawą.

Najpierw uniósł ją delikatnie do góry, potem ułożył na tym leśnym pościeliu jak

dziecko.

Nie broniła się, przymknęła oczy i czekała.

Kiedy ją posiadł, krzyknęła: - Nareszcie!

Czuł, że stało się coś niezwykłego, czego nigdy dotąd nie doświadczył.

Z żadną nie był tak blisko.

Nie podejrzewał nawet, że to możliwe.

Scałowywał łzy, płynące po policzkach, wahał zapach jej włosów, jak myśliwski pies

obwąchiwał skórę, każdy kawałek jej ciała wydawał mu się cudem natury.

- Kocham cię - krzyczał do szumiących sosn, a ona, zdziwiona gwałtownym

wyznaniem, szepiała:

-Wiem.

Ja też cię kocham.

Smakowała nie tylko jego ciało, ale i swój sukces.

Do tej pory nie rozumiała, co to znaczy posiadać władzę nad mężczyzną.

Teraz dopiero poznała rozkosz

Śpiewaj, mojąptaszyno 187

panowania.

Nie była zwykłą modliszką.

Była królową modliszek.

Leżeli na zielonej polanie, całując się, przytulając, głaszcząc, aż w końcu

zrobiło się późno i trzeba było wracać do namiotu.

A może pchnąć kajak na wodę i odpłynąć - pomyślał przez chwilę.

Powiedział jednak:

- Zostańmy jeszcze.

Możemy przecież zostać- dodał, chociaż dziewczyna nie protestowała.

Założyła się przecież o trzy dni.

Tyle czasu potrzebowała na zrealizowanie swojego planu.

Jeszcze niewiedziała, czy warto chcieć z nim czegoś więcej, ale postanowiła, że udowodni

tym głupim, że zrozumiałym sukcom, że go zdobędzie i wróci jako para.

W nocy znowu się kochali.

A potem usnęli, utrudzeni sobą, upałem, podnieceniem.

Wstał pierwszy i jeszcze bardziej się starał, by poranna uczta była wspaniała. Smarował kromki chleba, obierał starannie ogórki, kroił rzodkiewki.

Ona kąpała się, chlapiąc wodą.

- Zostaw te kanapki, chodź popływać - wołała, nurkując blisko trzciny.

Przepłynął więc kilka metrów i wyszedł na brzeg.

Potem jedli, nie spiesząc się, przerywając posiłek pocałunkami.

Nie należała do szczególnie gadatliwych.

Poza tym nie chciała mówić zbyt wiele, bojąc się, że ją na czymś złapie, przejrzy misterny

plan.

A jeśli uzna za głupszą od tych, z którymi był?

Lepiej schować się za podwójną gardą milczenia - uznała.

To go jeszcze bardziej nieśmiało.

Zwykle panienki, które zaliczał, gdały jak kwoki, czasem szczebiotały albo jęczały w

akcie uniesienia.

Wolałyby wiedzieć,.

z kim się przyjaźni, jakich ma rodziców, o czym rozmawia z koleżankami.
Ale nie śmiał pytać.

Tak jest nawet lepiej, a przynajmniej inaczej - uznał.

- Poszukajmy jagód, na pewno tu są - zaproponowała.

W końcu to lipiec, a w lipcu zawsze są jagody.

- Nie znoszę niczego zbierać - syknął.

Ale już przy wyrazie zbierać, głos mu złagodniał.

- Dobrze, jak chcesz, tylko wezmę dwakubki - dokończył.

Lipcowe słońce nie miało litości.

Wysuszona ściółka skrzypiała pod nogami.

Jagodowe krzaczkę były pełne owoców, ale dziwnie małych i pokurczonych odsłońca.

Szli dalej i dalej, aż do dziwnego obozowiska z łopoczącymi masztami z pieluch i

prześcieradeł, które było domem tej śmiesznej pary.

Noc spędzali w łodzi, dni w lesie, na polanie.

Skryci za małymi świerkami obserwowali staruszków, którzy - zdawałoby się -

odwczoraj ciągle siedzieli w tym samym miejscu.

Teraz jednak mężczyzna próbował przestawić leżak w cień.

Najpierw sprawdził jego stabilność, a wreszcie przeniósł starą kobietę, kruchą jak

porcelanowa lalka, bezwolną niczym kukielką.

Ciągle mruzczała coś pod nosem.

- Ona nie jest ślepa, tylko chora.

To Alzheimer!

Czytałam, że wtedy się wszystko zapomina, nawet jeśći chodzić.

I ona to ma, jest pewna!

- Cicho, bo nas usłyszą - strofował chłopak, modulując głos, by upomnienie

przypominało raczej miłosne wyznanie.

Czuł się zakłopotany widokiem tych dwojga, złączonych ze sobą jakby dziwną nicią.

Wydawało mu się nawet, że przez chwilę widzi, jak stara kobieta odwija ją z kłębka

leżącego na kolanach.

Spiwaj, moja ptaszyno 189

Na twarzy mężczyzny nie było zniecierpliwienia, tylko zmęczenie, ale

ijakaś promienna radość.

- Gorąco mojej ptaszynie.

Susza taka, że grzybów jak na lekarstwo.

Tylko jednego prawuska dzisiaj znalazłem.

Trzeba coś zaradzić.

Będę zaklinał dla ciebie deszcz.

Na cztery strony świata, jak afrykański czarownik.

Deszczyku zachodni, przybywaj, bo grzyby niechęć rosnąć!

Deszczyku ze wschodu przybywaj - inaczej jagód nam zabraknie!

I ty z północy, i ty z południa.

Mężczyzna kłaniał się, wymachując kawałkiem paproci.

Na twarzy kobiety pojawił się jakiś grymas.

- Śmiejesz się, że twój stary tak się wygłupia?

Noto się śmieję, ale zobaczysz, że zakłęcie podziała.

Tylko trochę cierpliwości.

- Chodź już, idziemy - powiedział chłopak do dziewczyny.

- Poczekaj, może jeszcze coś fajnego do niej powie

- szepnęła.

Ale mężczyzna oddalił się.

Widzieli, jak wychylony z małego pomostu prał pieluchy.

Kobieta siedziała na leżaku, a może drzemała, zmęczona upałem.

- Zazdroszczę im, już nie muszą niczego udawać

- szepnęła, chociaż byli w bezpiecznej odległości od obozowiska.

- A ty musisz?

- spytał.

Inagle przeraził się, że przez ten cały czas udawała, że dał się wciągnąć w jakąś grę,

uknutą nie wiadomo czemu intrygę.

Nie, tonie może być prawda!

Jest na to za głupia, za mało cwana.

Przecież go kocha, powiedziała to.

Chciał znaleźć potwierdzenie, że się nie myli, ale dziewczyna patrzyła na szumiące drzewa.

- Chyba pogoda się zmieni - zauważyła.

Kiedy wracali, nagle lunął deszcz.

Biegli, by spakować koce i ręczniki.

Niestety, było już za późno.

- Trudno, musimy jeszcze zostać.

Przecieżnie będziemy wozić tych mokrych szmat - oznajmił.

- To cudownie - odpowiedziała dziewczyna.

- Wierzysz, że miłością można zakląć deszcz?

- spytała.

Kosmiczna bzdura - pomyślał.

Powiedział: - Wierzę.

Rano nie chciało im się wstawać, postanowili spać do południa.

Potem ona odgrzała gołąbki wyjęte ze słoika.

- Zapasy się kończą.

Jak zostaniemy jeszcze kilkadni, będziesz musiał coś upolować - żartowała.

On siedział i patrzył jak zaczarowany na jej kocie ruchy, włosy rozświetlone słońcem.

Zamykał oczy, by sprawdzić, czy za chwilę znowu ją zobaczy.

- Zajrzymy do starych na polanę?

- spytała.

- Jasne - odpowiedział.

I znowu zaczęli się skradać, chować za drzewami, kucać w trawie.

Kobieta i mężczyzna siedzieli w swoich leżakach.

On ciągle mówił, głosem łagodnym, jak dziecko.

- Zjadłaś batonik, ale cukierka nie dam, bo od cukierków zęby by się nam

popsuły.

Za to odrodzynie najwyżej protezy.

No, otwórz buzię, wsypię ci kilka.

A potem radio nastawię głośniej.

Presley śpiewa.

Pięknie - prawda?

Nie, zmieniam zdanie - jednak ty piękniej.

Wyłączę Presleya, żeby ci nie robił konkurencji.

Śpiewaj, moja ptaszyno!

- Jak myślisz, ile mogą mieć lat?

- spytała dziewczyna.

- Pewnie zosiemdziesiąt - odpowiedział chłopak.

Śpiewaj, moja ptaszyno 191

- Widzisz, miłość nieumiera!

Jest tak długo, jak tego chcemy - cieszyła się jak dziecko.

- Wystarczy tylko kochać!

Popatrz na nich.

Są piękni!

Nie protestował.

Milczał.

Nie wiedział, jak poukładać to wszystko, costło się na leśnej polanie itutaj, przy

obozowisku dwojga śmiesznych staruszków.

Nie wyobrażał już sobie, że mogą się rozstać.

Gotów był jak ten starzec zaklinać dla niej deszcz, nosić na rękach i karmić.

Obmyślał więc plan, jak ją zatrzymać.

Więcej niczego niepragnął.

Znowu kochali się, długo smakując rozkosz.

Rano obudziło ich delikatne stukanie w brezent namiotu.

Wychylili głowy.

- Jagód przyniosłem moim letnikom powiedział stary mężczyzna.

- Wiem, że młodym nie chce się zbierać, a dla mnie to radość, jak mogę komuś

prezent zrobić.

Tawyspa to nasza letnia kwatery.

Polanka Stefanka, bo Stefan mi na imię - przedstawił się.

Tak mówiła moja królowa, jak jeszcze mogła mówić.

Teraz już tylko śpiewa.

Przepraszam, że obudziłem, ale wcześnie wstaję.

Pieluszki zmieniam swojej dziewczynce, mleko podaję do wypicia.

Ona śpi sobie dalej, a ja na grzyby idę, jagód zbieram, pranie zrobię.

Kiedyś jeszcze po jeziorach ją wozilem, ale dziś już nie.

I tak nie wiem, gdzie jest.

A tutaj, widzę, konkurencja się zjawia.

Piękną księżniczkę przypląnęła na wyspę.

Jak masz na imię, dziecko?

- Julia - odpowiedziała dziewczyna.

- A ty pewnie jesteś Romeo?

- spytał.

- Nie, Robert - burknął chłopak.
- O przepraszam, tak tylko zażartowałem.

Nie gniewajcie się.

I życzę smacznego!

Śmietanki nie przyniosłem, bo od tego upału bardzo kwaśna się zrobiła.

- Wyglądał jak stary krasnal - zauważyła dziewczyna, kiedy niespodziewany gość

oddalił się leśną ścieżką.

- I jak śmiesznie mówił - księżniczka i Romeo.

Ciekawe, czy kochali się tutaj tak jak my, kiedy jeszcze była zdrowa?

I jak ona to zrobiła, że nic odnieganie chce, a ma wszystko?

- Jedźmy - zaproponował chłopak, by niewdawać się w kłopotliwą dyskusję.

Wybierali więc na wyścigi jagody ze słoika, kłowiej, a ich usta zrobiły się śmiesznie

granatowe.

- Pora na nas, musimy się pakować, jeśli chcemy zdążyć przed nocą - zdecydował w

końcu.

Posłusznie układała w kajaku cały dobytek, starannie zwijała koce i ręczniki.

Potem odpłynęli, wolno odmierzając rytm, by nie spłoszyć stada kaczek w szuwarach.

- Wiesz, wygrałam zakład - powiedziała.

Udał, że nie słyszy.

Zmieniła więc temat.

- Jak on do niej mówił, ten staruszek, pamiętasz?

Śpiewaj, moja ptaszyno!

- Chyba tak.

- I nawet Presleya wyłączył.

Łączę z "Nadzieją"

Lokal w budynku spółdzielni mieszkaniowej był obskurny.

Ściany w kolorze trudnym do zdefiniowania, jakieś kulawekrzesła na korytarzu.

Koszmar!

Jeszcze ten kretyński napis na drzwiach "Nadzieja", pamiątka posiedzenia koła emerytów.

W pierwszej chwili chciałam dać nogę, w drugiej walną głową o ścianę, żeby wróciła

mi przytomność umysłu.

W co ja, do cholery, wpakowałam wszystkie swoje oszczędności?

Lepiej całą kasę wyrzucić za okno.

Zapowiadali sztorm na Bałtyku, więc byłaby szansa, że daleko polecą.

Groza, po prostu groza!

Pomieszczenie okazało się równie brzydkie jak cała reszta tego gmaszyska.

Ściany pomaluję na czerwono, będzie jak w pokoju zwierzeń u Wielkiego Brata - zaśmiałam

się sama do siebie i szybko zamknęłam drzwi.

Jutro idę oddać klucze.

Zerwanie umowy to chyba jedyny sensowny pomysł w tej sytuacji.

"Kto ma pszczoły, ten ma miód", przypomniało mi się powiedzenie mojego dziadka,

zwolennika brania spraw we własne ręce.

Najpierw posadził siedem akacji, potem sam zrobiłule.

Tylko jaki związek mają ule z biurem matrymonialnym?

I dlaczego akurat do mojego ula miałyby trafić właśnie te długo oczekiwane pszczoły?

Pomysł zjawił się w czasie świdrującego bólu zęba, który starałam się zagłuszyć, czytając jakąś gazetę w poczekalni u dentysty.

"Jestem samotną kobietą czterdziestce, niezależną materialnie. Mam dobrą pracę i przyjaciół, ale ciągle szukam swojej drugiej połowy. Może to wlaśniety?

"

Kolejne ogłoszenie było podobnej treści iznowuzamieściła je samotna kobieta. Na siedemnaście prawietakich samych tylko dwa od facetów.

Jeden pisałz zakładu karnego, drugi był rolnikiempo siedemdziesiątce.

Dobra średniastatystyczna, pomyślałam.

To jużchyba lepiej grać wtotołotka.

Przytomność umysłu wróciła mi na foteludentystycznym, kiedy miałam odpowiedzieć

na pytanie, czy ma mnie kto odwieźć do domu, bo po znieczuleniu lepiej, żebym sama nie

prowadziła samochodu.

Oświadczyłam, że nie ma, co było zgodne z prawdą.

Dodałamteż: -Jestem sama, podobnie jak tapani po czterdziestce i siedemdziesięcioletni

rolnik.

Dentysta spytał, czy się dobrze czuję.

Odpowiedziałam, równieżzgodniez prawdą, że niedobrze, skoro nie ma mnie kto odwieźć.

Poza tym i tak nie mam samochodu, a za chwilę sama zadzwonię potaksówkę.

W nocy ząb znowu dał o sobie znać.

Wraz z bólem powróciła myśl, że może to jednak jest jakiś pomysł - takie ogłoszenie

dogazety.

W pośpiechu układałam treść.

"Panna, lat trzydzieści pięć, średniego wzrostu,średniej urody.

"

Rzeczywiście, brzmi zachęcająco.

Z marketingupiątką, zaczęłam się śmiaćsama z siebie.

Jeszcze dołączę z "Nadzieją"195

łożę informację o bliźnie po wyrostku, lękuwysokości i otym, że niedawno zdechł

mi pies.

Wtedy nawet ten z zakładu karnego nieodpisze.

A gdybym sama założyła biuro matrymonialne?

Niemusiabym pisać, tylko do mnie by pisali.

Kto ma ule,ten ma miód, jak mówił dziadek.

Zarejestrowaniedziałalności zajęłomi tydzień,znalezienie lokalu- dwa dni.

Zamieszczenie ogłoszeńw lokalnej prasie - dwadzieścia minut.

Na myślenie o skutkach mojej decyzji zostało całe życie.

Zaczęłam od naprawy drzwi i pomalowania ściana kolor zielony, który podobno

łagodzi agresję.

Ustawiłam biurko zgodnie z zasadą feng shui, kupiłam kilka segregatorów na ewentualne

oferty i zabrałam się do zdrapywania z drzwi napisu "Nadzieja".

Nie wiedziałam, jak to zrobić, bynie zniszczyć drewna, więc machałam w powietrzu

papierem ściernym, recytując: Ja mam nadzieję, ty masz nadzieję, on, ona, ono. Nadzieja!

W końcu się poddałam.

Trudno, niech zostanie.

Będą tu przecież przychodzić po nadzieję, oczywiście jeśli w ogóle będą, zdecydowałam.

A jaw rubryce "zawód" obok - księgową, dopiszę sobie - swatka.

Ciekawe, czy ktokolwiek przeczytał ogłoszenie?

Czy zadzwoni albo napisze?

A może nieoczekiwanie zjawi się on - ten, na którego czekam?

Marzenia jak ptaki szybują po niebie, przypomniała mi się zwrotka z jakiejś piosenki.

A jeżeli nie szybują?

Nagły sygnał telefonu przywrócił na chwilę przytomność umysłu.

- Łączę z "Nadzieją" - usłyszałam w słuchawce głos portierki.

196

- Matrymonialne!
- sapała do telefonu jakaś kobieta.
-Chciałabymzłożyć ofertę.
Tylko ja gruba jestem.
Można zaznaczyć, że puszysta.
Zdjęcie mam, todołączyć, prawda?
Fotograf trochę mnie odchudził, komputerem - zaśmiała się.
- A co tam, zaraz sama do pani przyjdę, bo z budki dzwonię, tu na osiedlu -

wyjaśniła.

- Tylko deszczpada.
No trudno, jak się chce chłopca znaleźć, to czasami trzeba zmoknąć.
Tak w ogóle, to Halina jestem.
Po chwili wtoczyła się do pokoju, otrzepując włosy,skręcone trwałą ondulacją.
-No co, gruba?
- spytała.
Zanim odważyłam się jej przytaknąć, uprzedziłasytuację.
- Powiem pani, że sąchłopy, co i na takie lecą.
Dajmy nato, mąż sąsiadki zawsze mnie zaczepia i woła: "Oj, Halino,oj, dziewczyno,

chciałbym cię mieć!

"A jamu odpowiadam: "Niedla psakiełbasa", bo katoliczka jestem i nie będę

rodzinyrozbiwała.

Tojakiema pani te oferty?
Wymagań Bóg wie jakich niemam, ale żeby byłraczej wysoki, bo taki mały cwancyk to mi

nie podchodzi.

I żeby za dużo tego, no.

za kołnierz.

Ale zupełny abstynent to teżnie.

Ogólnie, żeby chłop był.

Pani mnie rozumie,prawda?

I ileza toswatanie się należy, bo przed rentąw portfelu golizna.

A mozesię dogadamy inaczej?

Jakrawcowa jestem,a tu, widzę, na oknach zasłon, kobito, nie masz, to ci uszyję.

I będzie krakowskimtargiem.

Tylko tych chłopów mi pokaż!

- Niestety,na raziepani oferta jest pierwsza, bodopiero zaczynam działalność -

staralam się wyjaśnićkłopotliwą sytuację.

Łączę z ^Nadzieją" 197

- Znaczy, firma narozbiegu - upewniła się.

- Noi widzisz złociutka, z numerem jeden będę.

Grubajedyna albo jedyna gruba, jakkto woli.

Nieźle, co?

- roześmiała się, pokazując miejsce po brakującej trójcew górnej szczęce.

A te zasłony zaraz wymierzę, tylko miarkę wyjmę.
Rozumiesz - krawcowa bez miarki nigdzie się nie rusza.
Tylko mistołek przytrzymaj, bo jak gębę, to w piwnicy mnie będziesz szukać.
I jakie chcesz zasłony, z falbanką czy proste?
Pogodzinie Halinawysła szyc zasłony, a ja wpięłam do segregatora pierwszą

ofertę.
Zdjęcie uśmiechniętej krawcowej, chudszej dzięki staraniom fotografa o dwadzieścia kilo,

patrzyło na mnie zza foliowej koszulki.
Do końca dnia odebrałam jeszcze cztery telefony.
Jeden w sprawie szczelności gazu, drugi - wymiany okna i dwa z pytaniem, czy są jakieś

oferty młodych pań z Białorusi.
Niestety, miałam do zaoferowania jedynie krawcową Halinkę.
Wieczorem długo nie mogłam zasnąć, a potem śniłam się Humphrey Bogart.
Poprawiał rondo kapelusza.
I patrzył na mnie tak zmysłowo i uśmiechał się tak samo jak do swojej ukochanej w filmie

Casablanca.
Marzyłam, żeby ten się nigdy nie skończył.
Zupełnie nie chciałam pamiętać, że amant z ekranu mierzył zaledwie metr

sześćdziesiąt, czyli tyle, co jaw butach bez obcasów.
Po pracy w urzędzie, gdzie miałam na głowie ubezpieczenia od nieszczęśliwych

wypadków, pobiegłam do swojej "Nadziei".
I bardzo się zdziwiłam, kiedy portierka powiedziała, że jakaś pani już dwa razy pukała do

drzwi.

198

- A właściwie o co chodzi z tą "Nadzieją"?

- spytała, kiedy brałam klucz.

-Ja nie z ciekawości, broń Boże, tylko żeby mieć ogólną orientację.

To jakieś leczenie akupunkturą albo masażem.

Zgadłam?

- dopytywała się.

- W pewnym sensie, ale raczej chodzi o leczenie samotności -
odpowiedziałam,

zła, że dałam się sprowokować.

-Znaczących psychicznych -ucieszyła się portierka.

-To trzeba było napisać wprost: gabinet psychiatryczny, a nie ludzi w błąd wprowadzać.

Nadzieja, matka głupich, nie wie pani?

- To nie gabinet lekarski, tylko biuro matrymonialne - poddałam się w końcu,

żeby nie wikłać sprawy.

-Znacząca swatka?

Trzeba było tak od razu!

- ucieszyła się portierka.

-Moja babka, świętej pamięci, też się tym trudniła.

Tylko że na wsi.

Dobry był z tego zarobek i szacunek u ludzi.

Tyłu wyswatała, a sobie chłopca żadnego nie znalazła.

I dokońca życiawdową została, bo dziadka w wojnę zabili.

Ot, pech!

A pani, żespytam, stanu wolnego?

Naszczęście nie musiałam odpowiadać, bo zadzwonił telefon i portierka podniosła

słuchawkę.

- Do "Nadziei"?

Już łączę.

- Mówi Burdelski.

Doktor Burdelski - natychmiast poprawił się mój rozmówca.

Przeczytałem anons działalności biura matrymonialnego "Nadzieja".

Czy pani gotowa jest się spotkać, celem przyjęcia mojej oferty wraz z CV?

Oczywiście wizyta w biurze wykluczona.

Pani rozumie, chodzi o mój autorytet naukowy.

Proponuję jutro, o czternastej w kawiarni "Magnolia".

Jako znak rozpoznawczy będę miał sygnet na małym palcu.

Łączę ^Nadzieją" 199

Próbowałam wyjaśnić, że o tej porze jeszcze pracuję, ale w słuchawce usłyszałam

tylko:

- W takim razie siedemnasta.

Portierka, nie pytając o zgodę, rozłączyła rozmowę, za to po chwili

przyprowadziła kobietę w średnim wieku.

- To ta, co już tu była, jak pani nie było " wyjaśniła.

Kobieta rozglądała się bezradnie po pokoju, w końcu siadła na krześle i wyjęła z

torebki kartkę z zeszytu w kratkę.

- Tutaj napisałam swój adres i cechy szczególne - zaczęła.

- No, że umiem gotować, mogę zająć się starszą osobą, na przykład matką -
staruszką, a

on możemy mieć dzieci, ale najwyżej troje, bo jestem po operacji przepukliny i jak więcej,

to by mi było za ciężko z praniem.

Tylko, pani powie, od razu napisać, że mam czterdzieści dziewięć lat, czy nakłamać?

Trochę się boję, bo już kiedyś dałam ogłoszenie do gazety i odjęłam sobie piątkę.

A potem taki jeden przyjechał i mówi: "Te, babcia, tę dychę to spokojnie sobie ujęłaś".

Oczywiście do żadnej rozmowy na poważnie nie doszło.

Zresztą może i lepiej, bo on dziargany był narękach i pod okiem, znaczy z kryminalną

przeszłością.

Tylko ode mnie za bilet powrotny skasował i na jedno piwo mu dołożyłam, za fatywę.

Kobieta obciągała poły swetra w turecki wzór i skubała róg kartki, wyraźnie

zawstydzona swoim wyznaniem.

- A jakie są pani oczekiwania wobec kandydata?

- starałam się ją ośmielić.

Zaczerwieniła się, zawstydzona.

200

- Jakie mogę mieć oczekiwania?

Takie młode jak pani to mogą sobie jeszcze oczekiwać.

Ale w moim wieku?

No, po prostu, żeby się jakiś trafił do żeniaczki był chętny.

Bo coto baba sama jak ten gwizdek, a podmuchać nie ma kto.

No, nie będę już więcej czasu marudzić.

Kiedyś wejdę sprawdzić, czy się jaki trafił.

I niech paninapisze, żeby koniecznie katolik, boż jehowym to bym nie chciała.

Nieźle, jak na drugi dzień działalność, podsumowałam.

Krawcowa znadwaga, pięćdziesięciolatka bezwymagań i jakiś tajemniczy doktor Burdelski.

Kto maule, ten ma miód.

Kiedy spóźniona wbiegłam do "Magnolii", doktor Burdelski, sześćdziesięcioletek z

włosami zaczesanymi na pożyczkę, pił kawę, odginając mały palec wystrojony w sygnet z

rubinem.

Spojrzał na mnie karcąco inie omieszkał powiedzieć, że kwadrans akademicki

właśnie zbliża się dokońca.

Potem wyjął skoroszyt i zademonstrował starannie spięte kartki.

- Tutaj jest moje CV, wyjaśnił.

Przygotowałem też wykaz osiągnięć naukowych i listę oczekiwań wobec kandydatki:

dwadzieścia jeden punktów, jak pani widzi.

Podstawowe dane: wiek, wzrost, waga, obwód w biuście.

W punkcie drugim - preferowane pozycje seksualne.

W punkcie trzecim - zainteresowania dodatkowe, znajomość języków i moje wymagania co

doprowadzenia domu.

Lubię grę w otwarte karty - zaznaczył.

- I żeby nie było niedomówień, pani jeszcze się łapie, jeśli chodzi o wiek, ale

starszych proszę minie przysyłać.

Łączę z "Nadzieją" 201

- Wobec tego dziwię się, że nie próbował pan zainteresować sobą jakiejś

studentki - odezwałam się wreszcie.

Burdelski nie dał mi nic więcej powiedzieć, bo znowu zaczął o oczekiwaniach,

jakie ma wobec kobiet.

Na pewno było ich więcej niż dwadzieścia jeden.

W końcu trochę się zmęczył tą wyliczanką.

- Moja samotność wynika z przywiązania do nazwiska wyjaśnił.

Źle się niektórym kojarzy.

Miałem kilka kandydatek, ale celu matrymonialnego nie udało się zrealizować. Jedna to minawet powiedziała, że nie musi za Burdelskiego wychodzić, żeby kurwą być.

Takie są kobiety, droga pani.

Po tym wyznaniu doktor Burdelski przystąpił do czyszczenia paznokci zapalnikami,

które potem układał na białym spodeczku.

Mankiety od koszuli zdradzały wyraźny brak kontaktu z proszkiem do prania.

Uznałam, że nasze spotkanie dobiegło końca, zabrałam ofertę wraz z listą

oczekiwań.

Doktor Burdelski złożył pocałunek na mojej dłoni i nachylając się do ucha, wyszeptał:

- A gdyby było coś ekstra, pani rozumie, jakaś dupeczka na wieczór, to zawsze

jestem chętny.

A może pani?

Bo nie widzę obrączki.

Szybko wybiegłam z kawiarni, gubiąc wizytówkę z telefonem Burdelskiego.

Znowu długo nie mogłam zasnąć.

Podjęłam za to kilka postanowień.

Jednym z nich było natychmiastowe zakończenie działalności biura

matrymonialnego "Nadzieja".

Tylko tym sposobem mogę uniknąć kolejnych spotkań z podobnymi osobnikami.

Ponadto takie biuro to zapewne ostatnie miejsce, gdzie mogła.

202

bym spotkać kogoś, kto nie byłby krawcową z nadwagą, zdecydowaną na wszystko

pięćdziesięciolatką doktorem, chętnym na młode dupeczki.

Kiedy w końcu zasnęłam, zamiast Humphreya Bogarta śnił mi się doktor Burdelski,

kiwający w moją stronę palcem wystrojonym w rubinowy sygnet.

W drugiej ręce trzymał długopis, którym sporządzał listę oczekiwań wobec ewentualnych

kandydatek do realizacji celu matrymonialnego.

Rano obudziłam się z ciężką migreną, a w mojej głowie oprócz bólu miałam tylko

jedno - lista!

Od tego trzeba było zacząć.

Jak mam znaleźć mężczyznę swojego życia, skoro nie wiem, kogo szukam?

Zaczęłam wyliczankę.

Najpierw na palcach jednej ręki: przystojny, wzrostu więcej niż średniego, interesujący,

opiekuńczy, zaradny.

Dołożyłam drugą: czuły, wierny, z poczuciem humoru, odpowiedzialny, domator, abstynent,

oczywiście kawaler, wykształcenie wyższe.

Powoli zaczynał obrakować mi palców.

Za chwilę przekroczył dwadzieścia jeden punktów, przeraziłam się, szukając tabletki

od bólu głowy.

Bzdura, przecież tak składnica zalet nie musi znajdować kobiety przez biuro

matrymonialne.

Poza tym dawno jest czymś narzeczonym albo mężem.

Chyba że liczona cud.

Tylko dla czego właśnie akurat mniemiałby się zdarzyć.

Idiotka, zwyczajna idiotka!

Trzeba odesłać oferty, a sobie położyć natychmiast na głowę worek z lodem,

postanowiłam.

Od jutra wypowiem umowę najmu, żeby nie powiększać strat finansowych.

Następnego dnia zabrałam się do odsyłania oferty sprzątnięcia biurka.

Już miałam wychodzić, kiedy usłyszałam

Łączę z "Nadzieją"

szła pukanie do drzwi.

Jakiś mężczyzna szukał instalatorów kuchni gazowych.

Wydawał się nieśmiały i zagubiony.

Jeszcze bardziej onieśmieliło go, gdy dowiedział się, że trafił dobiura

matrymonialnego.

W końcu spytał, co ja tu właściwie robię?

- Czekam - odpowiedziałam - na wielką miłość
swojego życia.

- Właśnie jestem - oznajmił zmysłowym szeptem.

Oboje uznaliśmy to za świetny żart.

Następnego dnia zjawiał się znowu, już nie przypadkiem.

Był niewiele wyższy od Humphreya Bogarta, ale patrzył nam nie równie zniewalającym

wzrokiem.

Zaczął rozmowę o literaturze, potem zaproponował wieczór teatralny.

Moje pragmatyczne podejście do życia wcale go nie zniechęciło.

Przy takiej kobiecie mógłby się rozwinąć i wnieść w jej życie trochę poezji.

- Najważniejsze jest pokrewieństwo dusz i jedność - oznajmił.

Resztę można wypracować w codziennym trudzie.

Niestety słowo "trud" każde z nas rozumiało inaczej.

Kiedy wychodziłam do pracy, mówił, by nie odsłaniać okien, bo zaraz zacznę
medytować, a

do tego potrzebny jest półmrok, nierozświetlony światłem

poranka.

Prosił też o zaparzenie herbaty z piętnastu ziół, ponieważ po medytacji musi
się

oczyścić.

Tym razem

chodziło o ciało.

Właściwie nie wiem, co robił, kiedy mnie nie było, ale gdy wracałam, nie

mogłam używać dzwonka do drzwi, bo nie lubił agresywnego budzenia z
popołudniowej siesty.

'!.

Już po tygodniu wiedziałam, że nie łapie się na żaden z punktów w żadnej skali.

Rozstanie zajęło nam jednak prawie rok, bo po prostu nie chciał opuścić mojego mieszkania.

I może tkwiłby w nim do dzisiaj, gdyby nieszczeniwy zbieg okoliczności. Zakochał się w pewnej pani, którą poznał na czacie internetowym.

- Pokrewieństwo dusz, jedność ciał - tłumaczył mi, pakując walizkę.
- Resztę można wypracować w codziennym trudzie.

Wolna!

Nareszcie wolna!

- cieszyłam się, wyrzucając do śmieci szczoteczkę do zębów, której zapomniałam zabrać. Żadnych facetów, żadnych ofert!

Po pół roku spotkałam na ulicy panią Halinkę.

- No i będzie ślub, z takim jednym, z "Kuriera" wyciętym - oznajmiła uradowana.

- Jak mi pani odesłała tę ofertę, to myślę sobie, zdjęcia szkoda.

Zaniosłam do gazety.

Niedługo trwało i trafił się robotnik budowlany, co na kontraktach dwadzieścia lat

zasuwał, a na żeniączkę czasu nie miał.

Akurat mu podeszłam i prosiłam bardzo!

Za wysoki nie jest, raczej taki cwanycyk.

Ale powiem jak kobieta kobiecie - cwanycyk on, aleniewe wszystkim cwanycyk!

Rozumie pani, o czym mówię?

- zaśmiała się.

- I na tort weselny zapraszam!

Nie wiem, jak to się stało, ale znowu weszłam do budynku spółdzielni.

Na drzwiach z napisem "Nadzieja" widniała kartka: Do wynajęcia.

- Będziemy swatać?

- portierka ucieszyła się na mój widok.

Wznowienie działalności zajęło mi kilka dni, zamieszczenie ogłoszenia w prasie

- dwadzieścia minut.

Kto ma ule, ten ma miód.

Spis treści

Jutro będziesz królem	9
Dzisiaj Maria Stuart	25
Perła	37
Garbacicha i Mamrotka	49
Idę kochać!	60
Stara nauczycielka	72
Korale z wierszy zakładam	81
Róża cmentarna	93
Obca	108
Królowa Śniegu	126
Szminkaw kolorze cyklamenu ...	139
Wyzwolona	146
Szmata	157
Spełniona.....	168
Śpiewaj, moja ptaszyno	181
Łączę z "Nadzieją"	193

Wydawnictwo Książkowe TWÓJ STYL

poleca:

Iwona Petry Gabinet cieni

Sandra Petrignani Domy pisarek

Ludwik Stomma Francuska miłość

Joanna Bator Japoński wachlarz.